

BIULETYN IPN

pamięć

nr 3 (48)/2016



**„Zapora”
przeciw komunistom**

**„Łupaszko”
wychodzi w pole**

**Teczki TW „Bolka”:
errata do biografii
Wałęsy**

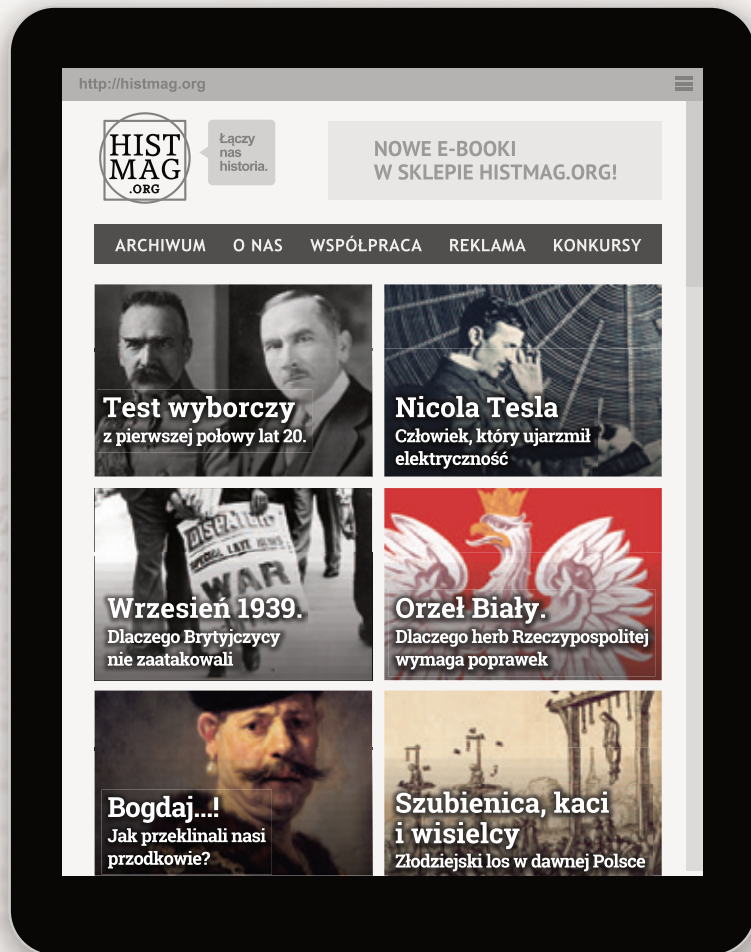
Cena 6 zł (5% VAT)



numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.

**Dodatek specjalny:
książka
Karoliny Wichowskiej
„Łączka”**





Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 58 lat!

TEMAT MIESIĄCA:

HISTORIE KOBIECE

• Ognisty romans: Bodo i Reri

• Westalki: dziewczęce kapłanki

PONADTO:

• „Zniknięcie” generała Zagórskiego

• Bunt w Kronsztadzie

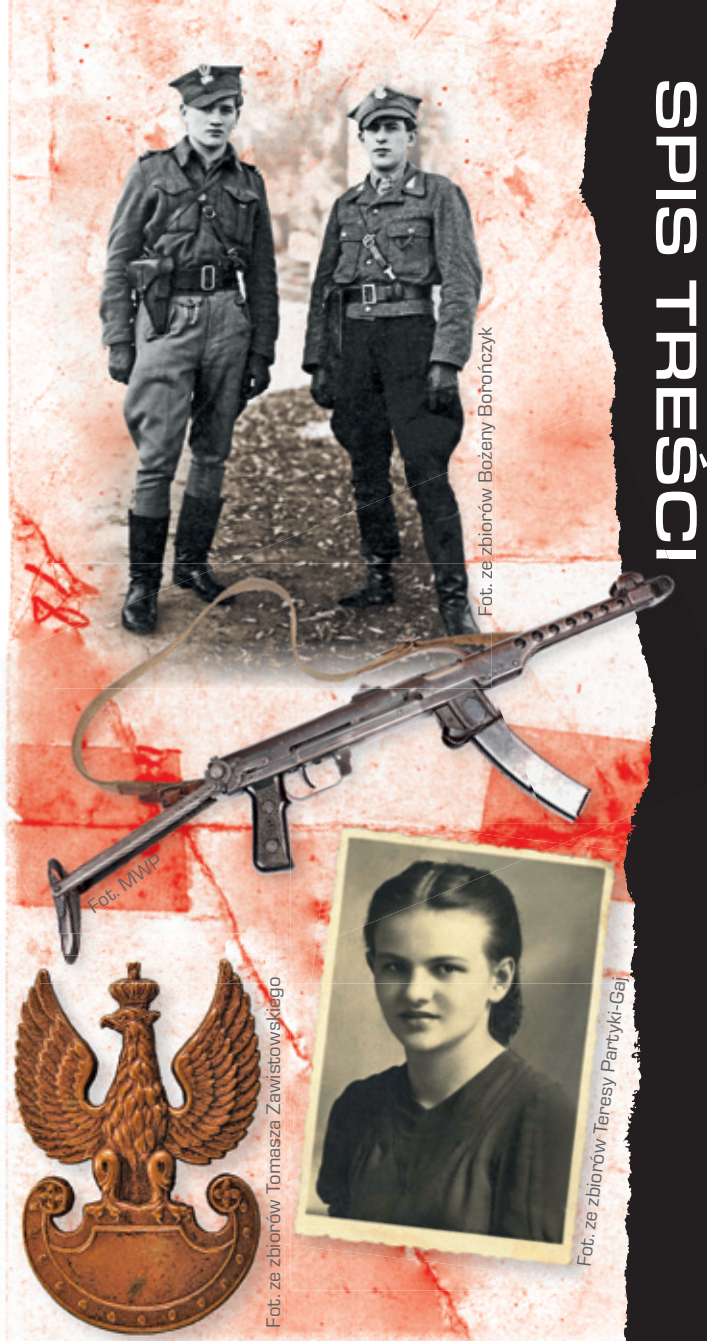
• Postrach Tatarów. O Ślżaku, który został kresowym zagończykiem oraz recenzje, nowości historyczne i nowy dodatek historyczny „Pewne jak w banku”, przygotowywany we współpracy z Narodowym Bankiem Polskim. W 3 odcinku piszemy o działalności przedwojennych kasjarzy

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Immedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellony: ksiegarnia.bellona.pl. Zamów prenumeratę: kolportaz@bellona.pl

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki

2 AKTUALNOŚCI IPN**4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Krzysztof Gottesman, Puste cokoły**STOP-KLATKA****10** Robert Szcześniak, Śmierć „Żelaznego”**Z ARCHIWUM IPN****14** Grzegorz Majchrzak, Grzegorz Wołk, Charakterystyka TW „Bolka”**WYWIAD****16** Errata do biografii Wałęsy – rozmowa z Andrzejem Paczkowskim i Grzegorzem Majchrzakiem**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****25** Piotr Łapiński, Obława Augustowska: nowe dokumenty**28** Dawid Golik, Milicjanci z Czarnolesia**33** Piotr Szubarczyk, „Łupaszko” wychodzi w pole**37** Anita M. Madarász, Polski oficer z Węgier**41** Mirosław Szumiło, Młodzieżowe kuźnie kadr**46** Waldemar Brenda, Przestępcy w mundurach MO

Fot. AIPN



Fot. ze zbiorów Bożeny Bońarczyk

Fot. MWP

Fot. ze zbiorów Tomasa Zawistowskiego

Fot. ze zbiorów Teresy Partyki-Gaj

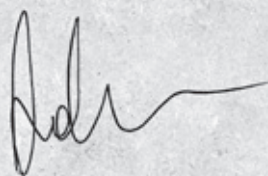
PAMIĘTAM JAK DZIŚ...**50** Patrzył na mnie długo, przenikliwie – relacja Teresy Partyki-Gaj**PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****53** Jerzy Eisler, *Baza ludzi umarłych***ORZEŁ BIAŁY****56** Tomasz Zawistowski, Orły z firmy Lorioli w Mediolanie**Z BRONIĄ W RĘKU****60** Michał Mackiewicz, Zbrojne ramię partii**EDUKACJA HISTORYCZNA****63** Labirynt dla detektywów historii – rozmowa z Karolem Madajem**65** Tomasz Sudół, *Zapora*, czyli powrót bohatera**MIEJSCA Z HISTORIĄ****67** Katarzyna Dzierzbicka, Tajemnice Rakowieckiej**72 RECENZJE****73 BIBLIOTEKA IPN**

Fot. Centralne Archiwum Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej

Szanowni Czytelnicy!

W roku 1989 jeszcze nie mogłem wziąć udziału w tzw. wyborach kontraktowych, ale doskonale pamiętam tamtą atmosferę: czuło się powiew wolności, na ulicach, z samochodów, na straganach sprzedawano znaczki i koszulki z napisem „Solidarność”, wszędzie wisiały plakaty, na których obok często nieznanymi mi ludzi stał Lech Wałęsa. W rozmowie z Andrzejem Paczkowskim i Grzegorzem Majchrakiem, którą publikujemy w niniejszym numerze, ten drugi powiedział, że w latach osiemdziesiątych Lech nie był bogiem, ale blisko. Właśnie tak to zapamiętałem i pewnie wówczas tak widziała to większość ludzi. Lech Wałęsa był wówczas jednym z ojców transformacji. Nie pod każdym względem udanej, ale wyprowadzającej Polskę z peerelowskiego absurdu, a nieraz i horroru. Po ponad ćwierćwieczu – nie tylko dzięki studiom historycznym – mam nieco inny obraz tych wydarzeń. W wywiadzie rozmawiamy oczywiście o teczkach TW „Bolka”. Wszystko wskazuje na to, że to inna twarz późniejszego przywódcy Solidarności, że ostatecznie potwierdzają się ustalenia części historyków, że Sławomirem Cenckiewiczem i Piotrem Gontarczykiem na czele, którzy wiele lat temu wykazali współpracę Lecha Wałęsy z SB. Niezależnie od tego, jak dziś postrzegamy byłego prezydenta, smutek z powodu takiego obrotu spraw jest zrozumiały – jak to? on? wódz? symbol? Lechu? Dokumenty – choć jeszcze czekają na ekspertyzę biegłych pisma ręcznego – wydają się niepodważalnym dowodem na współpracę w latach 1970–1976. Czy jednak umniejsza to rolę Lecha Wałęsy w powstaniu Solidarności i jej drodze do zwycięstwa nad komunizmem? Na pytania o ewentualny wpływ agenturalnej przeszłości Wałęsy na jego późniejsze poczynania nie ma jednoznacznej odpowiedzi, wiele jednak można dowiedzieć się z pouczających rozważań dwóch znawców tematu. Mimo zawirowań w czasie jego prezydentury, różnych niejasności, a nawet niegodziwości (związanych zwłaszcza z odwołaniem rządu Jana Olszewskiego w 1992 roku) nie da się zanegować tego, że Lech Wałęsa był pierwszoplanową postacią transformacji ustrojowej. Errata – i to poważna – do jego biografii musi jednak zostać wprowadzona. Zawartość szafy Czesława Kiszczaaka przysypała nieco inne niedawno odkryte, a niezmiennie ważne dokumenty. O przypadkowo znalezionych na rosyjskim portalu kapitałnych materiałach źródłowych dotyczących Obławy Augustowskiej pisze Piotr Łapiński. Marzec to miesiąc poświęcony Żołnierzom Wyklętym. Na naszej okładce grafika przedstawiająca Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”, żołnierza konspiracji antyniemieckiej i antysowieckiej, zamordowanego z wyroku komunistycznego sądu. Jego słowa „Amnestia jest dla złodziei, a my jesteśmy Wojsko Polskie” stały się mottem dla filmu dokumentalnego przygotowanego przez IPN TV. O innych niezłomnych piszą w niniejszym numerze Dawid Golik i Piotr Szubarczyk, a „Zaporę” wspomina jego narzeczona, Teresa Partyka-Gaj, sanitariuszka i łączniczka AK i WiN. Do numeru dołączyliśmy książkę Karoliny Wichowskiej „Łączka”, będącą opowieścią o ważnym dla historii Polski miejscu – kwaterze „Ł” na warszawskich Powązkach, gdzie spoczywają szczątki wielu Żołnierzy Wyklętych.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu
Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,
dr Bartosz Kuświk,
dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Szulc,
dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska,
dr Konrad Rokicki,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
Michał Siedziako, Emilia Świętochowska,
dr Daniel Wicenty
Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98,
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska
Sekretariat: Maria Wiśniewska
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl
tel. 22 581 88 19
Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrńska
Skład i łamanie: Hubert Rabiński
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,
Warszawa
Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl
Druk: „Legra” sp. z o.o.
ul. Albatrosów 10c,
30-716 Kraków
Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

■ 7 kwietnia o 9.30 na pl. Adama Mickiewicza w Poznaniu zostanie uroczystie otwarta **wystawa „Sacrum Poloniae Millennium w archidiecezji poznańskiej”**. Ekspozycja przypomina przebieg obchodów milenium chrztu Polski w archidiecezji poznańskiej, prezentuje też fotografie z uroczystości w Gnieźnie, na Jasnej Górze, w Krakowie i w wielu innych zakątkach kraju. Nie brakuje wątków dotyczących obchodów milenium poza granicami Polski oraz przebiegu państwowych uroczystości tysiąclecia państwa Polskiego, konkurencyjnych wobec tych organizowanych przez Kościół. 15 kwietnia wystawa zostanie zaprezentowana na Międzynarodowych Targach Poznańskich podczas uroczystego posiedzenia Zgromadzenia Narodowego. W kolejnych tygodniach będzie ją można oglądać m.in. na Ostrowie Tumskim i na Starym Rynku w Poznaniu. Ekspozycję przygotował Oddział IPN w Poznaniu we współpracy z Archidiecezją Poznańską, Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu, Wydziałem Historycznym UAM, Archiwum Państwowym w Poznaniu oraz Wielkopolskim Muzeum Niepodległości. Wystawa składa się z dwudziestu dwustronnych paneli. Plansze są opisanie po polsku i po angielsku.



Fot. Katarzyna Adamów



■ Sześć obszernych pakietów dokumentów, w tym rękopisy, maszynopisy i fotografie, zabezpieczyli 16 lutego **w warszawskim domu wdowy po gen. Czesławie Kiszcza**ku prokuratorzy IPN. Jeszcze w tym samym miesiącu Instytut Pamięci Narodowej włączył do swojego zasobu archiwalnego dokumentację z pierwszych dwóch pakietów. Największe zainteresowanie badaczy i dziennikarzy wzbudziły **teczka personalna i teczka pracy tajnego współpracownika ps. „Bolek”**. W tej pierwszej znajduje się m.in. odręczne zobowiązanie do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa, podpisane: Lech Wałęsa „Bolek”. Dokumenty zostaną poddane specjalistycznym ekspertyzom, w tym badaniom pisma ręcznego. Więcej na ten temat piszemy na stronach 14–24.

29 lutego prokurator IPN w asyście funkcjonariuszy policji przeszukał z kolei dom wdowy po gen. Wojciechu Jaruzelskim i zabezpieczył tam siedemnaście pakietów dokumentów. Czynności prokuratorskie są prowadzone w ramach wszczętego w ubiegłym roku śledztwa w sprawie ukrycia przez osobę do tego nieuprawnioną dokumentów podlegających przekazaniu do IPN.

■ Rusza **projekt „Zapisy terroru”**, służący popularyzacji i umiędzynarodowieniu doświadczeń Polski pod okupacją niemiecką i sowiecką. Porozumienie w tej sprawie podpisały 11 lutego IPN i Narodowe Centrum Kultury. Umowa dotyczy udostępniania i przekładu na język angielski świadectw zbrodni nazistowskich i komunistycznych przed Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich oraz Główną Komisją Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

Po II wojnie światowej przeprowadzono w Polsce kilkanaście tysięcy śledztw w sprawie masowych i indywidualnych mordów popełnionych przez okupantów niemieckich. Jednak do końca trwania PRL uzyskane w ten sposób zeznania były objęte nieformalną

klauzulą tajności. Zmiana nastąpiła dopiero w wolnej Polsce. Po roku 1989 zaczęto też dokumentować terror sowiecki. Teraz chodzi o to, by z zebranym materiałem dotrzeć do szerokiej rzeszy odbiorców, m.in. członków rodzin świadków i ofiar terroru, naukowców, zwłaszcza polskich i zagranicznych historyków, oraz twórców.



Fot. Andrzej Mańkowski

■ 26 lutego prezes IPN, dr Łukasz Kamiński, i dyrektor Muzeum Wojska **w Białymstoku**, Robert Sadowski, podpisali porozumienie o współpracy tych dwóch instytucji w dokumentowaniu i badaniu historii przymusowych przesiedleń i ruchów migracyjnych obywateli Rzeczypospolitej w XX wieku oraz propagowaniu pamięci o ich losach.

Wspólne działania, jak przewiduje porozumienie, będą polegały na realizacji projektów badawczych, edukacyjnych, wystawienniczych, konferencji i seminariów naukowych oraz publikacji wyników prowadzonych badań. IPN i Muzeum Wojska będą się wymieniały swoimi archiwali, wynikami własnych badań i doświadczeniami, a także współpracowały przy tworzeniu stron internetowych poświęconych problematyce deportacji.

Docelowo w Białymstoku ma powstać **Muzeum Pamięci Sybiru**. Ma ono dokumentować dzieje zesłań oraz dobrowolnego osadnictwa Polaków i innych narodów na ziemiach dawnego imperium rosyjskiego oraz ZSRR od XVII wieku do współczesności. Placówka ma się mieścić przy ul. Węglowej, kilkaset metrów od Dworca Fabrycznego, z którego w latach czterdziestych XX wieku wywożono mieszkańców Białegostoku i okolic na Sybir.



Fot. Paweł Tomaszewski

Ważną częścią projektu „Zapisy terroru” ma być portal internetowy, na którym w językach polskim i angielskim opublikowane zostaną zdigitalizowane przez IPN relacje polskich świadków i ofiar zbrodni niemieckich oraz sowieckich, popełnionych w okresie II wojny światowej na obszarze przedwojennej Polski. – Pragniemy, aby głosy polskich obywateli, naocznych świadków zbrodni rozległy się szerokim echem, by wybrzmiały na całym świecie – mówiła 11 lutego pomysłodawczyni projektu, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego, dr Magdalena Gawin.

Projekt jest pierwszym działaniem w ramach tworzenia Ośrodka Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego.

POSTAĆ MIESIACA

19 marca 1981: Jan Rulewski, przewodniczący bydgoskiej Solidarności, został pobity w trakcie interwencji milicji.

W młodości studiował w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. W maju 1965 roku został relegowany z uczelni, po tym jak odmówił udziału w wyborach do Sejmu PRL i rad narodowych. Powołany karnie do wojska, próbował uciec na Zachód, został jednak ujęty w Czechosłowacji i skazany na pięć lat więzienia. W lipcu 1969 roku wyszedł na wolność, potem ukończył studia inżynierskie w Bydgoszczy. Pracował jako specjalista konstruktor w zakładach rowerowych. Był tam przewodniczącym Rady Zakładowej Związków Zawodowych Metalurgów, która w sierpniu 1980 roku wezwała oficjalne związki zawodowe do poparcia postulatów strajkujących robotników Wybrzeża. Na jeden dzień trafił wówczas do aresztu. Po Sierpniu zaangażował się w niezależny ruch związkowy i szybko stał się jednym z liderów NSZZ „Solidarność”. Był m.in. przewodniczącym Zarządu Regionu Bydgoskiego i członkiem prezydium Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Ubiegał się również – bez powodzenia – o przywództwo w całym związku.



► Jan Rulewski (ur. 1944)

Fot. Anna Pietusko / ze zbiorów Ośrodka KARTA

Pobicie Rulewskiego i dwóch innych działaczy w marcu 1981 roku omal nie doprowadziło do strajku generalnego (tzw. kryzys bydgoski). Po wprowadzeniu stanu wojennego Jan Rulewski był przetrzymywany w Zakładzie Karnym w Strzebielinku i w Ośrodku Odosobnienia w Warszawie-Białoleczę. W grudniu 1982 roku – inaczej niż zdecydowana większość internowanych – nie wyszedł na wolność, lecz został aresztowany pod zarzutem dążenia do obalenia ustroju PRL. W Areszcie Śledczym Warszawa-Mokotów uczestniczył w głodówkach protestacyjnych. W sierpniu 1984 roku został zwolniony na mocy amnestii. Rok później stracił pracę za zorganizowanie strajku. Przez kilka lat zarabiał jako taksówkarz. Wielokrotnie był zatrzymywany na 48 godzin i poddawany rewizjom. Sprzeciwiał się kompromisowi z władzami komunistycznymi. W grudniu 1989 roku – kilka miesięcy po powtórnej rejestracji NSZZ „Solidarność” – znów stanął na czele Zarządu Regionu. W III RP przez wiele lat zasiadał w sejmie, a dziś jest senatorem. W 2006 roku został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.



► Pułkownik Łukasz Ciepliński (1913–1951)

Fot. ALP/N

1 marca 1951: W więzieniu mokotowskim wykonano wyroki śmierci na Łukaszu Cieplińskim i innych członkach IV Zarządu Głównego WiN. Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” powstało we wrześniu 1945 roku. Miała to być ogólnopolska organizacja konspiracyjna, kontynuująca dzieło Armii Krajowej. Nie chodziło jednak o walkę zbrojną – skazaną na niepowodzenie wobec olbrzymiej przewagi komunistów – lecz raczej o informowanie społeczeństwa i państw zachodnich o rzeczywistej sytuacji w kraju, w tym o skali represji ze strony nowej władzy. W tym celu zrzeszenie wydawało prasę konspiracyjną i utrzymywało szlaki kurierskie. Komunistyczna bezpieka zdołała ująć kolejnych prezesów Zarządu Głównego WiN: Jana Rzepeckiego, Franciszka Niepokólczyckiego i Wincentego Kwiecińskiego. W ostatnim okresie organizacją kierował Łukasz Ciepliński. Jesienią 1947 roku także on został aresztowany. Przeszedł brutalne śledztwo w więzieniu mokotowskim. Pokazowy proces odbył się w październiku 1950 roku. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał na karę śmierci Cieplińskiego i sześciu jego najbliższych współpracowników: Józefa Batorego, Franciszka Błażeja, Karola Chmiela, Mieczysława Kawalca, Adama Lazarowicza i Józefa Rzepkę. Wyroki wykonano strzałem w tył głowy, a zwłoki pogrzebano bezimiennie. W rocznicę tego wydarzenia od 2011 roku jest obchodzony Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

7 marca 1941: Igo Sym, aktor kolaborujący z Niemcami, zginął z wyroku polskiego podziemia.

Był synem Polaka i Austriaczki. Służył w armii austriackiej, a później w Wojsku Polskim. W okresie międzywojennym zagrał w wielu filmach polskich i zagranicznych. Występował również w warszawskich teatrzykach rewiowych i kabaretach. „Publiczność uwielbiała go, teksty piosenek pisała dla niego Julian Tuwim, Marian Hemar, Andrzej Włast” – przypomina dziennikarz Włodzimierz Kalicki. Pod okupacją niemiecką Sym postawił na ostentacyjną współpracę z nową władzą. Dzięki pochodzeniu matki został reichsdeutschem – pełnoprawnym obywatelem III Rzeszy. Kierował Teatrem Miasta Warszawy,

Fot. Filmoteka Narodowa



► Igo Sym (1896–1941)

działającym w gmachu Teatru Polskiego. Otrzymał też koncesję na prowadzenie niemieckiego kina Helgoland i teatru Komedia. Działo się to w czasie, gdy Związek Artystów Scen Polskich ogłosił bojkot wszelkich jawnych przedsięwzięć scenicznych.



► Ksiądz Jan Trojanar (1907–1946)

tydzień leżały na plebanii. Pojawiały się groźby, że jeśli ksiądz zostanie pochowany na miejscowym cmentarzu, to grób wyleci w powietrze. Ostatecznie pogrzeb odbył się w Ostrowcu Świętokrzyskim. Sprawcami mordu byli najprawdopodobniej funkcjonariusze Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Starachowicach – dawni partyzanci komunistycznej Armii Ludowej i zarazem członkowie Kościoła polskokatolickiego (bezpieka podsycala wówczas animozje między obydwojma wyznaniami). Śledztwo Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Kielcach zostało umorzone. Sugerowano napad rabunkowy. Ksiądz Julian Banaś zanotował jednak w kronice parafialnej: „Jak świadkowie opowiadają, mordercom oddawał śp. ks. J. Trojanar wszystko, co miał, ale oni nie po to przyszli, przyszli, aby go umęczyć, aby przez dokonane okrucieństwo raz na zawsze zlikwidować tu rzymskokatolicką placówkę”.

Konspiracyjny kontrwywiad zidentyfikował Syma jako niemieckiego szpiega jeszcze sprzed wojny i konfidenta gestapo. Dodatkowo obciążało go zaangażowanie w werbowanie polskich aktorów do filmu *Heimkehr* (Powrót), szkalującego Polskę i Polaków. Do tego doszły podejrzenia o udział w aresztowaniu aktorki i piosenkarki Hanka Ordonówny. Wojskowy Sąd Specjalny Związku Walki Zbrojnej skazał Syma na karę śmierci. Aktora zastrzelono w jego mieszkaniu przy ul. Mazowieckiej w Warszawie. W ramach represji za tę akcję Niemcy aresztowali ponad stu zakładników, z których 21 zamordowano wkrótce w Palmirach. Grupę artystów, w tym m.in. Leona Schillera i Stefana Jaracza, zesłano zaś do obozu Auschwitz.

14 marca 1946: W budynku plebanii rzymskokatolickiej w Pętkowicach został zamordowany ks. Jan Trojanar.

Pochodził ze wsi Smolarzyny na Rzeszowszczyźnie. Ukończył Wyższe Seminarium Duchowne w Sandomierzu i w 1935 roku przyjął święcenia kapłańskie. Latem 1945 roku został proboszczem w Pętkowicach na Kielecczyźnie. Nie był związany z podziemiem i nie angażował się politycznie. Wieczorem 14 marca 1946 roku na plebanii zjawili się czterech mężczyzn w mundurach wojskowych. Przez dwie godziny torturowali ks. Trojanara. W końcu zabili go dwoma strzałami w głowę. Zwłoki przez

17 marca 1921: Sejm Ustawodawczy uchwalił konstytucję marcową.

Posłowie odrodzonej Rzeczypospolitej przyjęli model ustroju zbliżony do francuskiego – unitarny (a nie federalny), z rządami republikańskimi (zamiast monarchii). Konstytucja marcową do dziś uchodzi za bardzo demokratyczną i egalitarną. „Wszyscy obywatele są równi wobec prawa” – czytamy w artykule 96. Odrzucono przywileje stanowe, potwierdzono prawa wyborcze kobiet (które w wielu krajach zachodniej Europy wciąż nie mogły wówczas głosować), a szeroki katalog praw obywatelskich objął m.in. wolność słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń. Przyjęto zasadę trójpodziału władz. Władzę wykonawczą mieli sprawować prezydent i rząd, ustawodawczą – sejm i senat wyłaniane przez naród, sądowniczą zaś – niezależne sądy. Prezydent, wybierany na siedmioletnią kadencję przez połączone izby parlamentu, miał bardzo ograniczone kompetencje. Zdecydowały o tym obawy prawników, że stanowisko to obejmie marsz. Józef Piłsudski. Decydującą pozycję ustawa zasadnicza przyznawała sejmowi, który stanowił prawo, uchwalał budżet państwa, kontrolował rząd i decydował o jego składzie. „Prowadziło to do podporządkowania władzy wykonawczej parlamentowi i do krytykowanego później przez same partie polityczne »sejmowładztwa«” – pisze w książce *Od niepodległości do niepodległości* dr hab. Marek Gałęzowski. Konstytucja marcową obowiązywała do kwietnia 1935 roku, gdy została zastąpiona przez nową ustawę zasadniczą. Już jednak dziewięć lat wcześniej, po przejęciu władzy przez piłsudczyków, uchwalono tzw. nowelę sierpniową, która istotnie zwiększała rolę prezydenta.

18 marca 1921: W Rydze podpisano traktat kończący wojnę Polski z Rosją bolszewicką.

Bitwa Warszawska z sierpnia 1920 roku i wrześniowa operacja niemieńska przesądziły o zwycięstwie Wojska Polskiego nad bolszewikami. 12 października walczącej stronie zawarły rozejm. Pięć miesięcy później Polska i Rosja bolszewicka (formalnie też podporządkowana jej Ukraińska Socjalistyczna Republika Rad) zawarły w Rydze traktat pokojowy. Władze bolszewickie miały wypłacić Polsce wysokie odszkodowanie za okres zaborów i zwrócić zrabowane przez carską Rosję dobra kultury. Pierwszy z tych warunków nie został dotrzymany, drugi – w niewielkim stopniu. W traktacie zadeklarowano, że obie strony „uznają niepodległość Ukrainy i Białorusi”. Mimo to Białorusini i Ukraińcy nie uzyskali możliwości stworzenia własnych państw. Ustalona w Rydze granica wschodnia Rzeczypospolitej w przybliżeniu pokrywała się z linią II rozbioru Polski z 1793 roku. Po stronie polskiej znalazły się m.in. Grodno, Brześć i Lwów. Na wschodzie pozostało jednak ok. 1,5 mln Polaków. W latach trzdziestych kilkadziesiąt tysięcy z nich zmarło w okresie wielkiego głodu w ZSRR, a ponad 110 tys. zostało wymordowanych w ramach tzw. operacji polskiej NKWD.

Fot. Instytut Polski im. Generala Sikorskiego w Londynie



19 marca 1946: W procesie podziemia narodowego z Lubelszczyzny zapadło dziewięć wyroków śmierci.

Rozprawa toczyła się przez ponad miesiąc przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Warszawie. Na ławie oskarżonych zasiadły 23 osoby związane z Pogotowiem Akcji Specjalnej (PAS) Narodowych Sił Zbrojnych. Na liście zarzutów były m.in. kierowanie tajną organizacją, napady rabunkowe i mordy, w tym udział w pacyfikacji ukraińskiej wsi Wierzchowiny w czerwcu 1945 roku. Z akcją w Wierzchowinach zdecydowana większość oskarżonych nie miała jednak nic wspólnego. W brutalnym śledztwie i pokazowym procesie nie chodziło zresztą o rzetelne zbadanie każdego przypadku. Starano się przedstawić narodowców jako faszystów sprzymierzonych z Niemcami. Z dziewięciu zasądzonych wyroków śmierci dwa uchylił później Najwyższy Sąd Wojskowy. Pozostałe zostały wykonane w maju 1946 roku, a zwłoki pogrzebano bezimiennie. Zginęli w ten sposób Roman Jaroszyński, Stanisław Kaczmarczyk, ks. Kazimierz Łuszczyński, Zygmunt Roguski, Władysław Ulanowski, Zygmunt Wolanin i Władysław Żwirek.



25 i 26 marca 1936 roku

Podczas ulicznych rozruchów w Krakowie 23 marca 1936 roku od kul policyjnych zginęło ośmiu robotników. Trzy dni później tę tragedię szczegółowo analizował poczytny „Ilustrowany Kurier Codzienny”.

Zresztą dzień wcześniej gazeta musiała opublikować urzędowy komunikat, w którym znajdujemy następującą rekonstrukcję wydarzeń: Okręgowy Komitet Robotniczy PPS i związki zawodowe proklamowały strajk. Po otrzymaniu zgody starosty grodzkiego zwołano wiec. Gdy tłum się rozchodził, „czynnik nieodpowiedzialny”, które wymknęły się spod kontroli organizatorów, „zaatakowały kamieniami i strzałami z rewolwerów oddział policyjny, stojący na rogu ul. Basztowej i plant”. Kilku policjantów zostało rannych i „oddział policyjny zmuszony został użyć broni”. Później do podobnych zjść doszło na innych ulicach w pobliżu Rynku Głównego, zwłaszcza na ul. Sławkowskiej.

Komentując te wydarzenia, gazeta zwróciła uwagę przede wszystkim na błędy organizatorów strajku. „Stwierdzaliśmy już niejednokrotnie na tych łamach, iż w okresie powojennym, gdy socjaliści przestali być najbardziej lewicową partią, gdy zdystansowali ich komuniści, wszelkie akcje uliczne, podejmowane przez PPS, wymykają się jej z rąk, a wypadki przechodzą ponad głowami przywódców partii socjalistycznej, która, aczkolwiek radykalna w hasłach i metodach, stoi jednak na gruncie państwowości polskiej. Gdy demonstracyjny pochód socjalistyczny w chwili podniecenia wychodzi na ulicę, przyłączają się do niego szumowiny, [...] grupy komunistyczne, wywrotowe i doprowadzają do katastrofy [...]. Dochodzi do starć, padają ludzie częstokroć niewinni, przechodnie, na ulicach leje się krew, a w sercach i umysłach pozostaje gryzący osad bólu i goryczy”.

Według gazety, nie bez winy była jednak również sanacyjna władza centralna, która „krępuje ręce zarówno władzom lokalnym, jak i miejscowej prasie, oświadczając krótko i zwięźle, iż o zjściach wolno zamieścić tylko urzędowy komunikat. Po co to i na co? [...] Przecież rozsądna i odpowiedzialna publicystyka – stwierdza dalej krakowski dziennik – może wpłynąć na otrzeźwienie mas i na wzmocnienie siły i znaczenia tych wszystkich elementów, które są elementami ładu i porządku, osłabiając równocześnie elementy wywrotowe i awanturnicze. [...] Co się stało, już się nie odstanie. Słowo ma wielką moc, ale nie potrafi wskrzesić umarłych. Idzie jednak o to, aby ze smutnych wypadków wyciągnąć należyte konsekwencje. Konsekwencje te winny wyciągnąć zarówno władze, jak i przywódcy partij politycznych, jak wreszcie całe społeczeństwo” – kończył „IKC”.



25 marca 1956 roku

12 marca 1956 roku zmarł Bolesław Bierut, przywódca Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, którego historyk Norman Davies nazwał po latach „szkolonym w Moskwie kłosem Stalina”. Sowieckiego agenta, mającego na rękach krew tysięcy ludzi, komuniści żegnali z największymi honorami. W uroczystościach żałobnych brali udział przedstawiciele najwyższych władz PRL i – niekoniecznie dobrowolnie – tysiące zwykłych obywateli.

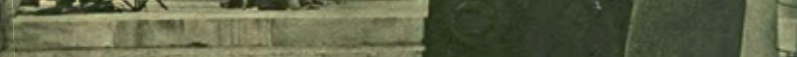
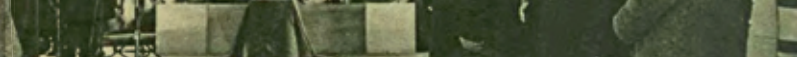
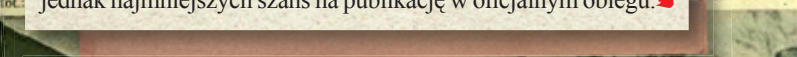
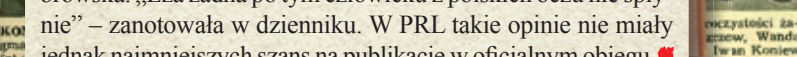
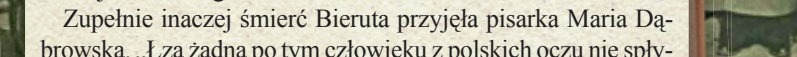
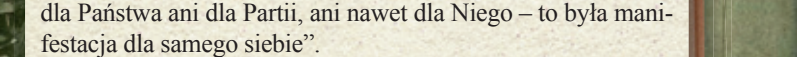
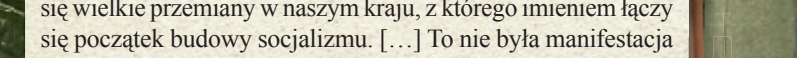
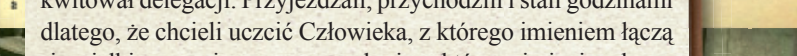
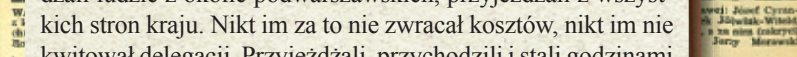
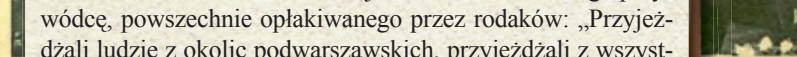
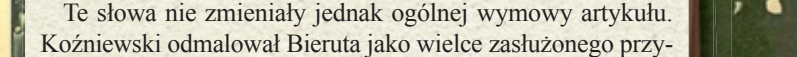
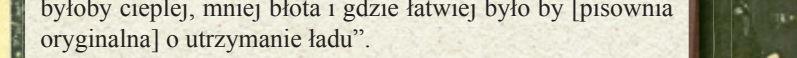
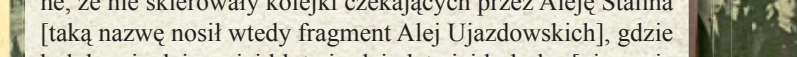
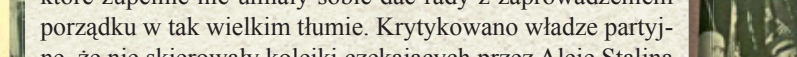
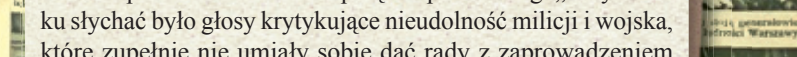
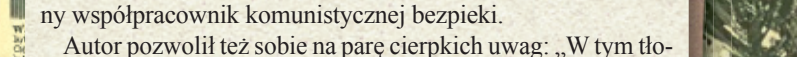
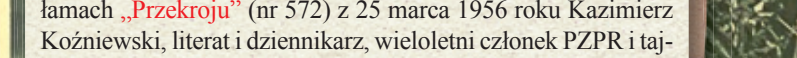
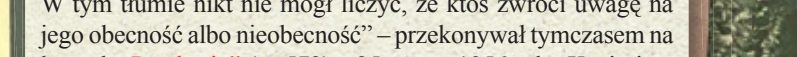
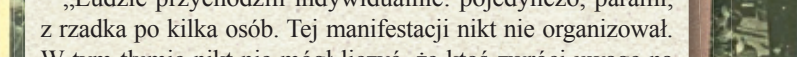
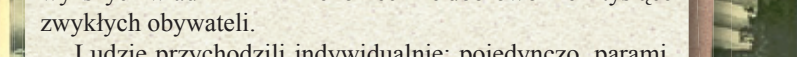
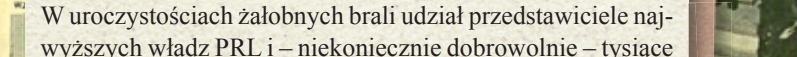
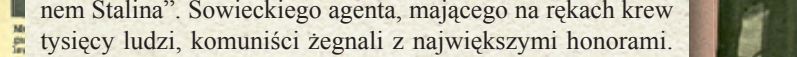
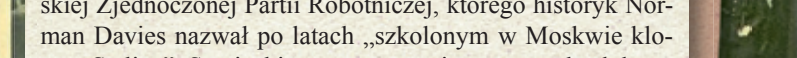
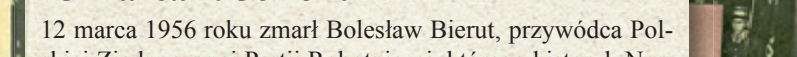
„Ludzie przychodzili indywidualnie: pojedynczo, parami, z rzadka po kilka osób. Tej manifestacji nikt nie organizował. W tym tłumie nikt nie mógł liczyć, że ktoś zwróci uwagę na jego obecność albo nieobecność” – przekonywał tymczasem na łamach „Przekroju” (nr 572) z 25 marca 1956 roku Kazimierz Koźniewski, literat i dziennikarz, wieloletni członek PZPR i tajny współpracownik komunistycznej bezpieki.

Autor pozwolił też sobie na parę cierpkich uwag: „W tym tłoku słyhać było głosy krytykujące nieudolność milicji i wojska, które zupełnie nie umiały sobie dać rady z zaprowadzeniem porządku w tak wielkim tłumie. Krytkowano władze partyjne, że nie skierowały kolejki czekających przez Aleję Stalina [taką nazwę nosił wtedy fragment Alej Ujazdowskich], gdzie byłoby cieplej, mniej błota i gdzie łatwiej było by [pisownia oryginalna] o utrzymanie ładu”.

Te słowa nie zmieniały jednak ogólnej wymowy artykułu. Koźniewski odmalował Bierutę jako wielce zasłużonego przywódcę, powszechnie opłakiwanego przez rodaków: „Przyjeżdżali ludzie z okolic podwarszawskich, przyjeżdżali z wszystkich stron kraju. Nikt im za to nie zwracał kosztów, nikt im nie kwitował delegacji. Przyjeżdżali, przychodzili i stali godzinami dlatego, że chcieli uczcić Człowieka, z którego imieniem łączą się wielkie przemiany w naszym kraju, z którego imieniem łączy się początek budowy socjalizmu. [...] To nie była manifestacja dla Państwa ani dla Partii, ani nawet dla Niego – to była manifestacja dla samego siebie”.

Zupełnie inaczej śmierć Bieruta przyjęła pisarka Maria Dąbrowska. „Łza żadna po tym człowieku z polskich oczu nie spłynie” – zanotowała w dzienniku. W PRL takie opinie nie miały jednak najmniejszych szans na publikację w oficjalnym obiegu.

OSTATNIA DROGA BOLESŁAWA BIERUTA



24 marca 1968 roku

„Grupy określonych ludzi”, „pewne postaci”, „wroga grupa”, „polityczni bankruci” – to sformułowania charakterystyczne dla tekstu Leszka Wyszczakiewicza *Anatomia oszustwa*, opublikowanego w tygodniku „Stolica” z 24 marca 1968 roku. Autor usiłuje w nim dowodzić, że wystąpienia w obronie studentów wyrzuconych z Uniwersytetu Warszawskiego, brutalnie spacyfikowane przez władze, były inspirowane m.in. przez „wrogie imperialistyczne ośrodki” i jej „ekspozytury w kraju”. „Heroldowie »swobodnej myśli i wolności« w nowej postaci i w nowych maskach, prowadząc lata całe działalność w różnych środowiskach – uznali oto, że wybiła ich godzina. Od lat usadowieni, między innymi, w środowisku młodzieży podatnej na dźwięk szlachetnie brzmiących haseł, zapalnej i zdolnej do porywów, wybrał ją na iskrę, z której rozgorzeje »płomień«. Niewątpliwym katalizatorem [...] było usunięcie [Romana] Zambrowskiego z Biura Politycznego w roku 1963, a potem agresja Izraela, która ujawniła prawdziwe przekonania polityczne i narodowe tych ludzi”.

Artykuł jest napisany w stylu typowym dla komunistycznej propagandy Marca '68. Autor stara się wykazać, że demonstracje młodzieży w obronie kolegów to spłot najrozmaitszych, bardzo odległych od siebie czynników: od walki frakcyjnej w kierownictwie partii, przez wojnę na Bliskim Wschodzie aż po kampanię wizerunkową Niemiec Zachodnich: „Od wielu lat propaganda syjonistyczna [to charakterystyczne słowo dla retoryki tego okresu, komunistyczni propagandyści unikali pisania źle o Żydach, sprytnie przeciwstawiając „anty syjonizm” antysemityzmowi] w ścisłym sojuszu z NRF prowadzi szeroką kampanię oczerniania Polski i wybielania nazizmu”. Sugerowano, że w inspirowanych rzekomo przez owe ciemne siły protestach młodzieży chodzi o „rozmywanie socjalizmu”, co – przekonywano – jest równoznaczne z zamachem na interes narodowy. I mobilizowano społeczeństwo: „Wroga grupa uznana, że nadeszła odpowiednia pora, bowiem agresja Izraela wzmocniła czujność Partii oraz społeczeństwa. [...] Pokrzyżowaniem planów groził również zbliżający się Zjazd Partii, a wraz z nim mobilizacja przedzjazdowa mas”. Autor z satysfakcją odnotowuje, że przeciw „politycznym bankrotom” „powstała cała partia, powstały masy pracujące, domagając się całkowitego usunięcia z naszego życia ludzi obcych, wrogich socjalizmowi i Polsce, gromiciele »gomułkowszczyzny«”. Owo „powstanie” przybrało postać m.in. masówek w zakładach pracy. Ofiarą nagonki padło wielu Polaków pochodzenia żydowskiego, często osoby zupełnie niezaangażowane w życie publiczne, np. lekarze czy szeregowi urzędnicy. Wielu zmuszono do wyjazdu z kraju, wręczając „paszport” w jedną stronę, opatrzone adnotacją „Posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim”.

ANATOMIA OSZUSTWA

Ujawniona ostatnio rola rzeczywistych inspiatorów zajęć i ekscesów zmaza do sięgnięcia myśłą, wreszcie i dokonania pewnych podsumowań, bowiem wypadki i zjawiska, w jakie obfitowały owe „jdy marcowe” w Warszawie, mają swoje, o całe lata wstecz sięgające przyczyny. Wiele z tych zjawisk mogłoby obserwować od narodzin, patrząc na ich narastanie,

jednostki. I tak oto diabeł się w ornat ubrał i ogonem na masę drewił. Logika tej degradacji politycznej prowadziła rzecz jasna najpierw do głoszenia hasła „im gorzej tym lepiej”, a potem do stosowania go w praktyce. Ludzie, którzy kiedyś identyfikowali się z socjalizmem, stawiali siebie za wzór i uczyli innych patriotyzmem – najpierw psychicznie, a po-

tej sfery, wiele zjawisk można jednak zauważyć i zobiektywizować. I o tych akurat sprawach niejednokrotnie pisaliśmy na łamach „Stolicy”. Warto je teraz przypomnieć. Jednym z fundamentalnych zasad i celów wychowania społecznego w Polsce po 1956 roku stała się integracja socjalistyczna w oparciu o te wszystkie wartości, które są bliskie i cenne dla naszego narodu. Wiele nie dziwnego, że jeden z głównych ataków skierowany został przeciw historii narodu polskiego i

„W ról lu wa sho br du ws le in ró pr te se a g i k

DZIENNIK POLSKI

20 marca 1981 roku

„Trwa strajk okupacyjny rolników w Bydgoszczy” – donosił na pierwszej stronie „Dziennik Polski” 20 marca 1981 roku. „Czwartek 19 bm. jest czwartym dniem strajku okupacyjnego rolników, którzy zajmują siedzibę WK ZSL w Bydgoszczy” – informowano. W związku z trwającym strajkiem okupacyjnym „pracownicy i kierownictwo WK ZSL w Bydgoszczy wystosowali protest do Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ Solidarność na ręce przewodniczącego KKP – Lecha Wałęsy, w którym informują o incydentach, do jakich dochodzi między uczestnikami strajku i niektórymi członkami komitetu strajkowego a pracownikami Wojewódzkiego Komitetu ZSL”. W artykule nie podano powodów strajku ani nie przytoczono postulatów protestujących. Autor tekstu skupił całą uwagę na „słusznym proteście” członków ZSL przeciwko „niewłaściwemu zachowaniu się przebywających w siedzibie stronnictwa członków MKZ z Bydgoszczy i Inowrocławia, którzy – jak stwierdza się w liście – usuwają pracowników WK ZSL z budynku bez żadnych uzasadnionych powodów”. Pokreślono, że pracownikom ZSL „utrudnia się również wejście do siedziby Komitetu”. Prawdziwym celem artykułu było pokazanie protestujących członków Solidarności jako awanturników. Na tej samej stronie „Dziennika Polskiego” zamieszczono krótką informację, że milicja usunęła okupujących z gmachu Urzędu Wojewódzkiego. Pisano, że „po zakończeniu sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej grupa osób podjęła okupację gmachu Urzędu Wojewódzkiego”. Na wezwanie wojewody bydgoskiego i prokuratora wojewódzkiego w Bydgoszczy „wymieniona grupa osób nie opuściła okupowanych pomieszczeń”. Dlatego wojewoda bydgoski zdecydował o użyciu siły przez milicję, czyli „wezwał do przywrócenia ładu i porządku oraz zapewnienia normalnej pracy urzędu wojewódzkiego”. Jak pisano w notatce, „część osób okupujących po złożeniu pisemnej deklaracji opuściła gmach Urzędu Wojewódzkiego, natomiast pozostałe osoby stawiające opór zostały wyprowadzone z budynku”.

Strajk członków NSZZ „Solidarność” w siedzibie ZSL w Bydgoszczy i protest w tamtejszym urzędzie wojewódzkim zmierzały do skłonienia władz komunistycznych do zgody na rejestrację rolniczej Solidarności. Przedstawiciele związku nie dopuszczono do głosu i siłą usunięto z siedziby urzędu wojewódzkiego. Milicjanci dotkliwie pobili Jana Rulewskiego, przewodniczącego bydgoskiej Solidarności, a także Mariusza Łabentowicza i Michała Bartoszcze.

Brutalna akcja milicji, która wstrząsnęła całą Polską, przeszła do historii pod nazwą prowokacji bydgoskiej, a Solidarność ogłosiła pogotowie strajkowe w całym kraju. W tym wypadku opinia publiczna poznała prawdziwy przebieg wydarzeń. Pracownicy drukarni we Wrocławiu zaprotestowali przeciwko podawaniu przez władze fałszywych informacji. „Wieczór Wrocławia” z 20 marca 1981 roku ukazał się w wersji skróconej przez cenzurę – w miejscu zakazanego artykułu pozostawiono białe szpalty.

Trwa strajk okupacyjny rolników w Bydgoszczy

WARSZAWA (PAP). Czwartek 19 bm. jest czwartym dniem strajku okupacyjnego rolników, którzy zajmują siedzibę WK ZSL w Bydgoszczy. O charakterze zajad i postulatów ich informowaliśmy.

WARSZAWA (PAP). Czwartek 19 bm. jest czwartym dniem strajku okupacyjnego rolników, którzy zajmują siedzibę WK ZSL w Bydgoszczy. O charakterze zajad i postulatów ich informowaliśmy.

oprac. FG, JG, AS, KW

Puste cokoły

Krzysztof Gorttesman

BYŁEM
ALBO NIE BYŁEM,
OTO JEST
PYTANIE...



Bułat Okudźawa w drugiej połowie XX wieku śpiewał o swojej nieszczęśliwej ojczyźnie słowa, które dzisiaj bardzo pasują także do nas. „A przecież mi żal, że nad naszym zwycięstwem niejednym, górują cokoły, na których nie stoi już nikt” – nieprawdaż, że to o nas?

Podjąłem się zadania karkołomnego. Piszę ten felieton w sobotnie popołudnie, 20 lutego. Państwo przeczytają go w połowie marca, mądrzejsi o wszystko, co się w tym czasie wydarzy. Bo chodzi o Lecha Wałęsę. Znowu o Lecha Wałęsę. I dlatego spróbuję. Tym bardziej że spieraliśmy się o niego już nieraz. Ale nigdy dyskusja nie była tak gwałtowna i zażarta. I poważna – dodałbym. Papiery z domu gen. Czesława Kiszczaaka zmieniły bardzo wiele. Tu już nie wystarczają słowa napisane w autobiograficznych *Drogach nadziei*. Bo co one dziś znaczą: z tego starcia nie wyszedłem zupełnie czysty. Postawili mi warunek: podpis! I wtedy podpisałem.

Chcę wiedzieć, co to był za warunek, co z niego wyniknęło i co wtedy podpisał. Bo że podpisał, to przecież wiadomo „od zawsze”. Sprawa jest istotna, bo czy tego chcę czy nie, Lech Wałęsa jest bardzo ważną postacią w moim dorosłym życiu. Nie tylko tym publicznym, również prywatnym. Myślę, nie da się patrzeć na ostatnie kilkadziesiąt lat historii Polski, odrzuciwszy Lecha Wałęsę. Tego Lecha, który w sierpniu 1980 roku twardo negocjował w Stocznii z Jagielskim i obwieścił światu, że mamy wreszcie niezależne związki zawodowe, a resztę praw sobie wywalczymy, tego Lecha, który w stanie wojennym uwięziony w Arłamowie nie dał się złamać, tego, który napisał list do gen. Jaruzelskiego podpisany „kapral Wałęsa”, tego, który – otoczony doradcami – odsunął część opozycji i podjął się negocjacji z władzami, zakończonych porozumieniami Okrągł-

go Stołu i wyborami czerwcowymi. Który – kiedy został prezydentem – zapowiadał rozprawę z komunistami, a później otoczył się byłymi esbekami i podejrzanymi osobnikami ze starego porządku. Proponował NATO-bis i eksterytorialne polsko-rosyjskie spółki na terenach opuszczonych przez Armię Czerwoną. Który także nie był wiarygodny i konsekwentny, gdy chodziło o sprawy teczkowe. Jeszcze w czasach Wolnych Związków Zawodowych, przed rokiem 1980, miał się do czegoś kolegom przyznać, później w dramatyczną noc teczek w czerwcu 1992 roku najpierw przyznał się do współpracy, by po krótkim czasie wycofać oświadczenie złożone Polskiej Agencji Prasowej. A jeszcze później metodą „na rympał” usunął niewygodne ślady. Obrażał i ciągał po sądach wszystkich, którzy kwestionowali jego uczciwość. Listę można by ciągnąć – niestety – w nieskończoność. I rósł we własnych oczach. Ja, ja, ja, tylko ja – mówił o wszystkim – ja pokonałem komunizm. Jego ego urosło do niebotycznych rozmiarów.

No, właśnie. Ale gdyby tu tylko chodziło o ego przywódcy strajkowego i związkowego, nawet byłego prezydenta, można by na to machnąć ręką. Ja przynajmniej bym tak zrobił. Ale nie w Polsce w drugiej dekadzie XXI wieku, z całą jej zagmatwaną historią. Tu sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Lech Wałęsa rzeczywiście ma wielkie zasługi. Nie da się od niego oddzielić zwycięskiego strajku, wygranych wyborów czerwcowych, słowem, tego wszystkiego, co się wydarzyło między rokiem 1980 i co najpóźniej 1995, gdy Polska stała się zu-

pełnie innym krajem. Wolnym krajem – powiem z pełną odpowiedzialnością.

Dobrym, sprawiedliwym, sprawnie rządzonym, równym dla wszystkich? I tak, i nie. Może nawet bardziej nie. Ale czy to jest rezultat działalności Wałęsy wynikającej z podpisanych w przeszłości kwitów?

Czy chcemy zatem czy nie chcemy – on jest symbolem tych ostatnich lat. A może na taki symbol zasłużyliśmy? Jako społeczeństwo, może też jako naród. Trudno doświadczony, niemało zdemoralizowany. Tak, jak i Lech.

Czy nie chodziliśmy masowo w pochodach pierwszomajowych, czy w milionach nie należeliśmy do partii? Więcej, ilu jest różnych „Bolków”? Nie tych najważniejszych, ale tych, którzy dla świętego spokoju, dla pieniędzy, dla lepszej pracy, dla większego mieszkania, dla szybszej profesury, korzystniejszego kontraktu podpisywali...

Czy bronię Lecha? Z mniejszym przekonaniem niż robiłem to rok czy dwa lata temu. Ale bronię. Próbuję widzieć wielkość w jego małości i małość w wielkości. Czy jest to – jak powiedział jeden z historyków – nawet jego koloryt? Nie zgadzam się, chyba że jest to bardzo szary kolor. Ale bronię przede wszystkim swojej i nie tylko swojej przeszłości. Przeszłości związanej z Solidarnością. No, i z Lechem.

Tak jak Bułat Okudźawa boję się cokołów pozbawionych pomników. W Polsce to nic nowego. Kwestionowani byli i są Piłsudski, Dmowski, król Staś i inni. Ktoś powie, że jest przecież Jan Paweł II. Jest, ale on jeden nie wystarczy.

Zakończę z optymizmem. Pewnie nieco naiwnym, ale jednak. Okudźawa w ostatniej zwrotce śpiewa z nadzieją, że znowu rzą konie u sań, a ukochany Puszkina się jednak pojawił i przechadza się po Arbacie. Mało tego, Okudźawa jest gotów dać głowę, że już jutro wydarzy się coś. Więc może i u nas też się coś wydarzy. Nie tylko w piosence. 🍀

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Samodzielnego Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

Śmierć „Żelaznego”

Robert Szcześniak

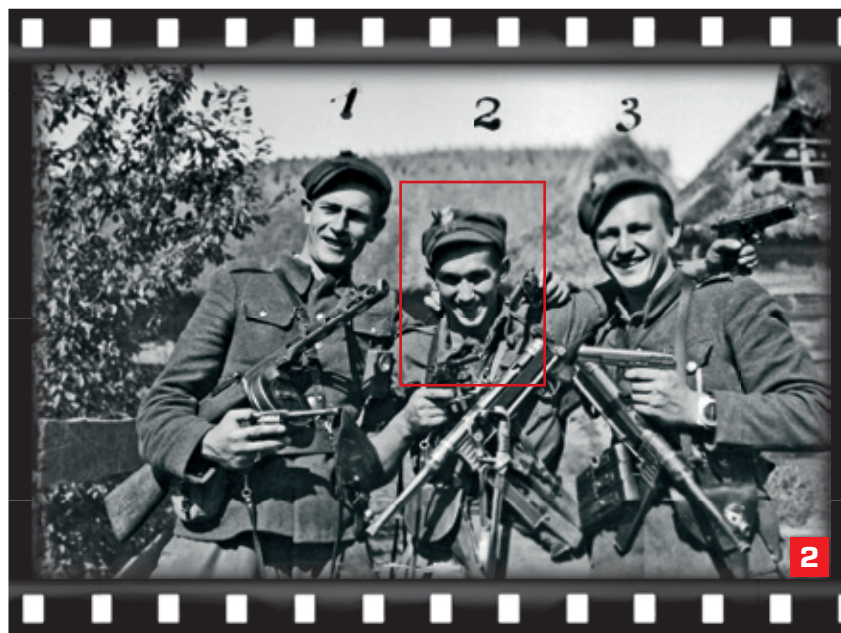
Wciąż nie udało się ustalić miejsca, w którym komuniści ukryli zwłoki Zdzisława Badochy „Żelaznego”. Wiadomo jednak, że śmierć jednego z najzdolniejszych dowódców polowych V Brygady Wileńskiej AK była wynikiem przypadkowej akcji milicji.



28 czerwca 1946 roku rano, spod siedziby Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Malborku wyruszyły dwa samochody. W pierwszym, osobowym willisie, jechali dwaj ubrani po cywilnemu funkcjonariusze UB: st. sierż. Marian Babiński oraz ppor. Czesław Jabłoński. W drugim, ciężarowym, jechało dwunastu milicjantów uzbrojonych w broń maszynową i granaty. Pojazdy skierowały się w stronę Zielenic (obecnie Zielonka). Tam funkcjonariusze mieli aresztować Józefa Piątka (prawdziwe nazwisko: Jan Semka), zarządcę majątku ziemskiego w Zielenicy, który wedle zebranych informacji był współpracownikiem V Wileńskiej Brygady AK.

Starszy sierż. Babiński, o czym nie wiedzieli jego przełożeni z UB, od listopada 1944 roku był zakonspirowanym współpracownikiem podziemia antykomunistycznego. W drodze przekonał swojego przełożonego, ppor. Jabłońskiego, aby przed aresztowaniem Piątka zrobić rekonesans terenu i wypytać pracowników majątku. Zgodnie z planem Babińskiego ciężarówka z milicjantami zatrzymała się półtora kilometra przed Zielenicami, a on z Jabłońskim udał się dalej pieszo. Pech chciał, że Józefa Piątka w Zielenicach nie było. Nieufni robotnicy skierowali ich do buchaltera majątku, Józefa Bieniaka. Ten ukrywający się żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych, wykorzystując brak czujności funkcjonariuszy, zastrzelił ich obu i zaczął uciekać w stronę położonego niedaleko Czernina. Na odgłos strzałów pozostawieni na drodze milicjanci ruszyli do majątku. Bieniak, zauważywszy ich, zmienił zdanie i okrężną drogą powrócił do Zielenic, gdzie ukrył się w chlewie (dwa dni później odnaleźli go tam żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego; sąd skazał go na karę śmierci, wyrok wykonano). Milicjanci, nie wiedząc, że strzelec zawrócił, kontynuowali pościg w stronę Czernina.

W tym czasie na tarasie majątku w Czerninie siedzieli i jedli trzej mężczyźni. Kiedy jedna z pracownic mająt-



Fot. AIPI

ku zawiadomiła ich, że „wojsko otacza dwór”, mężczyźni zerwali się od stołu i ruszyli w stronę parku. W pewnym momencie okrążający majątek milicjanci zauważyli uciekającego mężczyznę. Seria z pepeszy spowodowała, że padł na ziemię. Dostali go dwaj milicjanci. Jeden ogłuszył go uderzeniem kolby pistoletu w głowę, drugi kopnął w brzuch. Chwilę później milicjant Bogdan Łagocki zobaczył kolejnego uciekającego mężczyznę. Łagocki krzyknął: „Stój, milicja!”, i natychmiast strzelił w kierunku uciekiniera. Pociski chybiły, a uciekinier odwrócił się i odpowiedział ogniem. Kolejna seria milicjanta trafiła uciekającego mężczyznę w nogę. Ten jednak poderwał się i, utykając, uciekał w kierunku drzew. Łagocki sięgnął po granat, odbezpieczył go i rzucił. Pocisk przeleciał nad głową uciekiniera i wybuchł kilka metrów za nim. Jeden z odłamków trafił mężczyznę w głowę, zabijając na miejscu. W taki o to sposób, w wieku 23 lat, zginął jeden z najzdolniejszych dowódców połowych V Wileńskiej Brygady AK – por. Zdzisław Badocha „Żelazny”.

Zdzisław Badocha pochodził z Dąbrowy Górniczej, ale wychował się w Nowych Świątyniach na Wileńszczyźnie, dokąd skierowano ojca, podoficera Wojska Polskiego, do służby w Korpusie

Ochrony Pogranicza. Działalność konspiracyjną rozpoczął w 1942 roku. Jeszcze przed czerwcowym zaprzysiężeniem wraz z kolegami zbierał broń i ekwipunek, które później zasilły oddział partyzancki por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”. Na początku 1943 roku, jako pracownik stacji kolejowej Nowe Świątynie, otrzymał przydział do 23. Ośrodka Dywersyjnego Ignalino–Nowe Świątynie, gdzie pełnił funkcję zastępcy dowódcy 9. patrolu. Ośrodek zajmował się dywersją i sabotażem na szlakach kolejowych, np. niszczone instalacje samochodów przewożonych na lawetach na front wschodni. Od tego momentu posługiwał się pseudonimem „Żelazny”. Jego zaangażowanie doceniali przełożeni i podzwini podwładni.

W marcu 1944 roku w związku z dekonspiracją został przeniesiony do V Wileńskiej Brygady AK, dowodzonej przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszke”. Otrzymał przydział do plutonu dowodzonego przez ppor. Mieczysława Kitkiewicza „Kitka”. Tam poznał swoich późniejszych wiernych przyjaciół, m.in. Henryka Wieliczkę „Lufę” oraz Jerzego Lejkowskiego „Szpagata”. (Fot. 2)

W lipcu 1944 roku przebijającą się na zachód brygada została okrążona przez oddziały Armii Czerwonej. W związku z tym 23 lipca 1944 roku mjr „Łupasz-

3

► Członkowie 4. szwadronu V Brygady Wileńskiej AK: Marian Pluciński „Mścislaw”, Jan Zalewski „Zaja”, Zdzisław Badocha „Żelazny”, Henryk Wieliczko „Lufa”, Jerzy Lejkowski „Szpagat”, Leon Smoleński „Zeus”, Witold Goldzisz „Radio”, NN „Zbigniew”, Kazimierz Ilczuk „Sęp”, Antoni Roszczewski „Znicz”



W październiku 1944 roku uciekli z obozu i powrócili do konspiracji, podejmując współpracę z podziemiem w rejonie Bielska Podlaskiego. W kwietniu 1945 roku Badocha ponownie znalazł się pod rozkazami mjr. „Łupaszk”, który na tym terenie odtwarzał V Wileńską Brygadę. Objął dowództwo plutonu w 4. szwadronie, dowodzonym przez por. Mariana Plucińskiego „Mścislawa”. (Fot. 3) „Żelazny” w trakcie tej służby wielokrotnie wykazywał się wielką odwagą, co dało mu awans na kaprała (22 maja 1945 roku), a następnie na podporucznika czasu wojny (15 sierpnia 1945 roku). Ogromnym zaufaniem darzył go mjr Szendzielarz, który parokrotnie powierzał mu zadania ochrony osobistej.

Kiedy 7 września 1945 roku koło leśniczówki Stoczek „Łupaszk” rozwiązał brygadę (tzw. akcja „rozładowania lasów”), „Żelazny” wraz z przyjaciółmi: „Lufą”, „Szpagatem” i Leonem Smolińskim „Zeusem”, udał się na urlop. Przez Lublin pojechali do domu rodzinnego Badochów w Dąbrowie Górniczej. (Fot. 5)

► Major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszk” (w środku) i jego podkomendni (od lewej): Henryk Wieliczko „Lufa”, Marian Pluciński „Mścislaw”, Jerzy Lejkowski „Szpagat” i Zdzisław Badocha „Żelazny”

ka” pod Porzeczem na Grodzieńszczyźnie rozwiązał oddział i polecił podkomendnym przebiegać się dalej na własną rękę do Puszczy Augustowskiej. „Żelazny” szedł w kierunku białostockizny w grupie dowodzonej przez ppor. „Kitka”. Grupa została okrążona przez jednostki NKWD, a jej członkowie zostali zatrzymani i wcieleni do ludowego Wojska Polskiego. „Żelazny” i jego koledzy zasilili szeregi 6. batalionu zapasowego 2. Armii WP, który stacjonował w Białymstoku-Dojlidach.



Jednak już w grudniu tego samego roku „Żelazny” wraz z kolegami pojawił się pod Sztumem, gdzie „Łupaszka” po raz kolejny organizował V Wileńską Brygadę. Podporucznik Badocha został dowódcą jednego z patroli dywersyjnych, który składał się głównie z wileńskich harcerzy. „Żelazny”, wykorzystując doświadczenie wyniesione z przedwojennego harcerstwa, działalności konspiracyjnej i partyzantki, umiejętnie dowodził oddziałem. Skutecznie paraliżował działalność administracji komunistycznej, UB i wojska na terenie Borów Tucholskich, Pomorza i Powiśla. Oddział Badochy (nazywany 5. szwadronem) działał jako grupa lotna, stale zmieniająca

Fot. AIPN

6



miejsu postoju. Wykorzystując zdobyte samochody, szybkie przemarze i kolej, atakował w miejscach, w których najmniej się go spodziewano.

Największym sukcesem oddziału „Żelaznego” był rajd z 19 maja 1946 roku, kiedy to poruszając się samochodami po terenie ówczesnych powiatów starogardzkiego i kościerzńskiego, rozbrojono siedem posterunków milicji (w Kaliskach, Osiecznej, Osieku, Skórczu, Lubichowie, Zblewie i Starej Kiszewie) oraz zlikwidowano dwie placówki UB (Skórcz, Stara Kiszewa). Podczas akcji zdobyto ponad dwadzieścia sztuk broni oraz kilka tysięcy sztuk amunicji. Rozstrzelano przy tym pięciu funkcjonariuszy UB, w tym oficera NKWD, sowieckiego doradcę Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Kościerzynie, lejtnanta Piotra Szyniedzina. Akcja była na tyle spektakularna, że komunikat o niej nadało radio BBC, a mjr Szendziszczak odznaczył za nią „Żelaznego” sygnetem V Wileńskiej Brygady oraz przedstawił do odznaczenia Krzyżem Virtuti Militari V klasy.

Obławy organizowane przez władze komunistyczne nie przynosiły spodziewanych rezultatów. Na początku czer-

ca 1946 roku oddział „Żelaznego” działał w rejonie Dzierżonia i Sztumu, rozbijając tamtejsze posterunki milicji. 10 czerwca 1946 roku podczas postoju żołnierzy „Żelaznego” we wsi Tulice oddział został zaatakowany przez grupę operacyjną UB i MO. Atak udało się odeprzeć i rozbić grupę operacyjną, jednak ppor. „Żelazny” został ranny. Opatrzyła go natychmiast sanitariuszka Danuta Siedzikówna „Inka”, ale rana wymagała interwencji lekarskiej. Zastępca „Żelaznego”, ppor. Olgierd Christa „Leszek”, który przejął dowodzenie oddziałem, najpierw nakazał natychmiastowe opuszczenie Tulic. Następnie umieścił rannego dowódcę w majątku Zielenice. Po krótkim tam pobycie „Żelazny” został przetransportowany na dalszą rekonwalescencję do pobliskiego Czernina. Po dwóch tygodniach rekonwalescencji do Czernina przybył kurier Stanisław Szczukno „Stach”, który miał przyprowadzić dowódcę do oddziału. To on towarzyszył „Żelaznemu” podczas posiłku feralnego 28 czerwca 1946 roku. Trzecią osobą przy stole był Józef Piątek. Zabitego na miejscu w wyniku całkowite przypadkowej akcji milicji milicjanci rozpoznali go dopiero po złotym sygnecie

V Wileńskiej Brygady, na którym widniała się dedykacja od mjr „Łupaszki”. Miejsce pochówku „Żelaznego” do dzisiaj jest nieznane.

A co się stało z dwoma pozostałymi mężczyznami, którzy towarzyszyli Badochowi przy posiłku w Czerninie? Józef Piątek zdołał uciec. Przeniósł się na teren województwa olsztyńskiego, gdzie jednak został znaleziony i aresztowany 10 sierpnia 1948 roku. Skazany na 12 lat, opuścił więzienie w 1956 roku. Stanisław Szczukno „Stach” został aresztowany i spędził długie lata w więzieniu. W latach sześćdziesiątych, koordynując prace budowlane na fermie w pobliżu Czernina, wmurował głaz, na którym zamierzał umieścić tablicę z informacjami o działalności żołnierzy mjr. „Łupaszki”. Udało się to zrealizować dopiero w 2006 roku, jednak stan zdrowia nie pozwolił Szczukniemu na udział w odsłonięciu pamiątki. W jego zastępstwie przybyło dwoje innych żołnierzy V Brygady Wileńskiej AK: sanitariuszka Janina Wasilój-Smoleńska „Jachna” i dowódca patrolu dywersyjnego, Józef Bandzo „Jastrząb”. 🇂🇵

Robert Szczesniak – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Nie ma wątpliwości: Lech Wałęsa w latach 1970–1976 był zarejestrowany jako tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Bolek”.

Odnalezione niedawno dokumenty (teczka personalna oraz teczka pracy TW „Bolka”), które bezprawnie przechowywał ostatni minister spraw wewnętrznych PRL Czesław Kiszcak, znacząco rozszerzają naszą wiedzę o współpracy Wałęsy z SB. Są one tym istotniejsze, że dotychczas dysponowaliśmy jedynie pojedynczymi dokumentami oryginalnymi oraz kilkoma kserokopiami. Wiarygodność tych drugich często dezawuowano. Odkryte ostatnio dokumenty pozwalają zweryfikować stawiane wcześniej hipotezy. Ich główna wartość tkwi jednak w całościowym rozpoznaniu zakresu współpracy TW „Bolka” i jego przydatności dla Służby Bezpieczeństwa.

Trzeba przypomnieć, że materiały dotyczące danego tajnego współpracownika gromadzono zazwyczaj w dwóch oddzielnych teczkach. W tezcze personalnej znajdowały się dokumenty na temat samego agenta (m.in. wnioski o opracowanie kandydata na TW, zobowiązanie do współpracy, arkusz wypłat i świadczeń, pokwitowania odbioru gotówki, charakterystyki, doniesienia innych tajnych współpracowników na jego temat). W tezcze pracy zaś gromadzono informacje od niego uzyskane. Tam też można znaleźć dane o zadaniach zleczanych tajnemu współpracownikowi czy o przedsięwzięciach podejmowanych na podstawie uzyskanych od niego informacji.

Z zachowanych dokumentów wynika, że w przypadku Lecha Wałęsy współpraca z SB w pierwszych kilku, kilkunastu miesiącach była intensywna i – z punktu widzenia SB – owocna. Wałęsa został do niej zwerbowany 21 grudnia 1971 roku. W czasie kilkuletniej współpracy był prowadzony (obsługiwany) przez kilku funkcjonariuszy: Edwarda Graczyka (do marca 1971 roku), Henryka Rapczyńskiego (od kwietnia do września 1971 roku) i,

zdecydowanie najdłużej, przez Zenona Ratkiewicza (od września 1971 do lutego 1976 roku, przy czym od kwietnia 1972 roku spotykał się z nim także rezydent w Stoczni Gdańskiej ps. „Madziar”, emerytowany funkcjonariusz SB). Ostatnia zachowana informacja uzyskana przez SB od TW „Bolka” pochodzi z 18 lutego 1976 roku. Z sieci agenturalnej został wyrejestrowany cztery miesiące później, 19 czerwca 1976 roku.

W aktach zachowały się trzy charakterystyki TW „Bolka” – dwie autorstwa Ratkiewicza (z 1972 i 1976 roku) oraz jedna „Madziara” (1975). Tego rodzaju dokumenty funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa co pewien czas sporządzali w przypadku tzw. osobowych źródeł informacji (agentów), umieszczając je w ich teczkach personalnych. Zawierały opis współpracy z danym TW: jego sposób zachowania, motywacje do współpracy, reakcje na różne pytania itp. Charakterystyki okazywały się pomocne np. w przypadku przejścia danego współpracownika przez innego funkcjonariusza lub inną jednostkę SB. Oficerowie SB co jakiś czas awansowali lub odchodzili ze służby. Tak samo ich współpracownicy zmieniali miejsca pracy lub się przeprowadzali do innego miasta. Gdy inna jednostka SB była zainteresowana danym TW lub przejmowała go inny oficer, charakterystyki okazywały się nieocenioną wręcz pomocą. Czytający je funkcjonariusz – nie znając wcześniej danej osoby – dowiadywał się o dotychczasowej współpracy i jej specyfice. Poznawał zalety i wady danego TW, co ułatwiała mu pierwszy kontakt.

Prezentowany dokument jest jednym z ostatnich zachowanych w tezcze personalnej TW „Bolka”. Jest to sporządzona przez starszego inspektora Wydziału III Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku, Zenona Ratkiewicza, charakterystyka z 9 czerwca 1976 roku. Powstała w związku z zamiarem wyrejestrowania „Bolka” z sieci agenturalnej. Ratkiewicz zamieścił w niej najważniejsze informacje dotyczące współpracy Lecha Wałęsy z SB. Pisał o okolicznościach werbunku, funkcjonariuszach przyjmujących donie-

sienia TW „Bolka”, pieniądzech, które miał od nich przyjmować itd. Dużą część poświęcił samemu tajnemu współpracownikowi. Funkcjonariusze spotykający się z „Bolkim” byli ewidentnie zadowoleni z pierwszych dwóch lat współpracy. Później zauważyli jednak jego niechęć do dalszej współpracy. Spotkania stały się rzadsze, a uzyskiwane informacje mniej wartościowe. Największym problemem okazały się jednak wypowiedzi TW „Bolka” w miejscu pracy. Krytykował w nich władze nie tylko stoczni, lecz także państwowe. W wystąpieniu z lutego 1976 roku – a więc w okresie zarejestrowania w charakterze tajnego współpracownika – Lech Wałęsa mówił m.in., „że Rząd to śruba, a partia [PZPR] to przedłużenie śruby”. Doprowadziło to do zwolnienia go ze Stoczni Gdańskiej. Musiał szukać nowej pracy i na trzy lata trafił do Gdańskich Zakładów Mechanizacji Budownictwa „ZREMB”. Tam nadal prezentował „wrogą postawę”, m.in. w 1978 roku przystąpił do Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Wtedy to, jak wynika z zachowanych – niestety tylko w formie kserokopii – dokumentów, Służba Bezpieczeństwa podjęła nieudaną próbę jego ponownego werbunku do współpracy. W sierpniu 1980 roku stanął na czele strajku w Stoczni Gdańskiej i został legendarnym przywódcą Solidarności. Był w tym czasie rozpracowywany przez SB (w latach 1978–1983 w ramach sprawy operacyjnego sprawdzenia, a następnie sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Bolek”, a od 1983 roku w ramach SOR „Zadra”).

Prezentowana charakterystyka TW „Bolka” zawiera syntetyczny opis współpracy Lecha Wałęsy z SB w latach 1970–1976. Jest to – o czym trzeba pamiętać – perspektywa tylko jednej strony, tej esbeckiej. Niestety, sam zainteresowany przez kilkadziesiąt lat niewiele uczynił, by przedstawić własną wersję, dodajmy: wersję, która wytrzymałaby krytyczną ocenę historyków. ■

dr Grzegorz Majchrzak – historyk,
pracownik Biura Edukacji IPN

Grzegorz Wolk – historyk, politolog,
pracownik Biura Edukacji IPN

Czesław Wojtalik (ur. 1933) – w latach 1956–1983 funkcjonariusz SB, w 1976 roku zastępca naczelnika Wydziału III KW MO w Gdańsku; po Grudniu '70 kierował grupą funkcjonariuszy inwigilujących osoby uznane za prowodyrów protestów

Miejsce i data wytworzenia dokumentu

Paginacja nadana w archiwum IPN

Paginacja nadana w archiwum SB

Najwyższa klauzula tajności dokumentu oraz informacja, że powstał tylko w jednym egzemplarzu

Wpisanie pseudonimu zamiast imienia i nazwiska służyło dodatkowej konspiracji osobowego źródła informacji i w tego rodzaju dokumentach było często praktykowane

Wyrażenie slangowe funkcjonariuszy SB oznaczające, że dana osoba spotykała się z danymi funkcjonariuszami

Lecha Wałęsę pozyskano na potrzeby sprawy obiektywnej „Jesień 70”, w ramach której inwigilowano i represjonowano osoby uznane za „prowodyrów” protestów z grudnia 1970 roku w Trójmieście

W ocenie funkcjonariusza SB przez pierwsze dwa lata współpraca w „Bolkim” funkcjonowała bez zastrzeżeń

Józef Dąbek (ur. 1916) – emerytowany funkcjonariusz UB/SB, w latach siedemdziesiątych rezydent na terenie Stoczni Gdańskiej

Podawane uzasadnienia zerwania współpracy powstały na podstawie informacji uzyskiwanych od TW „Bolka” i znajdują potwierdzenie w pozostałych dokumentach

Mowa o krytycznych wobec władz wystąpieniach Lecha Wałęsy na terenie Stoczni Gdańskiej

Miejsce spotkań funkcjonariuszy SB z agentami, często zwykle mieszkania wynajmowane przez lub należące do SB

Informacja nieścisła; według zachowanego arkusza wypłat i świadczeń na rzecz tajnego współpracownika, „Bolek” miał otrzymać 13,3 tys. zł; pokwitowania odbioru gotówki (kwestionowane przez samego zainteresowanego) opiewają na 11,7 tys.

Zenon Ratkiewicz (ur. 1923) – w latach 1947–1956 oraz 1968–1976 funkcjonariusz UB/SB; w latach 1970–1973 w Grupie VI Wydziału III KWMO w Gdańsku, która prowadziła sprawę „Jesień 70”

Gdańsk, dnia 9.06.1976r.

TAJNE SPEC. ZNACZENIA
Egz. pojedynczy

CHARAKTERYSTYKA

tw. ps. „BOLEK”.

Tw. „Bolek” do współpracy z organami bezpieczeństwa pozyskany został w dniu 29.12.1970r. na zasadzie dobrowolności przez st.insp. Wydz. II KWMO w Olsztynie kpt. E. GRACZYKA.

Był na kontakcie 3 pracowników i rezydenta.

Celem pozyskania było rozeszanie działalności kierownictwa Komitetu Strajkowego oraz innych osób wrogo działających po wypadkach grudniowych 1970r. w Stoczni Gdańskiej.

Od roku 1970 do 1972 przekazał szereg cennych informacji dot. destrukcyjnej działalności niektórych pracowników.

Na podstawie otrzymanych materiałów załóżono kilka spraw.

W tym czasie dał się poznać jako jednostka dyscyplinowana i chętna do współpracy.

Po ustabilizowaniu się sytuacji w Stoczni Gdańskiej tw. wykorzystywany był jako jednostka sygnalizacyjna i był na kontakcie rezydenta „MADZIAR”.

Od tego czasu dążył do dalszej współpracy, tłumacząc brakami czasu i to, że na zakładzie nie się nie dzieje oraz żądaniem zapłaty za przekazywane informacje, które nie stanowiły większej wartości operacyjnej. Podczas kontroli poprzez inne źródła informacji stwierdzono, że niejednokrotnie w przekazywanych informacjach przebiegała się chęć własnego poglądu na sprawę, nadając jej jako opinię środowiskową. Stwierdzono również, że podczas odbywających się zebrań dość często bez uzasadnienia krytykował kierownictwo administracyjne, partyjne i związkowe wydziału.

Po każdym jego wystąpieniu przeprowadzono z nim rozmowę podczas, której wytykano mu jego niewłaściwe wystąpienie na zebraniu,

pouczano jak ma zachowywać się oraz ostrzegano go, że o ile będzie nadal tak postępował, to zostanie zwolniony z zakładu.

Swoje wystąpienie tłumaczył zawsze tym, że o ile nie będzie zabierał głosu w obronie pracowników, straci całkowicie zaufanie w zakładzie i nie będzie wiedział co się dzieje w zakładzie, dlatego też wystąpienie swoje uważa za słuszne.

Pomimo naszych kilkakrotnych ostrzeżeń w dniu 11.02.1976r. biorąc pod uwagę niewłaściwe zachowanie się tw. „Bolek” i to, że został zwolniony ze stoczni, uważam wyeliminować go z czynnej sieci agenturalnej, a posiadaną teczkę personalną i roboczą złożyć do archiwum w Wydz. „G” tut. Kennedy.

Za wystąpienie to dyrekcja zakładu stoczni. z dniem 30.4.76r. zwolniła z pracy.

Spotkanie z tw. „Bolek” odbywały się poza LK. Za przekazywane informacje był wynagradzany i w sumie otrzymał 13.100 zł. - wynagrodzenie-brań bardzo chętnie.

Biorąc pod uwagę niewłaściwe zachowanie się tw. „Bolek” i to, że został zwolniony ze stoczni, uważam wyeliminować go z czynnej sieci agenturalnej, a posiadaną teczkę personalną i roboczą złożyć do archiwum w Wydz. „G” tut. Kennedy.

St.insp. Wydz. III

kpt. Z. RATKIEWICZ

Wniosek o opracowanie kandydata na TW pochodzi z 19 grudnia 1970 roku, zobowiązanie do współpracy z 21 grudnia 1970 roku, natomiast w charakterze TW został zarejestrowany (w dzienniku rejestracyjnym KW MO w Gdańsku) 29 grudnia 1970 roku

Tak zakwalifikowali pozyskanie do współpracy oficerowie SB; to zapis standardowy, w rzeczywistości najczęściej podjęcie współpracy następowało w wyniku presji funkcjonariuszy

Edward Graczyk (ur. 1933) – w latach 1953–1973 funkcjonariusz UB/SB w Olsztynie, w grudniu 1970 roku jako oficer kontrwywiadu oddelegowany czasowo do Gdańska

Współpracownik SB, który poza przekazywaniem doniesień odbierał także informacje od innych TW

Z teczki pracy TW „Bolka” wynika, że przekazał wówczas kilkadziesiąt informacji

Na podstawie informacji uzyskanych od TW „Bolka” SB objęła inwigilację współpracowników Wałęsy ze Stoczni Gdańskiej (m.in. Henryka Lenarciaka i Józefa Szylara)

Współpracownik udzielający informacji, umożliwiających SB przeciwdziałanie wydarzeniom, np. planowanym strajkom czy manifestacjom

Lecha Wałęsę zwolniono z pracy w stoczni 30 kwietnia 1976 roku

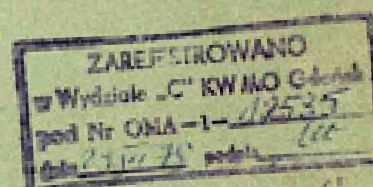
Lech Wałęsa mówił wówczas m.in. „że Rząd to śruba, a partia (PZPR) to przedłużenie śruby. W związkach zawodowych pracują same manekiny, a w Stoczni na skutek złej organizacji ludzie sami zabijają się. Aparat państwowy nie wywiązuje się z przyrzeczeń”

Wydział „C” – jednostka zajmująca się prowadzeniem archiwum i ewidencji operacyjnej (kartotek) SB

Fot. AIPN

TECZKA PERSONALNA TAJNEGO WSPÓŁPRACOWNIKA

2007



"Bolek"

Ign bu 3333/1/2

MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH

TAJNE

spec. znaczenia

ZNIESIENIE KLASYFIKACJI
10 PAŹN. 2016 r. 7 pkt. 2 ustawy o ochronie informacji niejawnych
(Dz.U. z 2016 r. Nr 122, poz. 1328)

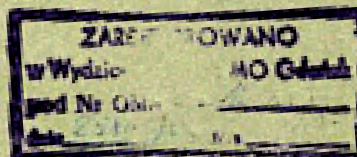
2.02.2016
data

Andrzej Piwnicki
Imię i nazwisko

podpis

TECZKA PRACY TAJNEGO WSPÓŁPRACOWNIKA

2007



"Bolek"

Errata do biografii Wałęsy

Teczki TW „Bolka” pogłębiają naszą wiedzę o współpracy Lecha Wałęsy z SB.

Ale to nie znaczy, że biografię przywódcy Solidarności trzeba pisać na nowo – mówią

prof. Andrzej Paczkowski i dr Grzegorz Majchrzak w rozmowie z Andrzejem Brzozowskim

W okresie transformacji ustrojowej wiele dokumentów zostało zniszczonych, część zniknęła z archiwów i została „sprywatyzowana”, czyli nielegalnie zawłaszczona przez tych, którzy mieli do nich dostęp. Co wiemy o tym zjawisku?

Andrzej Paczkowski: Śladów wynoszenia akt jest o wiele mniej niż formalnych dowodów ich niszczenia – bo ktoś albo musiałby zostać na tym złapany, albo się przyznać. Niekiedy zostają przypadkowo znalezione – np. na początku lat dziewięćdziesiątych w jakiejś altance natrafiono na dokumenty dotyczące opozycyjnej dziennikarki Teresy Boguckiej.

Grzegorz Majchrzak: O tym się dużo mówiło, a najbardziej znana osoba, która wyniosła dokumenty z MSW, to Czesław Kiszczak. Wiadomo było, że ma filmy i zdjęcia z Magdaleny – zresztą się z tym nie krył, przekazywał je np. Telewizji Polskiej, wykorzystano je w wywiadzie rzece z nim. Generalnie jednak nikt się do posiadania takich kwitów nie przyznawał. Rozmawiałem z kilkoma działaczami opozycji, którzy opowiadali, że spotykali na ulicy byłych esbeków, a ci mówili: „Mam na ciebie dokumenty, których nie ma w IPN” – i w ciągu godziny je przynosili. Skali tego zjawiska niestety nie znamy. Poza tym to, że materiał oznaczono jako wybrakowany, czyli zniszczony – niekoniecznie musi świadczyć o tym, że rzeczywiście tak było. Mógł właśnie zostać „sprywatyzowany”.

AP: Do mnie także w roku 1991 czy 1992 zadzwonił były funkcjonariusz SB i zaproponował wykupienie dokumentów Polskiego Związku Alpinizmu. Zgodziłem się, ale zastrzegłem, że muszę to skonsultować z zarządem PZA. Więcej już nie zadzwonił. Do tej pory w IPN nie znaleziono żadnej teczki obiektowej dotyczącej związku. Jak widać, były na tym tle jakieś interesy czy gry.

GM: Niektóre redakcje pism współpracujące z byłymi funkcjonariuszami, czyli przede wszystkim „Nie” Jerzego Urbana czy „Fakty i Mity”, zamieszczały dokumenty spoza archiwów, co świadczy o tym, że byli esbecy je przechowują.

Czasem takie niespodziewane pojawienie się dokumentów wygląda na celowe, selektywne wypuszczanie w obieg. Czemu może służyć „prywatyzowanie” – przecież nie tylko ich ukryciu?

AP: Przechowuje się „prywatyzuje” materiały, które będzie można później wykorzystać: albo do wymuszenia na kimś czegoś, albo sprzedania. Z drugiej strony chodzi o ukrycie jakichś własnych niegodziwości. Generał Wojciech Jaruzelski wydał polecenie zniszczenia stenogramów posiedzeń Biura Politycznego KC PZPR – prawie wszystkie zostały zniszczone, w Archiwum Akt Nowych to widać: wrywano z już zszytych tomów. Mówił później, że były tam sprawy kompromitujące działaczy opozycji, ale mnie się wydaje, że przede wszystkim kompromitujące Jaruzelskiego i jego towarzyszy.

GM: Paradoksalnie Jaruzelskiego łatwiej byłoby w wolnej Polsce skazać za niszczenie tych materiałów (zgodnie z prawem archiwalnym powinny być wieczysto przechowywane) – przestępstwo zagrożone karą do trzech lat więzienia – niż za wprowadzenie stanu wojennego.

AP: Nawet podjęto taką próbę, chyba w 1992 roku.

Najważniejszym elementem materiałów pozyskanych niedawno z domu gen. Czesława Kiszczaka są teczki tajnego współpracownika „Bolka”. Co zawierają?

AP: To teczka osobowa i teczka pracy TW „Bolka”. W całej tej dokumentacji kilkakrotnie pojawia się identyfikacja, kim jest TW „Bolek” – m.in. na zobowiązaniu do współpracy, podpisanym: „Lech Wałęsa, TW Bolek”, oraz w dokumentach dotyczących werbunku, a także w jednej z charakterystyk. Zazwyczaj jednak posługiwano się samym pseudonimem. Nie ma tam natomiast nigdzie zdjęcia.

GM: Wynika to z tego, że w tej teczce nie ma ankiety, którą standardowo sporządzano w trakcie tzw. opracowania kandydata na TW. A znamy zeznanie funkcjonariusza SB, który



Fot. Piotr Życieński

prof. Andrzej Paczkowski (ur. 1938) – historyk, członek Rady Instytutu Pamięci Narodowej; wcześniej przez dwie kadencje zasiadał w Kolegium IPN; od września 1980 roku – członek NSZZ „Solidarność”; w 1983 roku jeden z założycieli Archiwum „Solidarności”; autor wielu monografii, m.in. *Wojna polsko-jaruzelska* (2006), *Pół wieku dziejów Polski 1939–1989* (1998)



Fot. Katarzyna Adamów

dr Grzegorz Majchrzak (ur. 1969) – historyk, od 2000 roku pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności” i Stowarzyszenia Wolnego Słowa; zajmuje się badaniem dziejów aparatu represji (zwłaszcza organów bezpieczeństwa), opozycji demokratycznej w PRL (głównie NSZZ „Solidarność”), funkcjonowaniem mediów (przede wszystkim Polskiego Radia i Telewizji Polskiej) przed 1989 rokiem, sportem w PRL oraz stanem wojennym

twierdził, że osobiście taką ankietę wypełniał. Z całą pewnościąteczka personalna „Bolka” jest niekompletna. Brakuje trzech pokwitowań odbioru gotówki przez TW „Bolka”, na których istnienie wskazuje arkusz wypłat i świadczeń.

AP: Są tam również wyraźne ślady, że tę dokumentację wykorzystywano w 1982 roku do operacji „Ambasador”. Miała ona polegać na podrzuceniu do komitetu noblowskiego dowodów współpracy z SB Lecha Wałęsy – zgłoszonego wówczas do Pokojowej Nagrody Nobla. Żeby zdyskredytować kandydata, planowano „wydłużenie” tej współpracy, ale do tej pory nie znaleziono żadnych dokumentów z tej operacji. W teczce TW „Bolka” jest korespondencja z Biurem Studiów SB MSW (elitarną jednostką SB utworzoną w stanie wojennym, odpowiedzialną głównie za zwalczanie podziemnej Solidarności). Wynika z niej, że z teczki pracy wzięto co najmniej jedno z rękopiśmiennych doniesień TW „Bolka”. W teczce tej jest też użyty jako zakładka fragment listy członków Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, która powstała w październiku 1981 roku, co oznacza, że ktoś po październiku 1981 roku tej teczki używał i zakładkę tę (przez nieuwagę?) zostawił.

PAP/CAF/Maciej Sochor



► Triumfujący Lech Wałęsa; na zdjęciu widoczni m.in. Anna Walentynowicz, Tadeusz Mazowiecki, Kazimierz Świątoń; Kraków, 18 października 1980 roku

Wyjaśnijmy jeszcze sprawę teczki, którą Lech Wałęsa miał w rękach podczas swojej prezydentury, a która wróciła zdekompletowana. Jak to się ma do dokumentów znalezionych u Kiszczaka?

AP: Tę sprawę dość dokładnie wyjaśnili Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk w książce *SB a Lech Wałęsa*. Były to materiały zebrane w związku z przygotowaniem tzw. listy Macierewicza w 1992 roku. Zrobiono kwerendę w archiwum UOP w Gdańsku i wybrano z różnych spraw operacyjnych dokumenty dotyczące „Bolka”. Trochę tego zostało znalezione – jeśli nie wszystko, to przynajmniej duża część – i to chyba stanowiło „teczkę Wałęsy” w UOP. Ale nie była to teczka, o której dziś mówimy.

Czego nowego dowiedzieliśmy się z teczki „Bolka”?

AP: Zależy, co kogo interesuje. Ci, którzy zajmują się historią Stoczni Gdańskiej, znajdują tam wiele informacji o funkcyj-

waniu zakładu, stosunkach pracy, jak się kombinowało, żeby zaliczyć sobie nadgodziny. W niektórych opisach Wałęsy widać, że on oczekuje od SB, żeby zrobiła tam porządek.

Wałęsa czy „Bolek”? Wciąż jesteśmy przed analizami grafologów.

AP: W tym przypadku to na pewno Wałęsa. Po prostu żaden funkcjonariusz by tego nie wymyślił.

GM: Dla mnie bardzo ciekawym dokumentem był pochodzący jeszcze sprzed współpracy zapis rozmowy operacyjnej przeprowadzonej z Wałęsą 19 grudnia 1970 roku, w której opisuje on przebieg Grudnia '70, swój w nim udział, swoje wejście na komendę MO, a także pierwsze postulaty – już 15 grudnia pojawiają się żądania poinformowania społeczeństwa, gdzie i kiedy będą się odbywać pogrzeby ofiar. Jeśli zaś chodzi o współpracę Lecha Wałęsy z SB – bo żaden poważny historyk nie ma wątpliwości, że miała miejsce – to pogłębi-

pamięć.pl

WYWIAD 19

ZAREJESTROWANO
w Wydziale „C” KWALIFIKACJE
pod Nr OMA-1-112545
data: 11.12.1942

„Bote k”

Jednostka 21.XII.1942r.

12

Jobowigzanie

Ja mój podpisany Włocław Lech syn
Bolesława i Felicy urodzony 1943 r. w Popowie
now Lipnie zobowiązuję się zachować
w tajemnicy treść przeprowadzonego
mojego śledztwa

pamięć.pl

WYWIAD 19

ZAREJESTROWANO
w Wydziale „C” KWALIFIKACJE
pod Nr OMA-1-112545
data: 11.12.1942

„Bote k”

Jednostka 21.XII.1942r.

12

Jobowigzanie

Ja więc podpisany Włocław Lech syn
Bolesława i Felicy urodzony 1943 r. w Popowie
now Lipnie zobowiązuję się zachować
w tajemnicy treść przeprowadzonego
mojego śledztwa

The collage consists of several elements:

- Top Left:** The logo "pamięć.pl" in a stylized font.
- Top Right:** The text "WYWIAD" and the number "19".
- Center:** A large, grainy black and white photograph of a man with a mustache, wearing a suit and tie, with his right hand raised in a gesture.
- Bottom Left:** A black and white photograph of a dense crowd of people, mostly men, looking towards the right.
- Bottom Center:** A red rectangular stamp with white text that reads: "ZAREJESTROWANO w Wydziale „C” KWALIO Cui. pod Nr. OMA-1-112545". Below the stamp, the word "Bote k" is written in red cursive.
- Bottom Right:** A yellowed, aged document with handwritten text in Polish. The text includes "Jednostka 21.XII.1942r." and "12". The main body of text is a handwritten note, partially legible as "Ja mój podpisany...".

1971 roku
przez tzw.
tajną kryty-
kę, którym się
nie jest sy-
d lat tego ro-
nią (pomijając

AP: Dla mnie jest to fantastyczny materiał historyczny i psychologiczny – sylwetka Wałęsy, jego sposób widzenia rzeczywistości, jego dążenie do tego, żeby ludzie się dogadali, żeby nie było tumultu, żeby krew się nie lała – w tym celu trzeba się porozumieć, uspokoić nastroje.

GM: To jest jego konsekwentna postawa także w latach osiemdziesiątych. Inaczej prawdopodobnie żadnej współpracy ze służbami by nie było. Bo to jest dla SB sygnał, że ta osoba nie jest do niej wrogo nastawiona. Na pierwszym spotkaniu po werbunku 22 grudnia ewidentnie nie widać chęci współpracy ze strony Wałęsy. Funkcjonariusz napisał, że Wałęsa mówi, iż pracuje na stanowisku, na którym nie za bardzo ma możliwości zdobywania informacji – i zdaje tylko ogólną relację, że w stoczni są kiepskie nastroje. Ale to przecież oczywiste. Jedyną przydatną informacją (i to nie dla SB, lecz dla MO) jest nazwisko osoby, która mogła się dopuścić w Grudniu '70 kradzieży. Ważne jest dla mnie pytanie, co się stało, że postawa Wałęsy się później zmieniła: informacje są bardziej szczegółowe, dotyczą konkretnych osób i wydarzeń.

AP: On jakby współgrał z tym esbekiem – należy robić wszystko, by nie dopuścić do eskalacji, kolejnych strajków, manifestacji i kolejnych ofiar. I właśnie dlatego on mówi, że ten rozrabia, a tamten jakieś ulotki drukuje, ten powielacz niesie, a w domu robotniczym jest grupa, która coś przygotowuje – bo to z jego punktu widzenia było niebezpieczne. A o to samo chodziło też SB, ale z innych powodów. Z czasem zapewne doszła motywacja finansowa, bo zaczęto „Bolkowi” płacić za przekazane informacje.

Z tego, co Panowie mówią, wynika, że Wałęsa starał się tonować nastroje, podczas gdy jego powszechny odbiór jest zupełnie inny – przywódca opozycji, wódz buntu.

AP: To jest bunt, ale jego celem nie jest obalenie ustroju, tylko jego zmiana w warunkach pokojowych, a nie przez rewolucję.

GM: Trzeba dodać, że formalnie Wałęsę werbowano po to, aby identyfikować – tu cytat z funkcjonariusza – „osoby, które brały udział w mordach, rabunkach, podpaleniach, rozbojach i sabotażach”, które „muszą być wykryte i osądzone zgodnie z prawem”. Było tu więc szukanie płaszczyzny porozumienia i współpracy, co nie zmienia tego, że Wałęsa zdecydowanie przekroczył granice, np. donosząc o przygotowywanych akcjach ulotkowych czy o inicjatywach politycznych konkretnych osób, którym zaszkodził. Iluś z nich było później wskutek jego donosów rozpracowywanych, m.in. Józef Szyler, któremu po informacjach „Bolka” SB założyła najpierw kwestionariusz ewidencyjny, a później sprawę operacyjnego sprawdzenia.

AP: Podobnie było chyba z Janem Jasińskim, który – jak mówił „Bolkowi” – działał wspólnie ze studentami. Zaniepokoiło to SB, ale sądzę, że zaniepokoiło też Wałęsę, który uważał, że protest należy skanalizować, zorganizować. Nie chodziło mu o obalenie systemu, wolną Polskę – wtedy tego nikt tak na serio nie rozważał. Pod tym względem epizod współpracy dobrze mieści się w tym, co robił później. Natomiast od 1973

roku, a może już w 1972, coś się w jego współpracy zaczęło zmieniać. W stoczni właściwie już nic się nie działo...

GM: On to wręcz mówi – to taka próba zniechęcenia SB. Nie przyniosłem informacji, bo nie mam o czym mówić. A wy mi i tak nie płacie. Można to zinterpretować tak, że jest po prostu chciwy i chce pieniędzy – to już bodajże rok 1975. Ale możliwa jest druga interpretacja: chciał wytworzyć w SB przekonanie, że nie warto z nim rozmawiać, bo i tak nie ma informacji, a w dodatku trzeba mu płacić.

AP: Tak, ale chodziło mi o coś trochę innego. On od pewnego momentu coraz wyraźniej zaczyna traktować spotkania z SB jako sposób na zmianę funkcjonowania zakładu. Opisuje, że na gorze są durnie, a na dole obiboki i to go wnerwia, bo chciałby rzetelnie pracować, zarabiać dobre pieniądze, mieć organizację, która będzie broniła jego interesów. Stenogram jego wystąpienia w 1976 roku, po którym go wyrzucono – i ze stoczni, i z sieci agenturalnej – ma właśnie taki charakter.

GM: Mamy tu do czynienia ze współpracą regularną i zaangażowaną, a od pewnego momentu chyba próbą wyrwania się – Wałęsa mówi, że nie ma informacji, żeby ograniczyć kontakty...

AP: ... że nie ma czasu, że musi dorabiać...

GM: Jest i na niego doniesienie TW „Bieglego” z września 1973 roku, w którym ten pisze, że Wałęsa przestrzegał go, aby uważał, co mówi, bo – i tu cytat – „można pożegnać się ze stocznia”. W rezultacie po kolejnym – podkreślam: kolejnym, bo zaczynają się one już w 1971 roku – wrogim wystąpieniu Wałęsy, zostaje on usunięty w czerwcu 1976 roku z sieci agenturalnej. Bezpośrednim powodem tej decyzji było jego „aroganckie zachowanie” oraz niechęć do współpracy – jak pisał esbek: „nie chce tych organów znać”.

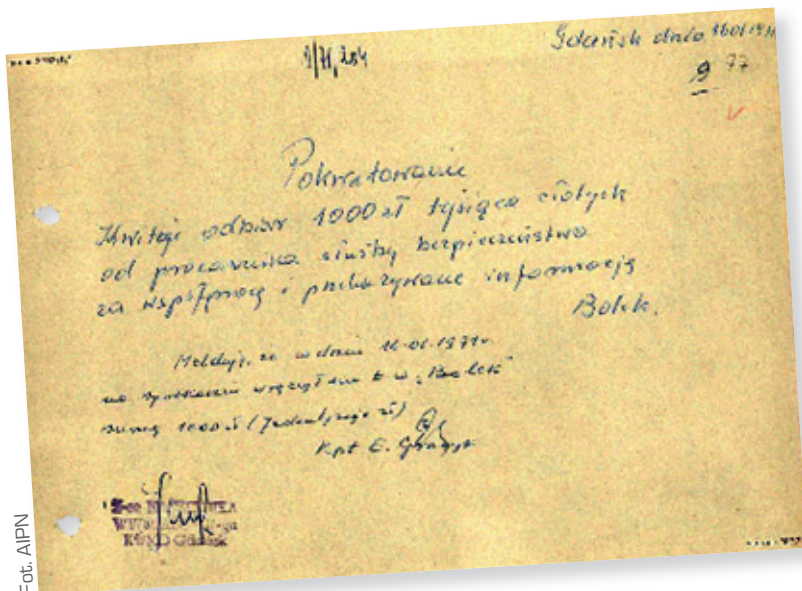
AP: I jednocześnie wyrzucenie z pracy.

Czyli jego współpraca kończy się w 1976 roku?

AP: Formalnie. Właściwie nie przekazuje informacji szkodzących innym już od roku 1972.

GM: Byłbym tu ostrożniejszy. Okres najintensywniejszej współpracy to lata 1971–1972. Później zysk informacyjny SB jest zdecydowanie mniejszy, co potwierdzają – jeśli uznać je za wiarygodne – zapisy dotyczące wynagradzania. Do 1972 roku miały to być regularne płatności, później październik i grudzień 1973 – dwie niewielkie sumy – oraz czerwiec 1974 roku – też niewielka kwota za pierwsze półrocze tego roku. Widać, że jego przydatność dla SB spada.

AP: Wałęsa miał coraz mniej ochoty, żeby przekazywać informacje. I jednocześnie miał coraz mniej informacji, które SB interesowały – bo już nikt nie strajkował, nie było tak napiętej atmosfery, która się skończyła mniej więcej w grudniu 1971 roku. Z tych powodów SB przestała być zainteresowana utrzymywaniem zbyt rozbudowanej sieci tajnych współpracowników i Wałęsa został zdegradowany. Już nie spotykał się z nim oficer SB, lecz rezydent na terenie stoczni ps. „Madziar”, emerytowany funkcjonariusz. Od maja 1972 roku pozycja Wałęsy spadała, myślę, że podobnie jak



Fot. AIPN

Forma 3333/1/:

972

Tabela spec. znaczeń

Arkusz wypłat i świadczeń na rzecz t. w.

Nr ewidencyjny 12535

Wynagrodzenie	Stosunek kwotowy (zawartości z wykonaniem poleceń)	Data i kwota wypłaty
1000 204/71		5.01.71 Kpt. Gładysz
500 -		25.01.71 - "
4500 -		18.02.71 - "
1000 -		16.01.71 - "
500		12.04.71 Kpt. Kąkolowski
1000		28.04.71 - "
500		26.05.71 - "
500		8.06.71 - "
500		8.02.71 - "
700		29.11.71 Kpt. 2. Białkowski
600		22.10.71 - "
600		27.07.1978 - "
500		5.04.71 - "

* Przez wyrażenie kwoty należy zaokrąglić do pełnej złotówki i ten kwoty pisać
np.: 1000 zł 1000 00

Wzrost: 50/7

Fot. AIPN

▶ Arkusz wypłat dla TW „Bolka” i pokwitowanie odbioru pieniędzy

wszystkich TW. Stocznia po prostu przestała być obiektem „specjalnej troski”.

GM: Esbecy mają jeszcze jeden problem z „Bolkiem”. Mianowicie piszą, że informacje, które przedstawia, nie są obiektywne, tylko są punktem widzenia Lecha Wałęsy.

AP: On zaczyna psioczyć na dyrekcję stoczni – a co to SB obchodzi? Ich obchodzi, kto ma ulotki, kto nawołuje do strajku, kto wyraża się negatywnie o towarzyszu Gierku, a nie to, że dyrekcja nie potrafi zorganizować pracy i że są tam jakieś typowe absurdy PRL. To tylko jego interesowało.

GM: Ich by to interesowało, gdyby on informował, że z powodu tego, że dyrekcja coś źle zorganizowała, jest szykowany strajk.

Sytuacja się zmieniła kilka lat później, kiedy rola Wałęsy wzrosła. W latach osiemdziesiątych SB produkowała materiały kompromitujące Wałęsę.

AP: Dopiero w 1982 roku. Wcześniej mogła coś puszczać, ale w tej materii należy być bardzo ostrożnym. SB na ogół trzymała się jednego z podstawowych standardów: tajnych współpracowników się nigdy nie ujawnia, bo jak się raz zacznie, to będzie coraz trudniej zwerbować następnych. I jeśli coś takiego robiono, to tylko w ramach operacji najwyższego znaczenia, jak operacja „Ambasador” czy „wrzutka” kilku kserokopii do internowanej Anny Walentynowicz (która zresztą wyrzuciła te papiery).

Ale czym innym jest ujawnienie, a czym innym groźba ujawnienia.

AP: Chcę zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. Otóż w 1978 roku zaczęło się rozpracowywanie Wałęsy. I pierwsza sprawa miała ten sam kryptonim, co Wałęsa jako TW, czyli sprawa „Bolka”.

GM: Jeśli wierzyć dokumentom – bo one zachowały się niestety tylko w kserokopii – to w momencie, kiedy on angażuje się w działalność opozycyjną, pojawia się próba ponownego zwerbowania go do współpracy – zakończona niepowodzeniem. Jeśli zaś mówimy o fałszywkach antywałęsowskich, to musimy je podzielić: pierwsze puszczało za granicą w 1981 roku. W nich porównywano Wałęsę do Hitlera. Natomiast rozsyłanie materiałów, w których Wałęsę oskarżano o współpracę z SB w okresie Wolnych Związków Zawodowych i przywództwa w Solidarności, to okres stanu wojennego, co najmniej od stycznia 1982 roku. Wtedy podrzucono dokumenty Annie Walentynowicz.

AP: Trzeba rozróżnić wyraźnie dwie rzeczy: jedna to akcja dezinformacyjna, która polega na puszczaniu pod różnymi postaciami ustnej pogłoski, np. rzekomego protestu, że agent stoi na czele – ale to nie jest nigdy sygnowane przez SB. Czym innym jest zaś fałszywka – podrobiony dokument, który ma wyglądać jak autentyczny.

Jednym słowem, SB wykorzystywała w latach osiemdziesiątych dokumenty z okresu jego współpracy po to, żeby mu zaszkodzić...

AP: Ale dyskretnie – nie było przecież artykułu w „Trybunie Ludu” z kserokopią doniesienia.

GM: Oprócz kserokopii materiałów ze znanych nam dzisiaj teczek personalnej i pracy „Bolka” w operacji tej wykorzystywano autentyczny list działacza gdańskiej Solidarności, Andrzeja Kołodzieja z roku 1981, a ponadto przygotowywano fałszywki pisane na maszynie (podszycując się m.in. pod jedną z francuskich organizacji trockistowskich), w których oskarżano Wałęsę, że rzekomo w okresie 1978–1981 współpracował z bezpieką.

A czy mamy dowody na to, że władza wykorzystywała to po to, żeby go szantażować?

AP: Jeden z najważniejszych dowodów na to, że Wałęsę straszono, że coś może zostać ujawnione, to zjawienie się u internowanego lidera Solidarności płk. Czesława Wojtalika, który był w latach 1970–1971 szefem „sekcji stoczniowej” w gdańskiej SB i nie tylko nadzorował funkcjonariuszy, którzy się nią zajmowali, lecz także wziął udział w jednym ze spotkań operacyjnych z „Bolkiem”.

Samo jego pojawienie się mogło wywrzeć na Wałęsie wrażenie.

AP: Ależ oczywiście! Podobno w 1981 roku pojawił się też – niby przypadkowo – gdzieś w korytarzu, gdy delegacja z Wałęsą szła na oficjalne rozmowy w URM. Wcale nie musiało być tak, że Kiszcak czy gen. Adam Krzysztopouloski spotykają się z Wałęsą, wyciągają kwity i mówią: jak nie będziecie ugodowi, to wam pokażemy. Wystarczyło pokazać mu oficera z 1971 roku, którego na pewno pamiętał.

GM: Jest kilka takich momentów. Jeden z nich opisuje Wałęsa: w drugi dzień strajku w Stoczni Gdańskiej (15 sierpnia 1980 roku) przychodzi do niego funkcjonariusz SB w Gdańsku i zaprasza na jakieś tajemnicze spotkanie z Edwardem Gierkiem w Pruszczy Gdańskim. Na co Wałęsa miał odpowiedzieć: „Zgoda, ale jeszcze nie teraz. Dajcie mi trochę czasu”. Kilka dni później, kiedy dociera do niego gen. Krzysztopouloski, nie chce się już z nim spotkać. Co do tego wpływu, byłbym bardzo ostrożny. Pod koniec internowania Lech Wałęsa pisze głośny list kaprala do generała. Władze (Wojciech Jaruzelski i Mieczysław Rakowski) przygotowały swoją wersję listu, której Wałęsa nie chciał podpisać. Kiszcak przyjechał, żeby go przekonać. I według tego, co napisał w swoich dziennikach Rakowski,

szantażował tam Wałęsę – nie wiadomo jednak, czy również ujawnieniem wcześniejszej współpracy z SB. Ale on nie podpisał wersji przygotowanej przez Kiszcaka i Rakowskiego, gotów był sygnować jakąś wersję kompromisową, której niestety nie znamy, ale nie satysfakcjonowała ona władz. Kończy się na tym, że władze puszczaają „list kaprala” jako mniejsze zło, bo nie był to triumf propagandowy, choć władza tak to próbowała przedstawić. I kilka dni później Kiszcak, relacjonując spotkanie z Wałęsą w Arłamowie, na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR mówi o nim: „jest to mały człowiek, żulik, lis, chytry człowiek, chce oszukać partnera”. I dodaje: „Będziemy mieli z nim kłopoty”. To przecież nie jest sytuacja, kiedy „władca teczek” tłamsi swojego partnera, kiedy czuje się zwycięzcą takiej rozmowy. Jest jeszcze jeden moment, kiedy do Wałęsy przyjeżdża Władysław Kuca, szef Biura Studiów MSW, które się nim zajmuje, z jakimiś materiałami i próbuje na niego naciskać. Ostatnią próbą tuż przed jego zwolnieniem jest rozmowa w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej, gdzie usiłuje się Wałęsę zmiękczyć przed wyjściem, wpłynąć na jego postawę...

AP: ... i on się właściwie na wszystko zgadza.

GM: To właśnie jest cały Wałęsa – mówi to, co uważa, że jego rozmówcy chcą usłyszeć. O stanie wojennym w rozmowach z władzą mówi, że wprowadzenie go było uzasadnione, ale trzeba się dogadać. A po jakimś czasie dodaje, że trwa on zbyt długo i generałowie przegrają. Nie jest w stanie wymusić zmiany tego, co się stało, ale próbuje – według mnie – ratować, co się da.

AP: Zupełnie jak w styczniu 1971 roku, kiedy uważał, że rozpoczęcie nowego strajku i manifestacji to najgorsze nieszczęście, jakie może spotkać stocznnię, Gdańsk i Polskę. I robi wszystko – nawet wyda kolegę – aby tego nie było. Esbecy przy werbowaniu tajnego współpracownika mogli działać w trojaki sposób: albo mieli materiały obciążające lub kompromitujące, albo grali na uczuciach patriotycznych. W pierwszym przypadku ktoś coś ukradł, kogoś pobił i groziła mu odpowiedzialność karna; w drugim – mieli np. zdjęcia świadczące o zdradzie, które można pokazać żonie. I trzecie wyjście – przekonać, że takie, a nie inne postępowanie jest słuszne, dobre dla Polski. W przypadku Wałęsy zastosowano tę trzecią metodę.

Czy zatem do przyjęcia jest teza, że współpraca Wałęsy i posiadanie przez aparat bezpieczeństwa materiałów na ten temat mogły mieć wpływ na jego działalność i postawę w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych?

AP: Wałęsa nie miał wiedzy, którą mamy dzisiaj, nie wiedział, jak wygląda system ewidencji TW, jaki kształt przybierają doniesienia, które składał, ani nawet jaka była struktura lokalnej SB. Ale oczywiście mógł się bać kompromitacji – bo ujawnienie jego współpracy byłoby dla niego kompromitacją.

GM: Nie zapominajmy, jaka była pozycja Wałęsy w 1982 roku – nie powiem, że był bogiem, ale blisko. Spójrzmy na reak-

cję Anny Walentynowicz, która była z nim w ostrym konflikcie: ona te podrzucone dokumenty spuszcza w toalecie. Nawet gdyby w 1982 roku SB pokazała oryginalną teczkę współpracy, to przypuszczam, że ludzie by w to nie uwierzyli. Potraktowaliby to jako fałszywkę, atak władzy, która stara się Lecha zniesławić. Są dwa momenty, w których Wałęsa jest jeszcze słaby. Pierwszy to początek strajku sierpniowego. Nie kupuję tezy, że miałby 16 sierpnia realizować wytyczne SB. Mówi się bowiem, że zakończył strajk w Stoczni Gdańskiej – ale decyzje wówczas podejmował ponaddwudziestoosobowy Komitet Strajkowy, na którego czele stał.

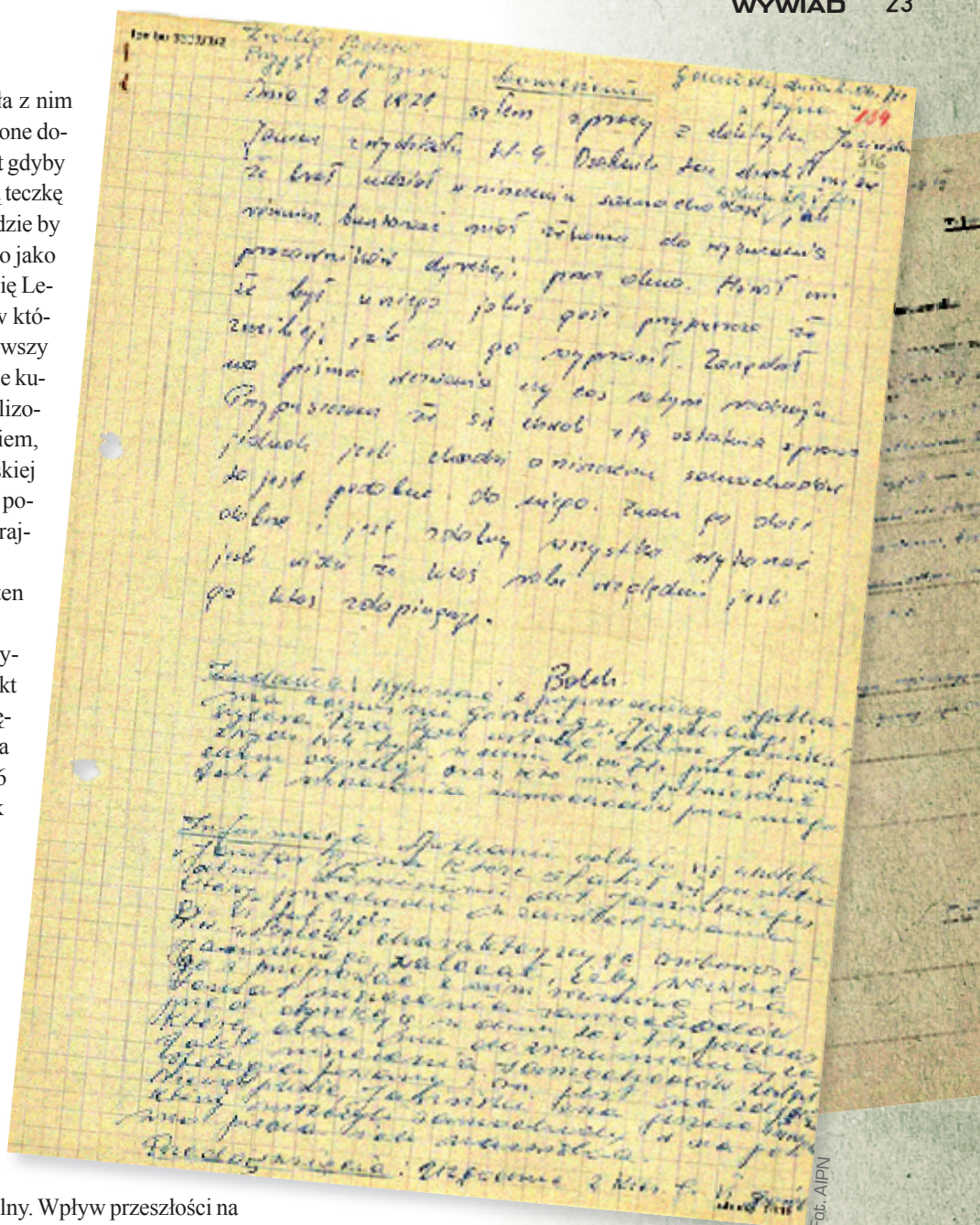
AP: Wszyscy chcieli zakończyć ten strajk.

GM: Tak, bo on zakończył się zwycięstwem – realizacją postulatów. Nikt 14 sierpnia, kiedy do niego przystępowano, nie przewidywał, że za dwa tygodnie powstanie Solidarność. 16 sierpnia skończył się jeden strajk i zaczął się drugi.

AP: To wszystko mieści się w logice Wałęsy. Jest człowiekiem walki, ale wie, że ma się ona zakończyć porozumieniem.

GM: Nie wierzę też w sterowalność Wałęsy. Kiedy czytałem charakterystyki Jacka Kuronia, Tadeusza Mazowieckiego czy Bronisława Geremka, w każdej SB pisała, że każdy z nich steruje Wałęsą – więc kto w końcu nim steruje? Nikt. Wałęsa był niesterowalny. Wpływ przeszłości na jego zachowanie opisuje od lat Krzysztof Wyszowski: w momencie kiedy Wałęsa zgłosił się do WZZ, miał pomysł zaatakowania komendy wojewódzkiej MO – bo tam były dokumenty dotyczące jego współpracy. Ponownie próbowano wywierać na niego nacisk podczas internowania w stanie wojennym. Jednak ten człowiek, uważany przez niektórych za prostaka, nieradzącego sobie bez doradców, okazuje się dla komunistów dużo trudniejszym przeciwnikiem od profesorów. Nie daje się wykorzystywać propagandowo, nie chce wystąpić w telewizji – taki wywiad pod koniec internowania z nim nagrano, ale dla władz nie był satysfakcjonujący – a przede wszystkim nie chce firmować neo-Solidarności, związku stworzonego przez władze.

AP: Można powiedzieć, że Wałęsa królem Polski został po internowaniu, dzięki temu, jak się wówczas zachował. Przestrzegał zasady: jak nie wiesz, co masz mówić – to nie publicznie nie mów.



► Doniesienie „Bolka” na elektryka Jana Jasińskiego

Sytuacja, kiedy pojawiają się nowe materiały, jest dla historyków niewygodna. Bo z jednej strony cieszą się z nowych źródeł, ale z drugiej istnieje obawa, że wszystko to, co do tej pory głosili, można wyrzucić do kosza. Czy trzeba na nowo pisać podręczniki? Panie Profesorze, czy coś by Pan zmienił np. w *Pół wieku dziejów Polski*?

AP: Gdybym jeszcze raz miał pisać tę książkę, to zwróciłbym większą uwagę na ten epizod współpracy Wałęsy z SB. Kiedy ją pisałem, była tylko lista Macierewicza, w której nie wszystko jest pewne, więc niektóre rzeczy pominąłem. Nawet zarzucano mi, że mój opis jest odpersonalizowany – są mechanizmy, masy, a nie ma pojedynczych ludzi. W *Wojnie polsko-jaruzelskiej* już

to lekko zaznaczyłem. Ale teraz zaznaczyłbym to mocniej, ponieważ jeśli się mówi o sylwetce Wałęsy od 1970 roku, to trzeba pamiętać, że o tym okresie współpracy – jakkolwiek on by go minimalizował – nie mógł zapomnieć. To w nim na pewno tkwiło.

GM: Psychologowie mówią o tzw. mechanizmie wyparcia... A wracając do pytania, to znalezisko rozszerza naszą wiedzę o współpracy. Na pewno wymusza erratę do biogramu Lecha Wałęsy w *Encyklopedii Solidarności*, bo zakres współpracy jest szerszy, niż do tej pory opisywano. Ale nie zmienia dalszej części życiorysu Lecha Wałęsy. Oczywiście, miał to gdzieś w tyle głowy – to świetnie wykazali w swojej książce Cenckiewicz i Gontarczyk. Natomiast nie wysnuwałbym daleko idących wniosków, że mógł być na tyle skutecznie szantażowany, by wymuszało to na nim pewne posunięcia. Jest z pewnością jeden taki moment, w którym w sposób oczywisty jego agenturalna przeszłość miała wpływ na jego decyzje. 4 czerwca 1992 roku – odwołanie rządu Jana Olszewskiego. Ale np. gdy latem 1989 roku Wojciech Jaruzelski na chwilę wycofał swoją kandydaturę na prezydenta PRL, bo nie miał poparcia Solidarności, to Wałęsa mocno poparł Kiszczaka. Czy dlatego, że generał miał jego teczkę, czy dlatego, że obaj panowie polubili się w Magdalence, czy miał to być prztyczek dla Jaruzela, czy też dlatego, że Kiszczak obiecywał Solidarności więcej niż Jaruzelski (m.in. wolne wybory)? Te pytania można zadać, ale nie jesteśmy w stanie na nie odpowiedzieć.

AP: Wałęsa, przy swoich zapędach autorytarnych, był w zasadzie zawsze człowiekiem kompromisu i dlatego właśnie tak dobrze mu się współpracowało z Mazowieckim, Geremkiem, Andrzejem Celińskim – bo oni też byli zwolennikami negocjacji, porozumienia, zmian, a nie przewrotu. Nikt nie jest wyciosany z jednego kawałka drewna i Wałęsa też – jak każdy – ma swoje sęki.

GM: Przykładem niesterowności Wałęsy jest też sytuacja z sierpnia 1981 roku, kiedy jedzie wraz ze Zbigniewem Bujakiem gasić demonstrację na rondzie w centrum Warszawy. Bujak wychodzi, próbuje uspokajać i zostaje (jak to relacjonuje SB) wygwizdany. Wychodzi Wałęsa i zamiast gasić, mówi – jestem z wami. Dobrze to chyba kiedyś scharakteryzował Bogdan Borusewicz: Wałęsa co innego myśli, co innego mówi, a jeszcze co innego robi. I dla władzy jest to problem, bo to człowiek, który następnego dnia po wstępnym porozumieniu może powiedzieć: nie, panowie, zmieniła się sytuacja i nasze ustalenia są nieaktualne. To trudny przeciwnik.

AP: Dobrze to niedawno ujął Andrzej Celiński, że Wałęsa miał sztab doradców, m.in. Mazowieckiego, Kuronia, Celińskiego. Nie było sytuacji, żeby oni wszyscy się jednocześnie spotkali z Wałęsą – z każdym osobno konferował, a potem sam podejmował decyzję.

A co z autentycznością i oryginalnością dokumentów z teczek TW „Bolka”?

AP: Są autentyczne, bo pochodzą z tamtej epoki. Ale jeśli chodzi o ich prawdziwość w kontekście współpracy Wałęsy, to są trzy możliwości: całość jest sfalszowana, całość jest

prawdziwa albo niektóre elementy są sfalszowane. Odrzucam pierwszą możliwość, bo uważam, że jest niewykonalne, aby sfalszować te informacje, opisy sytuacji. To są informacje pochodzące od TW „Bolka”. Jeśli chodzi o drugą możliwość, to jestem skłonny ją uznać, ale muszę być świadomy tego, że były próby tworzenia fałszywek. I w związku z tym powinno się te dokumenty pieczołowicie pod tym kątem zbadać – czy nie zaplątała się tam fałszywka. Kserokopia to nie fałszywka – Anna Walentynowicz dostała kserokopie prawdziwych dokumentów, ale np. nie wiemy, co poszło do Komitetu Noblowskiego. Nikt nie widział tej teczki. IPN prowadził śledztwo w sprawie prawdziwości tych dokumentów, które zostało zawieszone – Norwegia odmówiła współpracy.

GM: Najczęściej w teczkach tajnych współpracowników fałszowano pokwitowania odbioru gotówki. Krótko mówiąc, funkcjonariusze brali do kieszeni pieniądze, które rzekomo miał dostać TW.

AP: Bywało też, że się dzielili. TW kwitował, że wziął tysiąc złotych, dostawał 500, a 500 brał esbek.

GM: Zdarzyła się taka historia, że osoba prowadzona przez esbeka czytała później swoją teczkę, natrafiła na adnotację funkcjonariusza, że ten wydał na spotkaniu w lokalu jakąś kwotę, i dziwiła się: „Jak to? Przecież to ja płaciłem!”. Nie ma możliwości, żeby całość była sfalszowana, ponieważ znamy część tych dokumentów (ich kopie, czyli drugie egzemplarze, pierwszy trafiał do akt tajnego współpracownika) z innych miejsc (np. tzw. spraw obiektowych). A co do pojedynczych dokumentów, to odpowiedź dadzą nam szczegółowe badania.

Czy o dokumentach wysłanych przez SB do Komitetu Noblowskiego nie wiemy zupełnie nic?

GM: Komitet Noblowski dopuszczał możliwość udostępnienia dokumentów, a kiedy zwrócili się o nie prokuratorzy IPN, to stwierdził, że ze względu na klauzulę 50 lat tego nie robi. Znamy jeden dokument z tej przesyłki – doniesienie z 12 stycznia 1971 roku, jedyny dokument w teście pracy „Bolka”, który nie jest w oryginale, lecz w kserokopii, bo został wybrakowany w 1986 roku. Z opisu operacji „Ambasador” wynika, że oryginał został wysłany do Komitetu Noblowskiego. W ten sposób „uporządkowano” dokumentację. Jeśli ten dokument rzeczywiście wysłano, to zakładam, że do Norwegii wysłano standardowy pakiet rozsyłany w kraju niektórym działaczom opozycji (m.in. Walentynowicz): dwa pokwitowania odbioru gotówki (SB, co ciekawe, wybrała ostatnie, i to na najwyższą sumę), notatkę ze spotkania z TW i list sygnowany pseudonimem „Mieszko II” (w tym przypadku podsyłano się pod Ogólnopolski Komitet Oporu, którego liderzy sygnowali swe dokumenty pseudonimem „Mieszko”).

AP: Tak naprawdę to do tej pory Norwegowie nie potwierdzili, że cokolwiek mają, a więc nawet nie ma pewności, czy operacja „Ambasador” została faktycznie przeprowadzona. ❗

TAJNE
spec. instrukcja

► Natarcie pododdziału Armii Czerwonej, zdjęcie z lata 1944 roku

Fot. ze zbiorów autora



Oblawa Augustowska: nowe dokumenty

Piotr Łapiński

Historycy mieli dotąd problem z odtworzeniem przebiegu boju nad jeziorem Brożane, będącego najważniejszym epizodem militarnym Oblawy Augustowskiej. Nowe dokumenty, chyba dość przypadkowo ujawnione przez Rosjan, pozwalają na dokładniejszą rekonstrukcję tamtych wydarzeń.

Dotychczas największą przeszkodą w ustaleniu faktów był brak materiałów źródłowych, ponieważ dostępnych było zaledwie kilka wtórnych dokumentów, nieodnoszących się bezpośrednio do samego boju, oraz parę późniejszych relacji i wspomnień, a więc przekazów subiektywnych i zniekształconych przez upływ czasu. W maju 2015 roku rozpoczął funkcjonowanie portal internetowy Pamięć Naroda, będący kolejnym projektem rządowym firmowanym przez Ministerstwo Obrony Federacji Rosyjskiej. Zadaniem portalu jest upamiętnianie rodzimego wysiłku militarnego w XX wieku, dlatego też zostały w nim zamieszczone m.in. dokumenty sowieckiej 50. Armii. Nieoczekiwa-

nie okazało się, że wśród tych materiałów są również papiery z lata 1945 roku, kiedy wspomniany związek operacyjny brał udział w Oblawie Augustowskiej. Po raz pierwszy do rąk polskich badaczy trafiły więc dokumenty Armii Czerwonej, które pozwoliły na poznanie użytych wówczas sił i środków, personaliów dowódców, zakresu zrealizowanych działań bojowych oraz szczegółowego ich przebiegu.

Największa operacja przeciwpartyzancka

Operacja militarna została przeprowadzona między 12 a 19 lipca 1945 roku (jeden korpus rozpoczął działania dzień wcześniej). W oblawie wzięły udział nie tylko wojska 50. Armii (wraz z 69. Korpusem

Strzeleckim, który według dotychczasowych ustaleń od 1 lipca 1945 roku miał być podporządkowany nowo tworzonemu Gorkowskiemu Okręgowi Wojskowemu), lecz także odkomenderowany ze składu 48. Armii 29. Korpus Strzelecki i pozostałości – będącego w dyspozycji 3. Frontu Białoruskiego – 2. Gwardyjskiego Korpusu Pancernego. Razem było to jedenaście dywizji strzeleckich oraz cztery brygady pancerne i zmotoryzowane – liczyły one łącznie około 45 tys. żołnierzy. Pod względem zaangażowanych sił i środków była to więc największa operacja przeciwpartyzancka na ziemiach polskich podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu. Wśród sowieckich dowódców odpowiedzialnych za oblawę pojawił się m.in. szef Wydziału Kontrwywiadu „Smiersz” 50. Armii – płk. Nikołaj Polikarpow. Północną rubieżą przeprowadzonej operacji militarnej był skraj masywu leśnego Puszczy Augustowskiej, zachodnią – linia przeszkód wodnych wraz z Kanałem Augustowskim, południową – linia Biebrzy, Wołkuszanek i Czarnej Hańczy, a wschodnią – linia Niemna.

Ujawnione dokumenty zawierają również szczegółowe informacje o boju rozegrany nad jeziorem Brożane. Ich wartość jest tym większa, że – jak się okazuje – dotychczasowa literatura przedmiotu pre-



zentyje nieprawdziwy obraz wydarzeń. Co więcej, wraz z upływem czasu w opisie boju zaczęły się pojawiać nawet elementy fantastyczne. Przede wszystkim jako datę starcia powszechnie podawano 12 lipca 1945 roku. Zdarzało się, że czas walki określany był na „dzień-dwa”, a niekiedy wręcz trzy lub pięć (!) dni. Jako miejsce boju wskazywano zarówno północny, jak i południowo-zachodni skraj jeziora Brożane (tam właśnie, w rejonie przepustu na drodze Giby–Rygoł, wzniesiono w 2013 roku krzyż upamiętniający to wydarzenie). Ze strony sowieckiej w walce miały brać udział anonimowe oddziały Armii Czerwonej i wojsk wewnętrznych NKWD liczące rzekomo kilka, a nawet 7 tys. żołnierzy. Przyjmowano, że zginęło trzech lub czterech partyzantów (określanych jako oficerowie), co jednak czyniono z powątpiewaniem, ponieważ szacunki w tej kwestii wahały się od pięćdziesięciu do 124 poległych. Z kolei liczba wziętych do niewoli żołnierzy Armii Krajowej Obywateli była określana na 51 lub 57. Jako straty sowieckie podano dwóch zabitych i sześciu rannych, natomiast według szacunków miały być one „znaczące”. Tymczasem w świetle ujawnionych dokumentów wszystkie dotychczasowe ustalenia dotyczące boju nad jeziorem Brożane należy

uznać za nieaktualne. Tym bardziej trzeba więc przedstawić jego faktyczny przebieg oraz pokusić się o ocenę.

Preludium

Wiosną 1945 roku siły Obwodu AKO Augustów liczyły około pięciuset żołnierzy, w tym co najmniej 6 oficerów, 5 podchorążych, 145 podoficerów i 341 szeregowców. Na jego terenie funkcjonowały aż cztery oddziały partyzanckie (sierż. Władysława Stefanowskiego „Groma”, sierż. Jana Szumskiego „Snopa”, st. sierż. Wacława Sobolewskiego „Sęka”, „Skały” oraz ppor. Edwarda Wawiórki „Skiby”, „Lemiesza”), które w końcu czerwca 1945 roku liczyły łącznie ok. 180 partyzantów. Opanowały teren powiatu, rozbijając niemal wszystkie posterunki MO i urzędy gminne, ograniczając tym samym wpływy „władzy ludowej” w zasadzie do samego Augustowa. Doszło też wówczas do starć z pododdziałami wojsk sowieckich. Na polecenie Naczelnego Dowództwa Sztab Generalny Armii Czerwonej powziął kroki, jak to później określono, „celem wykrycia i unieszkodliwienia wszystkich formacji antyradziecko nastawionej Armii Krajowej”.

Na początku lipca 1945 roku, w następstwie napływających meldunków o koncentracji znacznych sił sowieckich, dowództwo Obwodu AKO Augustów wydało

podległym oddziałom partyzanckim rozkaz przebiccia się w kierunku południowo-zachodnim (gmina Dębowo), skąd miały zostać przeprowadzone za Biebrzę, na teren Obwodu AKO Grajewo. W przypadku niemożliwości dotarcia we wskazany rejon nakazywało ich rozwiązanie. Oddział ppor. Wawiórki „Skiby”, „Lemiesza”, który w końcu maja 1945 roku objął również dowództwo nad grupą sierż. Szumskiego „Snopa”, zdołał bezpiecznie opuścić zagrożony obszar i skierował się na pogranicze wschodniopruskie. Z kolei st. sierż. Sobolewski „Sęk”, „Skała” przekazał swoich żołnierzy do oddziału sierż. Stefanowskiego „Groma”, po czym przedostał się za Biebrzę na teren Obwodu AKO Sokółka, gdzie został zatrzymany przez Sowietów, a następnie zamordowany podczas próby ucieczki. Również pochodzący z Nowogródzczyzny oddział ppor. Czesława Stecewicz „Śmiałego”, który czasowo dołączył do sierż. „Groma”, zdołał bezpiecznie się wycofać. W przeddzień rozpoczęcia oblawy jako jedyny na terenie obwodu augustowskiego pozostał zatem osamotniony oddział sierż. Stefanowskiego „Groma”.

20 czerwca 1945 roku oddział sierż. Stefanowskiego „Groma” liczył łącznie 77 żołnierzy, w tym: 1 podchorążego, 9 podoficerów oraz 67 szeregowców. Mieli oni stosunkowo duże doświadczenie bojowe i byli dość dobrze uzbrojeni – po jednym nkm i lkm, 6 rkm, 32 pistolety maszynowe, 37 karabinów i karabinków oraz 7 pistoletów. Zapasy amunicji i granatów ręcznych w zasadzie były wystarczające (ponad 12 tys. nabojów i 100 granatów), brakowało jedynie amunicji karabinowej typu niemieckiego (nieco ponad 400 sztuk). Jak już wspomniano, tuż przed oblawą do oddziału dołączyli członkowie rozwiązanej grupy st. sierż. Sobolewskiego „Sęka”, „Skały”, w końcu czerwca 1945 roku liczącej ok. 50 żołnierzy. Tym samym liczba podkomendnych sierż. „Groma” wzrosła do ok. 130 partyzantów.

11 lipca 1945 roku partyzanci sierż. Stefanowskiego „Groma” opuścili obozowisko na uroczysku Taborzyska i ruszyli w kierunku północno-wschodnim w głąb Puszczy Augustowskiej. W rejonie Strzelcowizny doszło wtedy do spotkania z li-



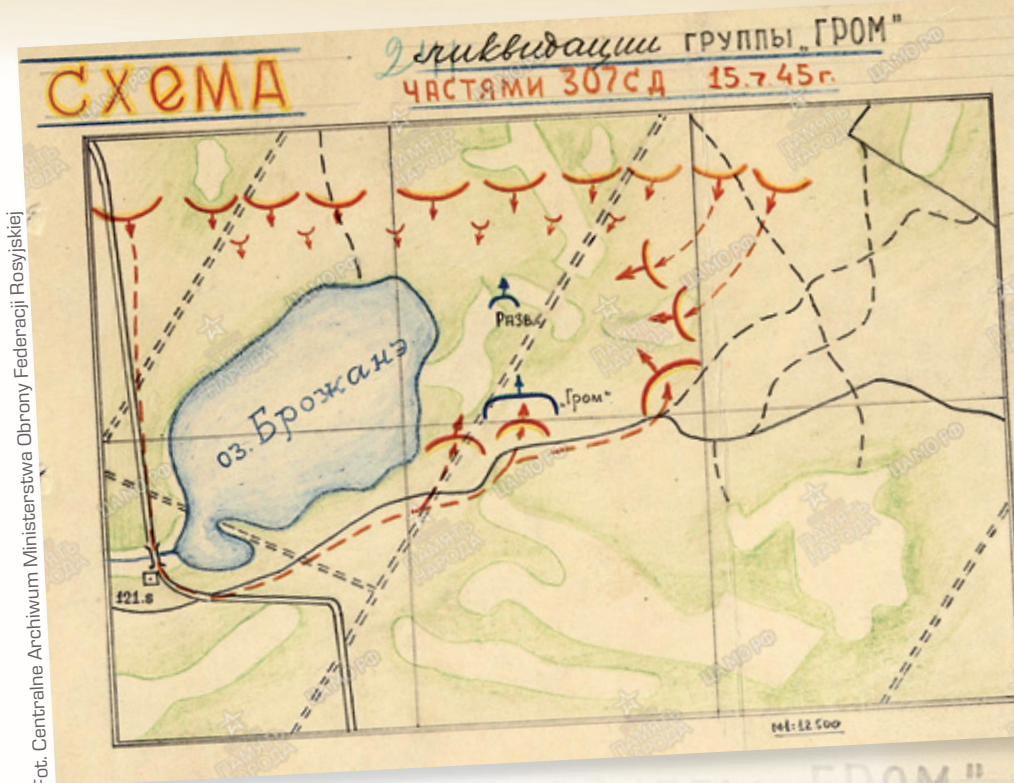
Sierżant **Władysław Stefanowski** „Grom”, ur. 14 sierpnia 1911 roku w Wojciechu (gmina Szczebro-Olszanka, powiat Augustów, województwo białostockie). Do 1939 roku pracował m.in. jako słuzowy w Perkuciu (gm. Kurianka). Służbę wojskową odbył w 29. pułku artylerii lekkiej (pal) w Grodnie i Suwałkach. Uczestnik kampanii wrześniowej 1939 roku, walczył w szeregach I/29 pal. Od 22 marca 1942 roku w AK, m.in. dowódca plutonu Obwodu AK Augustów. Od lata 1943 roku w oddziale partyzanckim sierż. pchor. Michała Filona „Dęba” (krypt. „Odwet”), ranny m.in. z 3 na 4 listopada 1943 roku podczas akcji rozbicia posterunku żandarmerii w Lipsku. Po tzw. wyzwoleniu kontynuował działalność konspiracyjną w AKO. Od 13 lutego 1945 roku zastępca przewodnika kompanii E (krypt. „Jodły”; gminy Lipsk i Kurianka), następnie od kwietnia 1945 roku przewodnik oddziału samoobrony Obwodu AKO Augustów. 15 lipca 1945 roku po walce z oddziałami Ar-

mii Czerwonej w rejonie jeziora Brożane trafił do niewoli. Podał wówczas fałszywe dane osobowe: Stanisław Krupiński, ur. 1906 roku w Augustowie. Zamordowany po 21 lipca 1945 roku przez funkcjonariuszy „Smiersza” w nieznanym miejscu. Odznaczony Krzyżem Walecznych (11 listopada 1944).

czącym trzydziestu–czterdziestu żołnierzy oddziałem samoobrony Obwodu AKO Suwałki st. sierż. Józefa Sulżyńskiego „Brzozy”. Połączone grupy, liczące w sumie 160–170 partyzantów, kontynuowały marsz. Niestety, późniejsze wydarzenia wymykają się jednoznacznej ocenie. Wydaje się, że mimo wszystko należy wziąć pod uwagę lekceważony dotąd przekaz o różnicy zdań między dwoma dowódcami. Spory miała budzić kwestia taboru, którego sierż. Stefanowski „Grom” nie chciał się pozbyć. Czy zatem w obliczu rozpoczętej wówczas oblavy nie doszło do kryzysu w partyzanckich szeregach i część żołnierzy ze st. sierż. Sulżyńskim „Brzozą” na czele nie oddaliła się w innym kierunku, jak sugerują niektóre wspomnienia?

Nowe informacje, nowe pytania

Do boju nad jeziorem Brożane doszło 15 lipca 1945 roku w pasie natarcia 307. Dywizji Strzeleckiej. Posuwające się na południe tyraliery 1019. pułku strzeleckiego, dowodzonego przez ppłk. Aleksandra Cukanowa, były poprzedzane przez wysuniętych do przodu zwiadowców. Około 10.00 w rejonie gajówki położonej na południowo-wschodnim skraju jeziora Brożane Sowietci natknęli się na patrol partyzancki w sile jedenastu żołnierzy. Ostrzelani żołnierze AKO zdołali ukryć się na pobliskich bagnach, porzucając na miejscu potyczki pistolet maszynowy, lornetkę, elementy umundurowania i dwa konie. Dowódca prawoskrzydłowego batalionu sowieckiego rozkazał dwudziestoosobowemu plutonowi odwodowemu, na którego czele stanął jego zastępca do spraw liniowych – kpt. Reczkunow, obejście jeziora i odcięcie partyzantom drogi odwrotu. Około 11.30 pluton odwodowy natknął się na oddział sierż. Stefanowskiego „Groma” znajdujący się w odległości około kilometra na wschód od jeziora Brożane. Żołnierze AKO zostali wówczas zaatakowani z kilku stron siłami 1019. pułku, liczącymi łącznie kilkuset czerwonoarmistów. W rezultacie walki, określanej w sowieckim dokumencie jako „krótki bój”, oddział sierż. „Groma” został częściowo okrążony, a następnie (po podjętej próbie przebiecia) wzięty do niewoli. W boju zginęło trzech partyzantów (przy czym za-



► Schemat boju nad jeziorem Brożane z 15 lipca 1945 roku

równow meldunek dzienny 307. dywizji, jak i późniejszy raport 81. Korpusu Strzeleckiego nie mówią nic o zabitych rzekomych oficerach). Ponadto ujęto 48 żołnierzy AKO, w tym dowódcę oddziału sierż. Władysława Stefanowskiego „Groma”, który podczas późniejszych przesłuchań podał fałszywe dane personalne. Zdobyto wówczas 6 rkm, 16 pistoletów maszynowych oraz 25 karabinów – łącznie 47 jednostek broni, co w zasadzie odpowiada liczbie wziętych do niewoli. Według dostępnych dokumentów w boju nad jeziorem Brożane Sowietci nie ponieśli żadnych strat.

Dzięki ujawnionym dokumentom historycy poznali wiele nieznanych dotąd faktów związanych z bojem nad jeziorem Brożane, równocześnie jednak pojawiły się kolejne pytania. Co było przyczyną tak szybkiego zaprzestania walki? Nacierająca 307. Dywizja Strzelecka już o 17.00 osiągnęła planowaną rubież. Ilość zdobytej przez Sowietów amunicji (łącznie ok. 3,5 tys. nabojów) także nie wskazuje na zaciętość boju. Zastanawiający jest przy tym brak jakichkolwiek strat po stronie sowieckiej – jedyny poległy w oblavy żołnierz 307. dywizji zginął dopiero dzień później. Czy brak woli walki był spowo-

dowany upadkiem morale, do którego mogło dojść, gdy partyzanci przez kilka dni krążyli po puszczy, czując bliską obecność Sowietów? Wiadomo, że 11 lipca 1945 roku oddział sierż. Stefanowskiego „Groma” znalazł się w okolicy Strzelcowizny, skąd w linii prostej do jeziora Brożane jest ok. 8 km. Do boju w jego rejonie doszło jednak 15 lipca 1945 roku, czyli cztery dni później. Trudno uwierzyć, że partyzanci potrzebowali aż kilkudniowego marszu na pokonanie tej odległości. Nie wiadomo również, ilu partyzantów zdołało się wówczas przebić. W dostępnym dokumencie zanotowano, że oddział, z którym zetknęli się czerwonoarmiści, miał liczyć 150–160 ludzi, tak więc ująć mogło nawet 100–110 żołnierzy AKO. Czy suwalski oddział st. sierż. Sulżyńskiego „Brzozy” faktycznie walczył nad jeziorem Brożane, skoro dokumenty sowieckie jednoznacznie tego nie potwierdzają? Na pewno była się tam część jego żołnierzy, jednak ilu ich było? Odnalezione sowieckie dokumenty, choć rzucają nowe światło na te wydarzenia, nie przynoszą odpowiedzi na tak postawione pytania badawcze. ■

Piotr Łapiński – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku

Milicjanci z Czarnolesia

Dawid Golik

Dolny Śląsk, podobnie jak inne ziemie przyłączone kosztem Niemiec do Polski w 1945 roku, był idealnym miejscem do ukrycia się przed władzą komunistyczną. Nieznany nikomu „dziki zachód” ściągał różnych awanturników, szabrowników i uciekinierów, ale także zagrożonych aresztowaniem akowców, którzy w sprzyjających warunkach wnikal tam w szeregi milicji i bezpieki.

Wojska Armii Czerwonej wkroczyły do dolnośląskiego miasteczka Landeshut 9 maja 1945 roku, a więc dzień po podpisaniu przez III Rzeszę bezwarunkowej kapitulacji. Dziesięć dni później dotarła tam również grupa operacyjna komunistycznego Rządu Tymczasowego. Na jej czele stał działacz PPS z Nowego Sącza, Tadeusz Kalaman – z wykształcenia nauczyciel, z przekonań socjalista niepodległościowiec, który miał zostać pierwszym starostą powiatowym w Landeshut. Miejscowość, położona ok. 20 km od Wałbrzycha, szybko zyskała też spolszczoną nazwę Kamiennogóra, zmienioną w połowie 1946 roku na obowiązującą do dziś Kamienną Górę. Natychmiast rozpoczęła się budowa polskiej administracji oraz struktur bezpieki i milicji, chociaż rzeczywistym gospodarzem terenu był sowiecki komendant miasta, który mógł dysponować podległymi mu jednostkami wojskowymi. Już w jednym z pierwszych swoich sprawozdań sytuacyjnych Kalaman odnotował: „W ogóle wszystkie poczynania władz polskich paraliżuje w najwyższym stopniu władza sowiecka w osobie komendanta wojennego”. Nie zmieniło tego nawet pojawienie się w mieście polskiego 29. pułku piechoty (wcześniej wchodzącego w skład 10. Sudeckiej Dywizji Piechoty 2. Armii ludowego Wojska Polskiego), który wkrótce przejął od Sowieców obowiązek zabezpieczenia pobliskiej granicy z Czechosłowacją.

W oczach pełnomocnika rządu Kamienna Góra oraz przyległe do niej miejscowości były terenem bezprawia, pełnym wystraszonych i niepewnych jutra Niemców oraz wiecznie pijanych, rabujących i poszukujących kobiet sowieckich żołdaków. Ten sam obraz witał przyjeżdżających do powiatu osadników z centralnej Polski i Sądeckizny oraz wysiedleńców z polskich Kresów. Oprócz nich zaczęli pojawiać się także szabrownicy, pospolic przestępcy oraz próbujący wtopić się w tłum dawni współpracownicy niemieccy. Zarówno bezpieka, jak i milicja dopiero zaczynały się organizować, ponadto ciążyły na nich przede wszystkim zleczone im przez PPR zadania polityczne. Dlatego też Kalamanowi brakowało zaufanych, sprawdzonych ludzi, którzy zajęliby się pospolitą przestępczością. Takich ludzi znalazł w lipcu 1945 roku w Nowym Sączu.

Akowska samoobrona

W kwietniu 1945 roku powstał na pograniczu powiatów limanowskiego i nowosądeckiego jeden z pierwszych w Małopolsce powojennych oddziałów podziemia niepodległościowego. Dowodził nim kpr. Jan Wąchała „Łazik”, a żołnierzami byli przede wszystkim dawni partyzanci 1. pułku strzelców podhalańskich AK oraz lokalnych oddziałów BCh i Ludowej Straży Bezpieczeństwa (LSB). Po wkroczeniu do Małopolski Armii Czerwonej w styczniu 1945 roku rozpoczęły się masowe represje wymierzone w dawnych żołnierzy podziemia,



Fot. ze zbiorów Bożeny Borończyk

► Akowcy z kamieniogórskiej milicji; pierwszy z lewej Zygmunt Wawrzuta „Śmiały”



które skłoniły wielu z nich do ponownego sięgnięcia po broń. Sam „Łazik” wspominał później: „Byliśmy poszukiwani i tropieni, więc nie pozostało nam nic innego, jak tylko ukrywać się w lesie”. Impulsem do poważniejszych działań stało się aresztowanie grupy oficerów AK, których przetrzymywano w areszcie UB w Limanowej. Zdecydowano się na odbicie więźniów i rozbicie niebezpiecznej dla podziemia placówki. W nocy z 17 na 18 kwietnia 1945 roku partyzanci wtargnęli do gmachu bezpieki i uwolnili kilkanaście osób. Między nimi znajdował się por. Jan Tokarczyk „Baca”, który został zastępcą „Łazika”. Funkcja szefa oddziału przypadła plut. Janowi Koblowi „Sikorze”, dezterterowi z UB i dawnemu partyzantowi LSB, który wspólnie z Wachałą zaplanował akcję odbicia więźniów.

Po rozbiciu aresztu UB oddział „Łazika” rozpoczął regularne akcje zbrojne, m.in. likwidując i rozbijając posterunki MO oraz wykonując wyroki śmierci na aktywistach komunistycznych, donosicielach i dawnych konfidentach niemieckich. Stopniowo się rozrastał i niebawem liczył kilkudziesięciu ludzi. Został też włączony w lokalne struktury poakowskie jako jeden z dwóch Oddziałów Samoobrony AK. Grupa była dla komunistów przeciwnikiem bardzo niebezpiecznym – zarówno militarnie, jak i propagandowo. W raportach bezpieki pisano: „Prace agitacyjne ten element szczególnie prowadzi w kierunku Rządu Tymczasowego, o którym się wyrażają jako o komunistycznym i również prowadzą usilną agitację przeciw wstępowaniu w szeregi Wojska Polskiego”.

Kiedy na przełomie czerwca i lipca 1945 roku sytuacja polityczna w Polsce pozornie się zmieniła i ogłoszono powstanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, ze Stanisławem Mikołajczykiem w roli wicepremiera, zaczęły się też apele władz o zaprzestanie działalności zbrojnej i ujawnienie dawnych akowców. Wszystkimi możliwymi kanałami starano się dotrzeć do oddziałów partyzanckich, proponując ich żołnierzom bezpieczny powrót do normalnego życia i „amne-

stię”. W ten również sposób zaczęto apelować do dowódców działających w tym czasie na Podhalu i Sądecczyźnie grup zbrojnych, w tym do „Łazika” i „Bacy”. Decyzja o ujawnieniu się i złożeniu broni nie była łatwa. Mimo to większa część oddziału zdecydowała się skorzystać z oferty komunistów, a ci, którzy nie wyszli z konspiracji, mieli ewentualnie pomóc pozostałym, gdyby cała akcja okazała się prowokacją. 12 lipca 1945 roku ujawniło się łącznie 34 podwładnych Wachały (z ponad czterdziestu członków jego oddziału). Partyzanci zeszli najpierw do Łącka, gdzie wzięli udział we mszy w miejscowym kościele. Podczas kazania wikary i jednocześnie kapelan oddziału miał im powiedzieć, że wychodzą z lasu, zdają broń i idą do pracy, niemniej powinni być przygotowani do podjęcia tej broni w odpowiednim momencie przeciwko wrogowi, który czuwa. Następnie partyzanci przededefilowali przez Łącko i spotkali się ze starostą sądeckim – Józefem Łabuzem. Złożenie broni przed przedstawicielami PUBP w Nowym Sączu i starostą zwieńczyła uroczysta defilada oddziału na czele z „Łazikiem” przez nowosądecki rynek. Akowcom towarzyszył – w miejsce sztandaru – białoczerwony proporzec.

Nie wiadomo, kiedy dokładnie władze powiatowe w Nowym Sączu uzgodniły z Tadeuszem Kalamanem oraz dowództwem Oddziału Samoobrony AK „Łazika”, że ujawniający się akowcy zostaną wysłani do Kamiennej Góry, do pracy w tamtejszej milicji. Z całą pewnością jednak zdając broń, wiedzieli już, że taka propozycja pod ich adresem padła i wielu zamierzało z niej skorzystać. Byli bowiem świadomi tego, że pozostając na Sądecczyźnie staną się łatwym obiektem inwigilacji ze strony bezpieki. Ponadto z Kalamanem znał się osobiście por. Tokarczyk i to on gwarantował, że na „ziemiach odzyskanych” będą mogli w miarę normalnie funkcjonować.

Orły w koronie

Kiedy transport z Sądecczyzny dotarł do stacji w Kamiennej Górze, oczom ubranych w wojskowe mundury cywi- ►



► Akowcy z Sądeczyny przed posterunkiem MO w Czarnym Borze latem 1945 roku

Fot. ze zbiorów Jerzego Wójcika

li ukazał się krajobraz żywcem wyjęty z miejsca, które niedawno opuścili. Nie wielkie miasteczko nad Bobrem, otoczone łagodnymi, zalesionymi górami, oddalone zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów od granicy z Czechosłowacją przywodziło na myśl rodzinny dla wielu Nowy Sącz. Witający ich Kalaman też był „swoim” człowiekiem, podobnie jak kierownik referatu kultury i sztuki starostwa, ppor. Zygmunt Klimecki „Lech”, do stycznia 1945 roku dowódca Oddziału Specjalnego AK na Sądeczynie.

Na wyjazd w nieznane zdecydowało się ostatecznie 25 ujawnionych partyzantów „Łazika” na czele z por. Janem Tokarczykiem. Z propozycji nie skorzystał dowódca oddziału, którego niespokojna dusza skierowała w kolejnych latach na drogę pospolitego bandytyzmu. Niebawem do pierwszej grupy partyzantów dołączyli także inni – kilku nieujawnionych członków oddziału oraz jego współpracowników. Łącznie latem 1945 roku w powiecie kamiennogórskim znalazło się ponad trzydziestu dawnych żołnierzy podziemia. Opiekę nad nimi sprawował

„Baca”, który po przybyciu na miejsce ustalił ze starostą, że jego oddział w całości obsadzi jeden z posterunków MO. Wybór padł na miejscowość Czarnolesie, czyli obecny Czarny Bór, gdzie zarządcą majątku był znany sądecki dowódca Batalionów Chłopskich – Mieczysław Cholewa „Oblaz”.

Mimo że dawni akowcy trafili w szeregi milicji, to nadal stanowili zakonspirowaną strukturę podziemia. Mianowany komendantem posterunku MO w Czarnym Borze plut. Mieczysław Ajdukiewicz

wicz „Ogień” pisał kilkadziesiąt lat później: „W sytuacji politycznej tamtych lat posterunek MO na Ziemiach Odzyskanych w Gminie Czarny Bór został uformowany celem ponownego zdobycia i zabezpieczenia broni oraz zamaskowania byłych żołnierzy AK [...] z myślą doczekania się zmiany ustroju ówczesnej Polski Ludowej”. Dodawał przy tym, że ich faktycznym dowódcą i opiekunem był „Baca”. Rzeczywiście por. Tokarczyk starał się pozostawać w cieniu i nie wstąpił w szeregi milicji. Pracował jako księgowy w upaństwowionym majątku ziemskim, a następnie jako urzędnik w kamieniołomie, a jednocześnie kierował działaniami swoich podkomendnych do czerwca 1946 roku. W pracach organizacyjnych pomagali też inni akowcy niezatrudnieni w MO – m.in. Eugeniusz Piksa „Harnaś”, sekretarz gminy w Czarnym Borze, oraz Zbigniew Karwat „Jur”, który był kierownikiem zakładu włókienniczego w pobliskim Chelmsku Śląskim. O kulisach funkcjonowania posterunku wspominał Jerzy Relinger „San”, zastępca komendanta do spraw polityczno-wy-



► Pieczęć posterunku MO w Czarnolesiu (Czarnym Borze) z orłem w koronie i odręcznym podpisem Jana Kobla „Sikory”

Fot. AIPN

chowawczych [sic!]: „Posterunek MO w Czarnym Borze był placówką ROAK [Ruchu Oporu Armii Krajowej], powołaną dla ochrony polskiego osadnictwa i w tym rejonie stanowił organizacyjną całość łącznie z administracją cywilną reprezentowaną przez Urząd Gminy w Czarnym Borze. Posterunek oraz Urząd Gminy pieczętował się Orłem w Koronie, bramę posterunku zdobył również Orzeł w Koronie. [...] Świadomość ryzyka, jakie ponosiliśmy, nie miała dla nas znaczenia, ponieważ wszyscy wyszliśmy z tego samego zgrupowania partyzanckiego, tj. 1 PSP AK, i nie uznawaliśmy sowieckiej dominacji nad Polską”.

Na tropie „reakcji”

Poza działalnością polityczną akowcy wykonywali też zwykłe zadania milicyjne. Zatrzymywali więc złodziei i szabrowników, przymykając jednak niekiedy oko na działania kolegów z podziemia i patrząc przez palce na szykany wobec Niemców – pisanych wówczas z premedytacją od małej litery. Ich tolerancja miała jednak granice, zwłaszcza jeśli spotykali się z brutalną i bezwzględną działalnością rosyjskich maruderów. Sowiecka administracja wojskowa od same-

go początku nie była bowiem w stanie zapanować nad postępowaniem poszczególnych żołdatów, którzy uważali, że ich udział w „zwycięstwie nad faszyzmem” powinien usprawiedliwiać wszelkie występki. Rabunki, pobicia, gwałty, a nawet morderstwa dokonywane przez „osobników w mundurach Armii Czerwonej” należały do codzienności zarówno w pierwszych tygodniach po zakończeniu wojny, a także na początku 1946 roku. I dotyczyły na równi Niemców, jak i przybyłych tam właśnie Polaków.

W ich obronie stawiali też akowcy w mundurach MO. Na przykład nocą 19 listopada 1945 roku w Pisarzowicach patrol, w którym uczestniczył Jerzy Schweitzer „Szczygiel”, natknął się w jednym z domów na dokonujących rabunku żołnierzy sowieckich. Wezwani do podniesienia rąk do góry dwaj Sowieci rzucili się w kierunku Polaków, a wówczas Schweitzer wystrzelił na posterach w sufit. „Gdy padł strzał – zapisano w sporządzonym niedługo po tym meldunku – 3-ci Sowiec znajdujący się w izbie na pierwszym piętrze, gdzie gwałcił Niemkę, wybiegł z izby i schodząc po schodach strzelił do stojącego w sieni [wartownika] Przonki. Lecz chybił. W odpowiedzi na strzał Przonka momen-

talnie strzelił do niego z karabinu i Sowiec ugodzony w pierś stoczył się po schodach na dół nieżywy”.

Niestety spotkania z Sowiecami nie zawsze kończyły się dla akowców dobrze. 4 lutego 1946 roku zdemobilizowany z MO podwładny „Bacy”, Jan Kalisz „Prawy”, idąc do kina, został zatrzymany na ulicy przez sowiecki patrol. Kiedy w obawie o własne życie próbował się wyrwać i dostać do pobliskiego budynku UB, został zastrzelony serią z automatu. Interwenującego w jego sprawie starostę Kalamana rozbrojono, a zastępcę komendanta sowieckiego garnizonu stwierdził ze złością: „Jak wy Polaczki nie przestaniecie się mieszać do nas i naszych ludzi zatrzymywać, to my się zorganizujemy, rozbroimy was i wystrzelamy jak psów”.

Zachowanie Sowieców nie było jedynym problemem, któremu musieli stawić czoła dawni żołnierze „Łazika” i „Bacy”. Po kilku miesiącach względnego spokoju zaczęli się nimi interesować funkcjonariusze dolnośląskiej bezpieki, co spowodowało, że wielu z dawnych akowców zdecydowało się na ucieczkę. Część wróciła na Sądeczynę, gdzie ponownie zaangażowała się w działalność zbrojną. Byli to m.in. Marian Mordarski, który pod pseudonimami „Ojciec” i „Śmiga” stanął niebawem na czele jednej z kompanii zgrupowania Józefa Kurasia „Ognia”, ➤

➤ Przed posterunkiem MO w Czarnym Borze latem 1945 roku; od lewej: Stanisław Kordeczka „Bryła”, NN, NN, Wojciech Pieprzyk „Wyrwicz”, Tadeusz Maksajda „Maks”, Zbigniew Frankowicz „Błyskawica” i Zdzisław Potapowski „Piorun”



Fot. ze zbiorów Jerzego Wójcika



► Jan Kalisz „Prawy” zastrzelony przez Sowietów w Kamiennej Górze 4 lutego 1946 roku

jego kolega z oddziału Zdzisław Potapowski „Piorun” czy Zygmunt Wawrzuta „Śmiały”, dowódca oddziału partyzanckiego „Zemsta”. W szeregach zbrojnego podziemia znaleźli się też Jan Millan „Pantera” i Stanisław Filipiak „Żmijka”, zasilając oddział WiN Franciszka Jaskulskiego „Zagończyka” oraz zgrupowanie „Ognia”. Innym sposobem na wyrwanie się z matni była ucieczka na Zachód przez Czechosłowację. Pierwsi spróbowali tego zatrudnieni w zmilitaryzowanej inspekcji samochodowej w Lubawce Jerzy Stanek „Jurek” i Sławomir Gryzina-Lasek „Jacek”, wyruszając pieszo w jedną ze styczniowych nocy 1946 roku. Po wielu perypetiach znaleźli się najpierw w Niemczech, a później we Włoszech, stając się żołnierzami 2. Korpusu Polskiego. Mniej szczęścia miał podążający ich śladami Stefan Kordeczka „Bryła”, który przekroczył granicę z Czechosłowacją w kwietniu 1946 roku, lecz słuch po nim i towarzyszącym mu koledze zaginął.

W ubeckich kazamatach

Innym sposobem na ochronę przed aresztowaniem była zdecydowana kontrakcja. Dlatego gdy w otoczeniu akowców rozpoznano szpicla, którym był współpracujący z UB Niemiec Erwin Wag-

ner, najpierw zlikwidowano go z rozkazu „Bacy”, po czym następnego dnia przystąpiono do oficjalnych milicyjnych czynności służbowych, aby wykryć „nieznanych sprawców” morderstwa. Z kolei 26 czerwca 1946 roku Jan Kordeczka „Pomsta” zastrzelił pochodzącego z Sądecczyzny działacza PPS, Mariana Jasińskiego, miejscowego pełnomocnika do spraw referendum ludowego, agituującego za głosowaniem „3 razy tak”. Ta wyraźnie polityczna akcja odbiła się szerokim echem w powiecie i doprowadziła do tego, że kilku czarnoleskich milicjantów zwolniono ze służby, a zagrożeni aresztowaniem Kordeczka i Tokarczyk musieli uciekać na Pomorze. Ujawnili się dopiero w czasie amnestii w 1947 roku.

Tymczasem na Dolnym Śląsku bezpieka próbowała rozgryźć skomplikowaną sieć powiązań między mieszkającymi w powiecie kamiennogórskim dawnymi członkami podziemia. Jesienią 1946 roku aresztowany został milicjant posterunku MO w Gostkowie Zygmunt Kołodziejski „Lech”. Nie wysypał jednak swoich kolegów, a 12 marca 1947 roku podczas próby ucieczki z siedziby PUBP w Kamiennej Górze został przez ubeków zastrzelony. W tym samym czasie aresztowano też Zbigniewa Karwata, jednak nie zdołano udowodnić mu powiązań z podziemiem i został szybko zwolniony.



Fot. AIPI

► Jan Tokarczyk „Baca” w okresie powojennym

Do sprawy milicjantów z Czarnolesia powrócono niespodziewanie w 1949 roku, analizując wypadki, do których doszło na terenie powiatu w pierwszych latach po wojnie. Na przełomie 1949 i 1950 roku aresztowano Jana Kobla „Sikorę”, Zbigniewa Frankowicza „Błyskawicę” i Jerzego Relingera „Sana” oraz kilku współpracujących z nimi mieszkańców powiatu, w tym dawnych żołnierzy 1. psp AK – Mieczysława Kubackiego „Pogana” i Eugeniusza Piksę „Harnasia”. Niedługo później zatrzymany został także wezwany na Dolny Śląsk w charakterze świadka w procesie Jan Tokarczyk. Akowcom postawiono zarzuty działalności na rzecz AK oraz udziału w trzech akcjach likwidacyjnych. 8 stycznia 1951 roku po brutalnym śledztwie połączonym z torturami wszystkich skazano wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego we Wrocławiu na wieloletni pobyt w więzieniu. Zostawili w nim swoje zdrowie i najlepsze lata życia. Na wolności znaleźli się dopiero na skutek odwilży po Październiku '56.

Walcząc o niepodległość Polski, dawni żołnierze AK rzucali na stos swoje życie – najpierw zmagając się z Niemcami, a później także z Sowietami i rodzimą bezpieką. Mimo że doświadczili zarówno brunatnego, jak i czerwonego terroru, żal do komunistycznych oprawców był znacznie większy. Pisał o tym w liście do kolegi, który znalazł się po wojnie na obczyźnie, Zbigniew Frankowicz: „Można wszystko wybaczyć, ale nie można wszystkiego zapomnieć. Jest duża różnica między gestapo i żandarmerią niemiecką a Urzędem Bezpieczeństwa. Ja przecież byłem wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec [...] i dostałem od Niemców po mordzie, ale to nie bolało, bo to był wróg. Ale jak bił cię i kopał oficer w polskim mundurze z orzełkiem na czapce, to bolało bardzo”.

dr Dawid Golik – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie, autor książki *Partyzanci „Lamparta”* (2014)

Zainteresowanych historią akowców, którzy stali się milicjantami w Czarnym Borze, odsyłamy do książki Jerzego Wójcika *Łazik* (2016).



„Łupaszko” wychodzi w pole

Piotr Szubarczyk

Wśród licznych dowódców powojennej partyzantki antykomunistycznej jego postać wybija się niemal jak symbol walki o Polskę – wedle słów partyzanckiej piosenki – „wolną i czystą jak łąka”. Byli tacy, co mieli więcej podkomendnych („Warszyc”, „Ogień”) i tacy, co dłużej walczyli niż on („Bruzda”, „Lalek”), a jednak – jak śpiewano w innej piosence – to przed nim „wiał czerwony cham” i na dźwięk jego imienia drżeli ubecy. To jemu urządzono pokazowy proces w Warszawie, transmitowany przez radio na całą Polskę, i to on i jego żołnierze byli przez lata przedmiotem szczególnie zapiekłej kampanii nienawiści i kłamstw. Stosunek komunistów do „Łupaszki” był szczególnie mieszaniną wrogości i respektu.



► Major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” (pierwszy z lewej) ze swoimi podkomendnymi

Zygmunta Szendzielarza urodził się 12 marca 1910 w Stryju koło Lwowa. Kolejarska, wielodzietna rodzina Eufrozyny z Osiekich i Karola miała śląskie korzenie (stąd częste do dziś błędy w publikacjach i wypowiedziach, że śląskim wariantem nazwiska „Szendzielorz”), jednak w pokoleniu Zygmunta byli to już „obrońcy spod kresowych stanic”. Jego starsi bracia walczyli w roku 1919 w obronie Lwowa. Rudolf poległ, Marian zasłużył na Virtuti Militari i to właśnie ich czyny były dla Zygmunta tworzywem niepowtarzalnej formacji duchowej, w której obowiązki rodzinne spletały się ze sprawami ojczyzny i z imperatywem walki o świętą powinność, czyli niepodległość kraju. Wojskowa droga brata Mariana, rotmistrza kawalerii, podczas wojny oficera 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, była dla Zygmunta ważnym punktem odniesienia. Po ukończeniu gimnazjum odbył kurs Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, a potem trafił, podobnie jak brat, do grudziądzkiego Centrum Wyszkożenia Kawalerii, skąd wyszedł w 1934 roku jako podporucznik, z przydziałem do 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich.

„Brygada Śmierci”

Szendzielarz uniknął losu jeńców obozów specjalnych NKWD, choć od początku okupacji poruszał się po niebezpiecznym terenie. Nie zamierzał się tylko ukrywać, szukał przydziału w konspiracji. Wyróżnił się w wojnie wrześniowej jako dowódca szwadronu podczas przeprawy przez Wisłę pod Kozienicami. Zasłużył na Virtuti Militari. Po ucieczce z niewoli sowieckiej pojawił się na krótko we Lwowie, a potem w Wilnie. Już jako oficer ZWZ/AK przebywał na Litwie kowieńskiej, wykonując zadania wywiadowcze. Momentem przełomowym w jego życiu okazał się przydział na dowódcę pierwszego oddziału partyzanckiego AK na Wileńszczyźnie. To było w lecie 1943. Oddziałem dowodził oficer rezerwy, w cywilu nauczyciel Antoni Burzyński „Kmicic”. Dowództwo Okręgu Wileńskiego AK chciało tam mieć doświadczonego oficera zawodowego. Kiedy „Łupaszko” zdążył do nich z przewodnikiem, dotarła do niego wiadomość o wymordowaniu części oddziału „Kmicica” (ponad osiemdziesięciu żołnierzy) przez sowieckich dywersantów z grupy Fiodora Markowa, z którą „Kmicic” dotychczas współpracował w akcjach przeciwko Niemcom. Rozkaz do zbrod-

ni przyszedł z sowieckiego sztabu partyzanckiego. Sowieccy dywersanci nie życzyli sobie polskiej partyzantki niepodległościowej na Kresach. Z resztek oddziału „Kmicica” utworzyli oddział partyzantki „ludowej” im. Bartosza Głowackiego, pod sowieckim dowództwem. Już wtedy ćwiczyli scenariusze Polski „lubelskiej”. Ten oddział się rozpadł, a Szendzielarz zbudował z ocalałych partyzantów „Kmicica” i z uciekinierów V Brygadę Wileńską AK, która stanie się znana jako Brygada Śmierci, czyli doświadczona śmiertelnie przez Sowietów. Po wojnie komunistyczna propaganda będzie to tłumaczyła na swój sposób.

Worziany i Radziusze

Brygada toczyła boje zarówno z Niemcami i ich kolaborantami litewskimi, jak i z dywersantami sowieckimi. Najbardziej spektakularną, zwycięską bitwą z Niemcami było rozbięcie silnej ekspedycji Wehrmachtu pod Worzianami 31 stycznia 1944 roku. „Łupaszko” został wówczas ranny. Dwa dni później jego podkomendni dosłownie zmasakrowali pod Radziuszami sowieckich dywersantów (około stu zabitych przeciwników!), którzy się na nich zasadzili, licząc na to, że Polacy liżą rany po bitwie z Niemcami. „Łupaszko” nie popełnił błędów „Kmicica”, nie miał złudzeń co do intencji Sowietów. Jego brygada stawiała się z dnia na dzień legendą partyzantki niepodległościowej na Kresach, w dużej mierze dzięki charyzmie i kompetencjom wojskowym dowódcy.

W rozproszeniu

Brygada nie uczestniczyła w operacji „Ostra Brama”, czyli w wyzwoleniu Wilna od Niemców – we współpracy z Sowietami. Zostało to uzgodnione z dowódcą wileńskiej AK, ppłk. Aleksandrem Krzyżanowskim „Wilkiem”. Żołnierze mieli w żywej pamięci potyczki z Sowietami i tragiczne losy oddziału „Kmicica”. Do „braterstwa broni”, nawet symulowanego, zupełnie się nie nadawali. „Łupaszko” miał powiedzieć, że nie będzie defilować przed ruskimi w Wilnie i że nie chce, by jego żołnierze byli wieszani na murach i bramach Wilna. Niewiele się pomylił.

Po wypędzeniu Niemców z miasta nad Wilią nastąpiło parę dni „braterstwa”, zorganizowano kilka polsko-sowieckich patroli, po czym rozpoczęły się polowania na akowców, rozbrajanie, zwożenie do obozu przejściowego w Miednikach Królewskich, wreszcie wywiezienie sybirskim szlakiem do Kaługi.

Brygada „Łupaszki” przedostała się w rozproszeniu na zachód, przedzierając się przez silny kordon sowiecki. Major odtworzył swój oddział na Podlasiu. Jego żołnierze podjęli walkę z formacjami NKWD, UB i KBW. Zimą z 1945 na 1946 rok byli już na Pomorzu.

Contra spem spero

Kampania pomorska „Łupaszki” trwała od wiosny do jesieni 1946 roku, w czasie poprzedzającym „referendum ludowe” i wybory do sejmu. Nie składała się z bitew partyzanckich ani akcji zbrojnych. Żołnierze koncentrowali się na akcjach propagandowych, podtrzymujących w społeczeństwie ducha oporu przeciwko sowietyzacji. Taki był sens rozbrajania posterunków MO czy likwidowania placówek UB. Chodziło o pokazanie Polakom, że jest Wojsko Polskie niezależne od Sowietów, dowodzone przez polskich oficerów, a nie sowieckich *komandirów*; że toczy się walka o świętą sprawę – niepodległość kraju, zagrożoną umową jałtańską. „Łupaszko”, z natury realista, pokładał jeszcze pewne nadzieje w zapowiedzianych na styczeń 1947 roku wyborach do sejmu. Jednak nawet on, tak dobrze znający Sowietów, nie przewidział chyba, jak bardzo będą one zmanipulowane, a ich wyniki dodatkowo sfalszowane. A może była to po prostu nadzieja wbrew nadziei, tak dobrze znana z historii Polski czasu zaborów.

Polska prawdziwie demokratyczna

Propagandowy, konsolidacyjny charakter tej kampanii odzwierciedlają ulotki, podpisane przez „Łupaszkę” i rozklejane na murach Gdańska. Pisał w nich prawdę o organizującym się sowieckim dominium w Polsce: „Rodacy! Naród Pol-

ski wypowiedział walkę swym wrogom, by ofiarą krwi i życia swego wywalczył wymarzoną, wolną, niepodległą i niezależną Polskę. Wojna się skończyła! Polska na podstawie krymskiej konferencji miała być wielka, silna i niezależna. Ale nasz wschodni sąsiad był przezorniejszy w swych nikczemnych zamiarach. Już w 1945 r. wyznaczył nam rząd ze swych sługusów [...]. Polska nie jest samodzielna i demokratyczna. My, którzy ponieśliśmy tyle ofiar, nie możemy pozwolić na to, by w naszym Państwie panoszyli się Azjaci i narzucali nam swe prawa przez swych pacholków. My chcemy, by Polska była rządzona przez Polaków oddanych Sprawie i wybranych przez cały Naród [...]. Dlatego też wypowiedzieliśmy walkę na śmierć i życie tym, którzy za pieniądze, orderzy lub stanowiska z rąk sowieckich mordują najlepszych Polaków, domagających się wolności i sprawiedliwości [...]. Walczymy za świętą Spra-

wę, za wolną, niezależną, sprawiedliwą i prawdziwie demokratyczną Polskę!”.

„Prawdziwie demokratyczną” – takie sformułowanie znalazło się w odezwie nie bez kozery. Stalin bowiem zniewalał Polskę nie pod hasłami komunizmu, lecz pod hasłami „demokracji”. „Łupaszko” zwracał uwagę, że to sowiecka obłuda i że „nie mamy ani prasy własnej, ani wolności słowa, ani wolności zebrań, ani prawa wiązania się w stronnictwa polityczne. Jesteśmy pozbawieni wszystkich dobrodziejstw demokracji! Jednopartyjne rządy komunistyczne biorą myśl w obcęgę, pozbawiają człowieka woli, przywiązań, umiłowań tych najistotniejszych cech człowieczeństwa i czynią z niego pozbawionego ducha i serca robota [...]. Mamyż wyrzec się ducha, serca i zaprzeć się wiary?!”. Jeśli szukamy odpowiedzi na pytanie, skąd się brała nienawiść komunistycznej władzy do „Łupaszki”, to warto brać pod uwagę nie tylko to, co robił, nie tylko wykonane wyroki na kolaborantach i donosicielach, utrwalaczach władzy sowieckiej w Polsce, ale i na to, co mówił i pisał. Jego słowa bolały kolaborantów, racjonalizujących swoje zaprzaństwo „realiami politycznymi”.

Na Pomorzu

Kampania pomorska „Łupaszki” rozpoczęła się w marcu 1946 roku od akcji rekwizycyjnych na potrzeby szwadronów. Jednocześnie trwała akcja ulotkowa w Trójmieście. Wyjście w pole nastąpiło w kwietniu, pierwsza koncentracja miała miejsce w lasach skórzeckich pod Starogardem. Od wiosny do jesieni 1946 roku łupaszkowcy przeprowadzili ponad 230 akcji. Najbardziej brawurowa odbyła się w niedzielę 19 maja. Szwadron Zdzisława Badochy „Żelaznego” w ciągu jednego dnia rozbroił posterunki MO w Kaliskach, Osiecznej, Osiu, Skórczu, Zblewie, Lubichowie i w Starej Kiszewie. O akcji informowało nazajutrz BBC. W Starej Kiszewie zlikwidowano placówkę UB. Na rozkaz „Żelaznego” zostali rozstrzelani: doradca szefa UB w Kościerzynie lejt-nant NKWD Piotr Szyniedzin, kierownik placówki UB Jerzy Fajer, pracownicy UB Zygmunt Mastalerz i Michał Safjan, szofer Szyniedzina Władysław Getczes



Fot. AIPN

(Litwin) oraz członek PPR i współpracownik UB Jan Kujach. W meldunku sowieckiego doradcy wojewódzkiego UB, por. Jana Wołkowa, czytamy: „Napady na posterunki MO [19 maja] odbyły się bez najmniejszego oporu ze strony milicjantów. Ofiar z ich strony nie było”. Propaganda PRL przedstawiała wydarzenia w Starej Kiszewie fałszywie, ale sugestywnie i obrazowo. „Bandyci” mieli być cyniczni i bezwzględni, a rannych – według komunistycznych propagandystów – dobiła z „sadystycznym uśmiechem” siedemnastoletnia sanitariuszka.

Akcje „Łupaszki” miały bardzo różnorodny charakter. 18 kwietnia szwadrony „Łufy” i „Żelaznego” przeprowadziły akcję na pociąg na stacji Zarosłe w powiecie Tuchola. Zarekwirowały zaopatrzenie UNRRA z trzech wagonów. Przeznaczono je na potrzeby oddziału, część rozdano ludności. 4 maja szwadron „Żelaznego” zatrzymał pociąg na stacji Tleń w powiecie tucholskim. Ujęto i rozstrzelano funkcjonariusza UB. 8 maja koło Czarnej Wody szwadron „Żelaznego” rozbroił dwudziestoosobową grupę Służby Ochrony Kolei i milicji, uczestniczącą w oblacie pod dowództwem funkcjonariusza UB Józefa Harasa ze Starogardu. Został on rozstrzelany. W tym samym dniu inny oddział rozbroił posterunek MO w Jarcinie w powiecie chojnickim. 11 maja szwadrony „Żelaznego” i „Łufy”, dowodzone osobiście przez „Łupaszkę”, rozbiły grupę operacyjną KBW w kolonii Bartel Wielki. 3 czerwca szwadron „Zeusa” zajął Dzierżgów. Rozbrojono posterunek MO i sowiecką stację łączności. Oddział „Małego” przeprowadził zasadzkę na grupę operacyjną MO z Bydgoszczy pod wsią Lipinki w powiecie Świecie, wiozącą aresztowanych mieszkańców tej wsi, m.in. leśniczego, sołtysa i księdza. Zabiło czterech funkcjonariuszy. 10 czerwca w Tulicach w powiecie sztumskim doszło do potyczki z grupą operacyjną UB i milicjantami. Trzej milicjanci zginęli, dwóch funkcjonariuszy UB rozstrzelano. W walce ranny został „Żelazny”. Podczas rekonwalescencji został pod koniec czerwca 1946 roku zabity w wyniku przypadkowej akcji milicji.

22 czerwca w Bartlu Wielkim szwadron „Leszka” rozbroił oficera i siedmiu żołnierzy z grupy propagandowej przed „referendum ludowym” oraz komendanta posterunku MO z Kalisk. 2 lipca pod Suszem przeprowadzono akcję na dziesięciu żołnierzy sowieckich, pędzących ukradzione w Polsce konie do Związku Sowieckiego. 3 września szwadron „Zeusa” ukarał chłostą mieszkankę wsi Lipinki, która zadenuncjowała na UB księdza współpracującego z oddziałami „Łupaszki”. 5 września szwadron „Zeusa” przeprowadził rekwizycję zaopatrzenia u członków PPR we wsi Mokre koło Czerska. Dwóch peperców ukarano chłostą.

Honorowy, więc nie ubowiec...

Wbrew propagandzie ubeckiej, łupaszkowcy nie szafowali wyrokami śmierci. Wykonywali je na funkcjonariuszach UB, sowieckich doradcach UB, na konfidentach, którym udowodniono współpracę z UB na szkodę miejscowej ludności. W przypadku ubowców obowiązywał ich rozkaz *à la long* komendanta okręgu wileńskiego. Nakazywał on traktowanie ubowców jak policję polityczną wroga. Ciekawy przypadek zdarzył się w miasteczku Skórcz. Zatrzymany funkcjonariusz UB, niejaki Kisiel, gdy się dowiedział, że będzie rozstrzelany, powiedział: „Trudno, panowie. Rozkaz to rozkaz”... Stanęli zdumieni. Do tej pory spotykali ubeków chamskich, prymitywnych, po prostu bandziorów. A tu człowiek zachowuje się honorowo. To chyba nie ubowiec, to pomyłka – pomyśleli. Puścili Kisiela wolno. Ten przypadek pokazuje nie tyle polityczne, ile etyczne aspekty ówczesnej walki z sowietyzacją Polski.

Polowanie na wilniuków

17 i 18 października 1946 roku, podczas koncentracji na Podlasiu VI Brygady i szwadronu „Łufy” z V Brygady, mjr „Łupaszka” (takiej formy pseudonimu używał po opuszczeniu Wileńszczyzny) dał podkomendnym rozkaz rozwiązania oddziałów. Nastąpiło to stopniowo, przez ograniczenie działalności zbrojnej. W roku 1947 nie próbował już odtwarzać brygady. Trzeba było wyciągnąć wnioski

ze sfalszowanego referendum, wyników wyborów styczniowych oraz braku jakiegokolwiek reakcji Zachodu. Teraz major troszczył się już tylko o takie zakonspirowanie swoich żołnierzy, by nie dali się złapać UB. Niestety, w warunkach powszechnej inwigilacji było to bardzo trudne. Niektórzy ujawnili się po ogłoszeniu amnestii w 1947 roku, ale i tak trafili do więzienia. Major Zygmunt Szendzielarz został aresztowany w czerwcu 1948 roku, w ramach wielkiej, ogólnopolskiej operacji X, czyli łapanki ludzi pochodzących z Wileńszczyzny. Aresztowano kilka tysięcy osób. Bezpieka słusznie założyła, że byli mieszkańcy północno-wschodnich Kresów są *in gremio* przeciwnikami sowieckiego komunizmu. Sfingowany proces majora był transmitowany przez radio na cały kraj. Lektor wyjaśniał, że sądzi się „bandytę” i „krwawego zbira”. W wielu przypadkach skutki propagandy są widoczne do dziś. Wyrok śmierci, a raczej zbrodnia sądowa, na majorze oraz na ppłk. Antonim Olechnowiczu „Pohoreckim” (ostatnim komendantem ośrodka wileńskiego AK), kpt. Henryku Borowskim „Trzmielem” i por. Lucjanie Minkiewicz „Wiktorem” wykonano na schodach piwnicy więzienia mokotowskiego 8 lutego 1951 roku. „Czołem, panowie!” – powiedział Szendzielarz, wychodząc z celi śmierci.

W 1993 roku Izba Wojskowa Sądu Najwyższego unieważniła osiemnastokrotny wyrok śmierci na „Łupaszkę”, w 2007 roku prezydent RP Lech Kaczyński nadał majorowi pośmiertnie Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski. Szczątki „Łupaszki” zespół specjalistów pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka z IPN odnalazł na warszawskiej „Łączce” wiosną 2013 roku. Genetycy z Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów ogłosili potwierdzenie tożsamości majora w sierpniu 2013 roku. Państwowy pogrzeb jest zaplanowany na 24 kwietnia. Zygmunt Szendzielarz spocznie na Powązkach Wojskowych w Warszawie w swoim dotychczasowym grobie symbolicznym, obok prochów córki Barbary. ■

Piotr Szubarczyk – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku

Polski oficer z Węgier

Anita M. Madarász

W jego żyłach nie płynęła ani kropla polskiej krwi, a jednak to z krajem nad Wisłą związał swoje życie. Tłumaczył na węgierski literaturę polską, wydał pierwszy słownik polsko-węgierski. Emánuel Aladár Korompay był jednym z tych Węgrów, których bestialskie zamordowanie wpisało się w polską tragedię narodową.

Gotowy do walki za ojczyznę i idee Korompay był doskonale wykształcony, znał kilka języków, poświęcił się nauce. W cywilu pracował jako dyplomata, lektor uniwersytecki, nauczyciel języka węgierskiego; w wojsku doszedł do rangi kapitana. Jego życie ściśle i ostatecznie złączyło się z historią i losami Polski podczas I wojny światowej. Wtedy to poznał w Galicji swoją przyszłą żonę. Miał dwie ojczyzny i nie wahał się ani chwili, aby pospieszyć jednej z nich na pomoc, gdy coś zagroziło jej bezpieczeństwu. Zgłosił się na ochotnika do polskiej armii, kiedy we wrześniu 1939 roku wojska niemieckie ruszyły na Polskę. Trafił do niewoli sowieckiej, skąd na ogół nie było już powrotu. Podobnie jak jego towarzysze niedoli czekał z nadzieją, że znowu ujrzy swoich bliskich. Profesor István Kovács, historyk badający polsko-węgierskie związki historyczne, polonista i dyplomata, uważa, że musiała istnieć szansa na ucieczkę Emánuela Korompayego. Wiosną 1940 roku doszło natomiast do zdarzenia, którego nikt się nie spodziewał. Szczęry orędownik i popularyzator przyjaźni węgiersko-polskiej do dziś spoczywa z licznymi współtowarzyszami niewoli w jednym z masowych grobów.



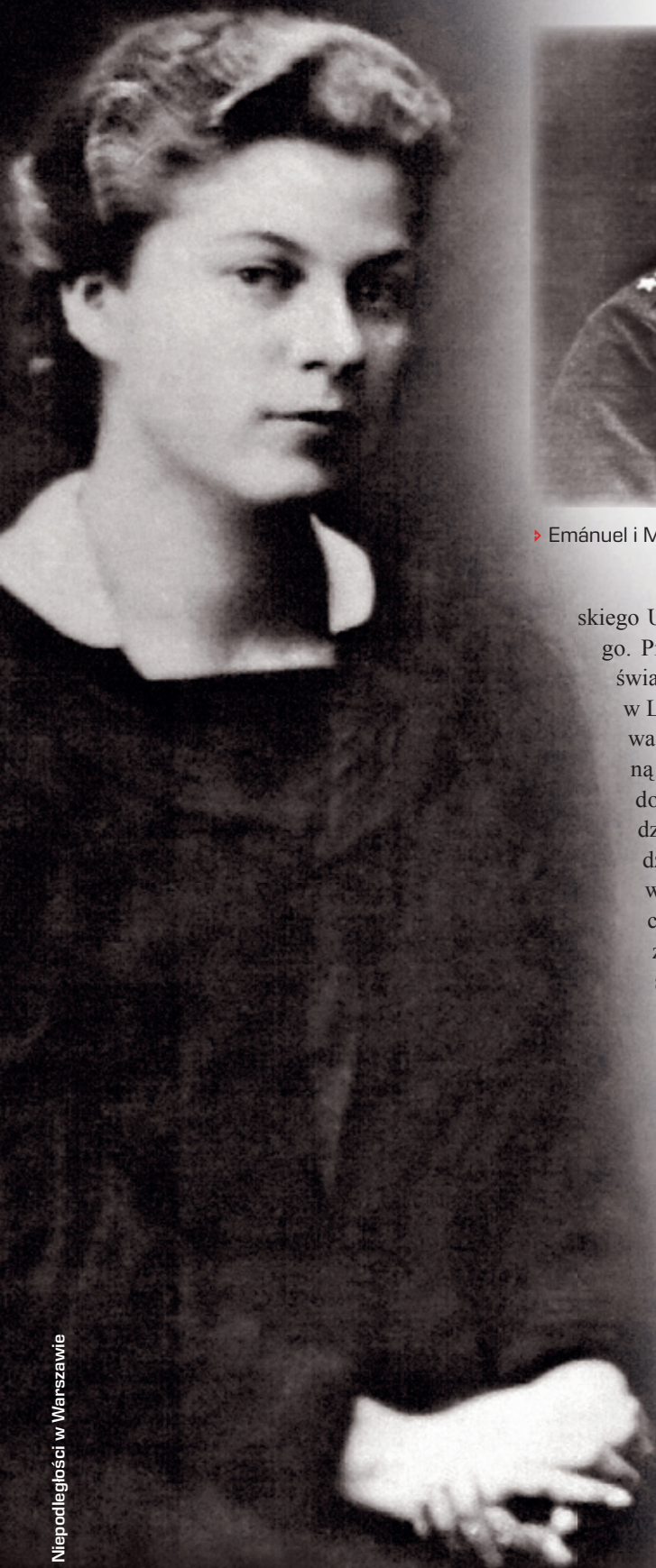
Fot. ze zbiorów Wiesława Budzńskiego

► Emánuel Aladár Korompay

Węgier, który stał się Polakiem

Emánuel Aladár Korompay urodził się w 1890 roku w Budapeszcie jako piąte dziecko w zamożnej rodzinie aptekarzy z północnych Węgier. Ochrzczony w obrządku rzymskokatolickim, w 1908

roku zdał maturę w Gimnazjum Kalwińskim przy ul. Lónyai, następnie studiował w Rzymie, Wiedniu i Budapeszcie. W 1912 roku otrzymał dyplom nauczycielski w zakresie filologii klasycznej na Wydziale Humanistycznym Królew- ►



Fot. Muzeum Niepodległości w Warszawie

► Emanuel i Mieczysława Korompayowie

skiego Uniwersytetu Węgierskiego. Przed wybuchem I wojny światowej uczył w gimnazjum w Léva (obecnie Levice, Słowacja). Kontynuując rodzinną tradycję, zdobył także dogłębną wiedzę w dziedzinie farmacji, co potwierdza otrzymany przez niego w 1914 roku dyplom. Podczas Wielkiej Wojny został zwerbowany do armii austro-węgierskiej, trafił na front wschodni w Galicji, do twierdzy przemyskiej. Wtedy bliżej poznał Polaków. Jak można przeczytać w książce Istvána Kovácsa *A barátság anatómiája* (Anatomia przyjaźni), Korompayego „urzekła ich bezinteresowna miłość do ojczyzny, bohaterstwo, niezachwiana wiara w rychłe zmartwychwstanie Polski, pragnienie czynu”. Sympatia jeszcze się pogłębiła, gdy poznał

Mieczysławę Grabas, pracującą w Przemysłu jako tłumaczka Węgrów. Wkrótce się pobrali – mimo protestów obu rodzin. Młodzi małżonkowie mieszkali w dwóch miejscach, krążyli między Léva a Budapesztem. Byli naoczniymi świadkami przełomowych wydarzeń historycznych w tych miastach – przyłączenia Léva do Czechosłowacji i utworzenia w Budapeszcie komunistycznej Węgierskiej Republiki Rad (1919).

Po tym, jak znalazł ostoję w życiu prywatnym, w ostatnim roku wojny jego kariera wojskowa nabrała rozpędu – 11 maja 1918 roku awansował na porucznika rezerwy 13. batalionu strzelców. W tym samym roku młode małżeństwo razem z córeczką Iloną wróciło do Polski, gdzie Korompay w 1919 roku przyjął polskie obywatelstwo, a następnie wstąpił do Wojska Polskiego. W 1930 roku został przeniesiony w stan spoczynku w randze kapitana, nie wrócił jednak na Węgry, lecz objął stanowisko prezesa Towarzystwa Polsko-Węgierskiego w Warszawie. Następnie przyjął stanowisko lektora języka węgierskiego i nauczyciela na Uniwersytecie Warszawskim. Pozostawił po sobie cenny i trwały dorobek jako wykładowca i naukowiec – w 1936 roku opublikował pierwszy słownik węgiersko-polski i polsko-węgierski. Tak w roku publikacji słownika pisało węgierskie czasopismo literackie „Napkelet”: „Jest to pierwszy

► Marta Korompay

tego typu eksperyment, w ślad za którym z pewnością przyjdą niedługo obszerniejsze pozycje. Pierwszy węgiersko-polski słownik to zgrabna i poręczna książeczka, która zaspokoi najpilniejsze potrzeby”. Dwa lata później Korompay wydał rozmówki kieszonkowe, przełożył też na węgierski dzieła polskiej pisarki Zofii Kosak. Kres jego karierze naukowej położył wybuch II wojny światowej.

W sowieckim obozie

Zawiązany 23 sierpnia 1939 roku pakt Ribbentrop–Mołotow zaważył na losie Emánuela Korompayego, podobnie jak wielu jego rodaków. Dotychczasowych wrogów zmienił w „przyjaciół”. Zgodnie z duchem paktu wojska sowieckie zaatakowały Polskę w siedemnastym dniu wojny niemiecko-polskiej. Na wieść o wybuchu wojny Korompay zgłosił się do służby wojskowej. Mobilizacja zastała go jeszcze w sierpniu 1939 roku na Węgrzech, gdzie akurat przebywał na wyjeździe naukowym ze studentami. Nie wahał się ani chwili – nie wyobrażał sobie, że mógłby się uchylić od obowiązku poborowego w czasie wojny, pozostając na Węgrzech albo prosić za pośrednictwem poselstwa Węgier w Warszawie o zwolnienie od służby. Po zaciągnięciu się do wojska został odkomenderowany jako kapitan w okolice Lwowa, gdzie dostał się do

► Elżbieta Korompay

niewoli sowieckiej. Pojmani polscy oficerowie w październiku 1939 roku trafili do 138 obozów przejściowych w Związku sowieckim, a miesiąc później zostali rozwiezieni do trzech większych obozów w okolicach Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. Korompay razem z broniącymi Lwowa oficerami polskimi znalazł się w urządzonym w dawnym klasztorze obozie jenieckim w Starobielsku, leżącym na południowy wschód od Charkowa. Amerykański pisarz Allen Paul napisał w książce *Katyni*: „Okolo połowy spośród 3910 więźniów Starobielska dostało się do niewoli po kapitulacji Lwowa 22 września 1939 roku, po gwałtownym, ale nieskoordynowanym natarciu Armii Czerwonej i Wehrmachtu. Na obszarze kilku hektarów obozu internowano ośmiu generałów, cały personel Wojskowego Instytutu

Gazowego oraz kapelanów wszystkich wyznań. Było tam również kilkuset lekarzy, inżynierów, adwokatów, nauczycieli, urzędników i polityków”.

O istnieniu tych trzech obozów wiedział polski rząd na emigracji. Wiedziały też zaniepokojone rodziny jeńców, gdyż ci do końca marca 1940 roku mogli wysyłać listy. Po wybuchu wojny bliscy Emánuela Korompayego przeżyli ciężkie chwile – najpierw musieli uciekać z Warszawy, a po powrocie nie mało cierpienia przysporzył im brak wiadomości o mężu i ojcu. Za pośrednictwem Czerwonego Krzyża próbowali zdobyć informacje na temat miejsca jego przebywania, szukali go m.in. w obozach dla polskich uchodźców na Węgrzech i w Rumunii. Pierwszy znak życia dał w święta Bożego Narodzenia 1939 roku i na dozwolonej przez władze obozu nie-

Fot. Muzeum Niepodległości w Warszawie

Fot. ze zbiorów Wiesława Budzkiego



► Karta pocztowa Emánuela Korompayego wysłana ze Starobielska do żony Mieczysławy

zaklejonej karcie pocztowej poinformował bliskich, że jest w niewoli w Starobielsku, a w następnym liście napisał, że niedługo ich dokądś przenoszą. Historyk Károly Kapronczay podaje w pracy *Orsós Ferenc és a katyñi tömegsírok azonosítása* (Identyfikacja Ferenc Orsós i masowych grobów w Katyniu), że „według jego dawnych towarzyszy niedoli, którzy przeżyli wojnę, Korompay długo odwlekał myśl o ewentualnej ucieczce, a nawet pewnego razu, kiedy został w tyle za maszerującymi jeńcami, przez co rosyjski strażnik przycisnął go do muru i zwymyślał, odezwał się po węgiersku. Gdyby towarzysze nie »zaświadczyli« o jego polskości, zastrzelono by go na miejscu”. Nigdy więcej nie napisał do rodziny, wieść o nim zaginęła.

Ostatnie dni w wirze wydarzeń

2 marca 1940 roku Ławrientij Beria, sowiecki ludowy komisarz spraw wewnętrznych, napisał do Stalina kilkustronicową notatkę, w której zalecił „sprzątnięcie” obozów NKWD w Ostaszkowie, Kozielsku i Starobielsku oraz przedsięwzięcie drastycznych środków wobec polskich jeńców. 5 marca czterech członków Biura Politycznego KC Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej (bolszewików) przyjęło wniosek, dając Berii i NKWD wolną rękę w sprawie jeńców. Dokument określił też sposób egzekucji: „Biorąc pod uwagę, że wszyscy oni są zatwardziały i niepoprawnymi wrogami władzy sowieckiej, NKWD ZSRR uważa za niezbędne [...] zastosowanie wobec nich najwyższego wymiaru kary – rozstrzelania”.

Przez kilka tygodni z obozów odchodziły transporty. Wcześniej jeńców ze wszystkich trzech obozów zaszczepiono na dur brzuszny i cholere, a dla niepoznaki i stworzenia mylnego wrażenia rozdano im zapakowany w papier suchy prowiant. Wreszcie pociągi i karetki więzienne z zamalowanymi oknami zwane *czornyje worony* (czarne kruki) przybyły na wyznaczone miejsce egzekucji. Niczego niepodjęwające ofiary zabijano pojedynczo strzałem w tył głowy, po czym zrzucano do masowych grobów w Katyniu pod Smoleńskiem, Miedno-

je koło Tweru i lasach w Piatichatkach, które dziś znajdują się na przedmieściach Charkowa. Emánuela Korompayego zamordowano strzałem w potylicę w charkowskim areszcie, a jego ciało przewieziono do pobliskich Piatichatek.

Śmierć Korompayego nie oznaczała końca tragedii w rodzinie. Jego urodzona w 1919 roku córka Marta, sanitariuszka ochotniczka, zginęła na oczach matki w czasie niemieckich nalotów na hotel Europejski w Warszawie. Drugą córkę, Elżbietę, która razem z matką działała w konspiracji jako łączniczka, zatrzymało w 1943 roku gestapo i torturowało w obecności matki. Dziewczyna popełniła samobójstwo w więzieniu. Żona Korompayego, która była świadkiem śmierci dwóch córek, zmarła w 1944 roku w obozie koncentracyjnym Auschwitz.

Z całej rodziny ocalała tylko jedna córka, ale i ona przeżyła koszmar w czasie wojny. Pod koniec 1944 roku Ilona Korompay została wywieziona na Syberię i dopiero w latach pięćdziesiątych udało jej się powrócić do kraju. Chcąc odnaleźć ojca, wiosną 1945 roku zapytała w obozie dla internowanych w Chabarowsku pewnego sympatyzującego z Polakami oficera sowieckiego, czy słyszał o Katyniu i co się stało z polskimi oficerami. Tak Ilona Korompay wspominała tę rozmowę w 1990 roku: „Rosyjski generał poczerwieniał, oczy mu się zwęziły, sięgnął po broń. Po krótkiej chwili zapanował nad sobą i cicho powiedział: »Katyń! Niech pani nigdy więcej nie wymawia tego słowa! Ma pani szczęście, że to mnie pani zapytała!«. Kiedy odbiegł, ostatecznie przekonałam się, że ojciec nie żyje...”.

Po oficjalnym uznaniu odpowiedzialności władz sowieckich za zbrodnię katyńską ekshumowano w 1991 roku masowy grób ofiar obozu w Starobielsku. Mimo że nazwisko Korompayego figuruje w rejestrze osób zamordowanych w Charkowie, jego zwłok nigdy nie zidentyfikowano.

Upamiętnienie

Pamięć o Emánuelu Korompaym jest pielęgnowana w wielu miejscach zarówno na Węgrzech, jak i w Polsce. Pierwszą tablicę pamiątkową ku czci Korompayego umie-

cił Komitet Katyński 12 kwietnia 1992 roku na budynku u zbiegu ulic Podchorążych i Hołówki w Warszawie, w którym przed wojną mieściło się jego mieszkanie. Na tablicy widnieje napis: „W tym domu mieszkał Emánuel Korompay, oficer Wojska Polskiego, więzień Starobielska, zamordowany w 1940 przez NKWD w Charkowie”. W wyniku Zbrodni Katyńskiej zginęło 22 mieszkańców tego domu.

W Piatichatkach pod Charkowem 17 czerwca 2000 roku państwo polskie postawiło pomnik upamiętniający ponad tysiąc zamordowanych tam Polaków, między innymi Emánuela Korompaya.

21 listopada 2002 roku w obecności posłów węgierskich uroczystość przecięto wstęgę pod polskojęzyczną tablicą na jednym z budynków Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie niegdyś mieściła się – wtedy jeszcze pod inną nazwą – Katedra Hungarystyki. W obu uroczystościach uczestniczyła Ilona Korompay, jedyna ocalała córka kapitana. Zmarła w 2010 roku w Polsce.

W związku z 70. rocznicą Zbrodni Katyńskiej na cześć dwóch jej ofiar pochodzenia węgierskiego, Emánuela Korompayego i Oskara Rudolfa Kühnla, samorząd komitatu (odpowiednika województwa) Csongrád ufundował tablicę pamiątkową w Łodzi.

8 kwietnia 2011 roku w budapeszteńskiej III Dzielnicy uroczystość odsłonięto Pomnik Męczenników Katynia. W pobliżu zasadzono też dwa dęby ku czci węgierskich ofiar, w tym Emánuela Korompayego.

21 marca 2014 roku prezydenci Polski Bronisław Komorowski i Węgier János Áder odsłanili na ścianie Gólyavár, w kampusie Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu im. Loránda Eötvösa w Budapeszcie, tablicę poświęconą dawnemu studentowi, polskiemu kapitanowi rezerwy, Emánuelowi Aladárowi Korompayemu. Po złożeniu wieńców prezydenci wspólnie zasadzili dąb na pamiątkę tego wydarzenia. 🇵🇱

Anita M. Madarász – węgierska historyk, pracownik Komitetu Pamięci Narodowej (Nemzeti Emlékezet Bizottsága)

Przekład z języka węgierskiego: Karolina Wilamowska (Węgierski Instytut Historyczny)

Młodzieżowe kuźnie kadr

Mirosław Szumiło

Organizacje młodzieżowe w ruchu komunistycznym służyły przede wszystkim do kształtowania „nowego człowieka”, uznającego za własne zasady ideologii marksizmu-leninizmu.

W Polsce Ludowej odgrywały również rolę pierwszego pomocnika partii w procesie przebudowy społeczno-gospodarczej państwa i świadomości społeczeństwa. Przygotowywały też kadry młodych aktywistów, zasilające następnie elitę PPR i PZPR.



Powojenna elita partyjna wywodziła się w dużej mierze z organizacji młodzieżowych działających w czasach II RP.

W 1922 roku z połączenia mniejszych grup uformował się Związek Młodzieży Komunistycznej w Polsce (ZMK), w 1929 roku przemianowany na Komunistyczny Związek Młodzieży Polski (KZMP). Był wzorowany na sowieckim Komsomole, pełniąc (podobnie jak późniejsze organizacje tego typu) funkcję pierwszego pomocnika partii komunistycznej. W szczytowym momencie rozwoju liczył 15 tys. członków. Dla porównania Związek Młodzieży Wiej-

► Obchody rocznicy bitwy pod Lenino, radzieccy sportowcy składają wieniec przy Grobie Nieznanego Żołnierza na pl. Zwycięstwa; od lewej: miotaczka Anna Andrejewa, biegacz Jewgienij Bułanczik, miotaczka Tatiana Siewriukowa; Warszawa, 17 października 1948 roku

skiej RP „Wici” w 1936 roku liczył ponad 90 tys. członków. W środowisku nieco starszej młodzieży akademickiej działała od 1928 roku Organizacja Młodzieży Socjalistycznej (OMS) „Życie”. Jednym z głównych zadań młodzieżówki było wychowanie przyszłych działaczy partyjnych. W uchwale I zjazdu ZMK zapisano: „Partia komunistyczna, kierownicza klasy robotniczej, szczególnie odczuwa potrzebę posiadania rezerw, które wzmacniałyby jej szeregi i dostar-

czałyby kadr młodych sił; musi mieć przygotowawczą szkołę, która wychowywałaby młode pokolenie proletariackie dla partii komunistycznej”.

To idzie młodość

Chyba najbardziej niedocenianym przez historyków czynnikiem wywołującym podatność części młodzieży w II Rzeczypospolitej na agitację komunistyczną była właśnie (używając słów Romana Żambrowskiego) „młodość – jej siła, wy- ►

obrażnia, wiara, bezkompromisowość”. Komuniści wykorzystywali ów młodzieńczy idealizm i radykalizm – ostry, bezwzględny krytycyzm wobec zastanej rzeczywistości i bunt przeciwko autorytetom. Adeptom „nowej wiary” oferowano poczucie misji – udziału w budowie nowego, lepszego świata. Kult młodości należał do stałych elementów utopii komunistycznej. Również po 1944 roku zaangażowanie ludzi młodych było gwarantem zmian, a utożsamiany z młodością nonkonformizm służył do walki ze wszystkim, co „reakcyjne”.

Na podstawie ankiet członków Komunistycznej Partii Polski, historyk Zbigniew Szczypiński obliczył, że 43 proc. z nich rozpoczynało działalność społeczno-polityczną, kiedy miało od 14 do 20 lat. W węższym gronie funkcjonariuszy partyjnych ten odsetek wzrastał do ponad 60 proc. Można zatem zauważyć zależność między wiekiem rozpoczęcia działalności a miejscem zajmowanym w hierarchii partyjnej. Z przeprowadzonej przeze mnie analizy życiorysów 230 kapepowców, którzy po wojnie wchodzili do szerokiej elity PPR/PZPR, wynika, że aż 152 z nich (65 proc.) wstąpiło do organizacji komunistycznych przed ukończeniem 20. roku życia. Co trzeci z nich uczynił to w wieku od 14 do 16 lat. Wśród piętnastoletnich adeptów komunizmu byli późniejsi członkowie kierownictwa PZPR (Biura Politycznego i Sekretariatu KC) – Roman Zambrowski, Eugeniusz Szyr, Artur Starewicz. Z grona czołowych działaczy przedwojennej młodzieżówki komunistycznej wywodzili się także m.in. wicepremier Hilary Minc i minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz. Byli członkowie KZMP mieli duże wpływy w elicie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej do końca lat sześćdziesiątych.

Młodzieżową przybudówką Polskiej Partii Robotniczej był od stycznia 1943 roku Związek Walki Młodych (ZWM). W okresie okupacji niemieckiej nie odgrywał on większej roli, licząc zaledwie kilkuset członków. Po 1944 roku służył natomiast do werbunku tak bardzo potrzebnych „władzy ludowej” nowych

kadr. Do ZWM wstępowali głównie młodzi ludzie z awansu społecznego, wyrwani ze swoich środowisk chłopskich i robotniczych. Ich zaangażowanie wzmacniało to, że dotychczas pogardzani i upośledzeni, byli kreowani teraz na klasę przewodnią. Drugą grupę rekrutowanych stanowili uczniowie szkół średnich i studenci. Komuniści zastosowali w tym wypadku zabieg taktyczny polegający na apoteozie młodości. Przecistawiali młodych starym, lansując w imię postępu bunt wobec rodziców i nauczycieli.

Po wojnie

Po wojnie „władza ludowa” nie pozwoliła na zalegalizowanie narodowych i chrześcijańsko-demokratycznych organizacji młodzieżowych, a działalność organizacji związanych z Kościołem katolickim zawieszono na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Nieza-

leżną organizacją młodzieżową był początkowo Związek Harcerstwa Polskiego, ale po 1948 roku w wyniku czystek kadrowych połączonych z wprowadzaniem na stanowiska kierownicze aktywistów komunistycznych, został spacyfikowany i podporządkowany celom ideologicznym nowej władzy.

Młodzież o poglądach lewicowych oprócz ZWM miała do wyboru także inne organizacje – m.in. socjalistyczną Organizację Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (OM TUR) i ludowy Związek Młodzieży Wiejskiej (ZMW) RP „Wici”. To też przynależność do ZWM miała charakter zupełnie dobrowolny i w dużej mierze ideowy. W lipcu 1948 roku organizacja liczyła ponad 300 tys. ludzi, którzy zasila-



li następnie szeregi PPR i PZPR. Jak się szacuje, ok. 15 proc. byłych zetwemowców trafiło do służby w aparacie bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej, stając się prawdziwą podporą systemu. Kilkunastu znalazło się w elicie władzy. Najbardziej znanym wychowankiem ZWM w kierownictwie partyjnym był Stanisław Kania, I sekretarz KC PZPR w latach 1980–1981.

Największą rolę w wychowaniu kadr dla aparatu władzy w PRL odegrał Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), utworzony w lipcu 1948 roku z wymuszonego połączenia ZWM, OM TUR, ZMW RP „Wici” oraz Związku Młodzieży Demokratycznej (ZMD). W zamysłu władz nowa zjednoczona organizacja miała mieć monopol na działalność ideowo-wychowawczą wśród młodzieży. Przynależność do niej była w znacznej mierze obowiązkowa. W późniejszych badaniach socjologicznych aż 72 proc. członków ZMP przyznało, że przystąpiło do organizacji na skutek

presji administracyjnej w szkole czy zakładzie pracy lub za namową rodziców, świadomych, że będzie to warunkiem zdania matury i przyjęcia na studia. W 1955 roku w szeregach ZMP znajdowało się 38 proc. młodzieży w wieku od 14 do 25 lat (w sumie ponad 2 mln ludzi).

Większość członków ZMP stosowała różne strategie przystosowawcze lub formy oporu, np. nieobecność lub bierność na zebraniach albo unikanie zaangażowania w wykonywanie wyznaczonych zadań. Tylko 10–15 proc. członków organizacji utożsamiało się z jej celami, tworząc zdefiniowane przez socjolog Hannę Świdę-Ziembę „pokolenie ZMP-owskich wyznawców ideologii”. Ich doświadczeniem pokoleniowym było zaangażowanie w ofensywę ideologiczną stalinizmu na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Aktywistów ZMP wykorzystywano do przeprowadzenia rewolucji w różnych dziedzinach życia społecznego. Na wyższych uczelniach stali się awan-

gardą walki z katolickimi organizacjami studenckimi i „reakcyjną profesurą”. Gorliwość wielu działaczy sprawiała, że niejednokrotnie zadania nałożone przez partię wykonywali z przesadnym zaangażowaniem. W latach 1955–1957 wielu wyznawców ideologii stanęło w pierwszym szeregu odwilży i przemian, opowiadając się za powrotem Władysława Gomułki do władzy. Jak zauważył historyk Jerzy Eisler, ich dotychczasowy rewolucyjny zapał po 1956 roku przekształcił się w pragmatyzm i programowanie własnej kariery. Interesowały ich przede wszystkim socjotechniczne umiejętności sprawowania władzy.

Zetempowcy już w latach sześćdziesiątych dominowali w średniej kadrze kierowniczej aparatu partyjnego. Wtedy też pierwsi z nich trafili do kierownictwa PZPR (w 1964 roku – Józef Tejchma, w 1968 roku – Stanisław Kociołek i Stefan Olszowski). W okresie rządów Edwarda Gierka ich znaczenie stopniowo rosło, a w latach osiemdzie-



► Powołanie Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) przyniósł zjazd zjednoczeniowy organizacji młodzieżowych we Wrocławiu; zlot zamykała defilada na pl. Grunwaldzkim; 22 lipca 1948 roku

siątych uzyskali już przewagę liczebną w kierownictwie. Funkcję pierwszych sekretarzy KC PZPR pełnili jednak przedstawiciele nieco starszego pokolenia pepeerowskiego (Wojciech Jaruzelski i Mieczysław Rakowski). W sumie do Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR weszło aż 42 zetempowców.

Drogi tych ludzi do ZMP i PZPR były dość zróżnicowane. Trzech należało w okresie okupacji niemieckiej do Armii Krajowej (w tym późniejszy wicepremier Kazimierz Barcikowski). Czterech rozpoczynało swoją działalność polityczną w szeregach ZMW RP „Wici” (m.in. Tejchma i Barcikowski), czterech innych – w socjalistycznym OM TUR (m.in. Edward Babiuch). Nie wszyscy byli beneficjentami awansu społecznego. Co prawda, osiemnastu pochodziło z rodzin robotniczych, a dziewięciu z chłopskich, ale aż piętnastu z inteligenckich.

W przeciwieństwie do swoich starszych towarzyszy zetempowcy byli dobrze wykształceni (jedynie Alfred Miodowicz nie ukończył studiów). Dziewięciu miało tytuły profesorskie, ośmiu uzyskało doktoraty. Większość z nich wchodziła do elity władzy już po uzyskaniu stopni naukowych. Zwłaszcza Wojciech Jaruzelski starał się pozyskać do swej ekipy rządzącej profesorów. Dlatego wprowadził do kierownictwa partii takich ludzi, jak Marian Orzechowski, Władysław Baka i Janusz Reykowski. Inni działacze pisali doktoraty w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR w trakcie pełnienia funkcji kierowniczych w aparacie partyjnym i państwowym (np. Ryszard Frelek i Mieczysław Jagielski). Sekretarz KW PZPR w Katowicach Tadeusz Pyka (od 1975

roku wicepremier) uzyskał profesurę w zaprzyjaźnionej z tamtejszym komitetem Wyższej Szkole Ekonomicznej.

Po ZMP

Większość przywoływanych działaczy z tego pokolenia rozpoczynała karierę polityczną od pełnienia funkcji kierowniczych w Zarządzie Głównym ZMP. Część znalazła się następnie w kierownicz-

stycznej (ZMS) działał *de facto* według modelu organizacyjnego ZMP, dostosowanego do nowych warunków społeczno-politycznych. Kształtował postawy swoich członków zgodnie z obowiązującą linią partii. Odbudowany Związek Młodzieży Wiejskiej (ZMW) w swoim programie nawiązywał oficjalnie do dorobku ruchu ludowego, łącząc go z elementami ideologii komunistycznej. W rzeczywistości

służył głównie do transmisji polityki PZPR na wieś. Aż 80 proc. etatowych pracowników ZMW należało jednocześnie do PZPR, tylko 20 proc. do satelickiego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

Kilku byłych zetempowców trafiło do elity partyjnej bezpośrednio z kierownictwa ZMS (Andrzej Żabiński) lub ZMW (Józef Tejchma, Kazimierz Barcikowski). Większość musiała się dłużej wspinać po szczeblach kariery w terenowym lub centralnym aparacie PZPR. Część robiła kariery naukowe, a potem została ściągnięta do elity władzy wprost z uczelni.

ZMS i ZMW szybko zaczęły nabierać charakteru masowego. W 1967 roku każdy z nich liczył już około milio-

na członków. W 1976 roku dokonano ponownego zjednoczenia oficjalnego ruchu młodzieżowego, tworząc jeden Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej (ZSMP), który w szczytowym momencie (1979) zgromadził w swoich szeregach 2,5 mln członków. W 1980 roku z ZSMP wydzielono jednak ponownie odrębny Związek Młodzieży Wiejskiej.

Starsi działacze tych organizacji dojrzewali w latach gomułkowskiej małej stabilizacji, czyli w okresie akceptacji ustroju socjalistycznego przez większość społeczeństwa. Młodzi kształtowali się w klimacie bigosowego socjalizmu epoki gierkowskiej. Cechowała



Fot. PAP/Jan Morek

► Ogólnokrajowy Zlot Młodzieży Polskiej z okazji 35. rocznicy zjednoczenia ruchu młodzieżowego i powołania Związku Młodzieży Polskiej; Hala Ludowa, Wrocław, 1983 rok

twie oficjalnych organizacji młodzieżowych utworzonych zamiast rozwiązanego na początku 1957 roku ZMP. W okresie przemian po październiku 1956 roku powstało bowiem kilka związków młodzieży próbujących wybić się na niezależność. Kierownictwo PZPR szybko opanowało jednak sytuację, pozwalając na funkcjonowanie tylko dwóch z nich. Związek Młodzieży Socjali-



ich z reguły postawa głębokiego konformizmu. Świadomie wybierali karierę polityczną w zastanej rzeczywistości. W latach osiemdziesiątych obejmowali ważne stanowiska w aparacie partyjnym, chociaż do kierownictwa PZPR weszło tylko dziewięciu z nich. Byli to głównie aktywiści ZMS i ZSMP. Za zupełnie nietypowy można uznać przypadek przewodniczącego ZMW Waldemara Świrgonia, który w 1982 roku w wieku niespełna 29 lat został sekretarzem KC PZPR.

We wspomnianej grupie młodych członków kierownictwa PZPR pięciu miało pochodzenie inteligenckie, trzech chłopskie, tylko jeden robotnicze. Można nawet mówić o swego rodzaju reprodukcji elity. Sławomir Wiatr był bowiem synem profesora socjologii Jerzego Wiatra, w latach 1980–1984 dyrektora Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR, a Marcin Świąćicki – synem prof. Andrzeja Świąćickiego, działacza Klubu Inteligencji Katolickiej, od 1986 roku członka Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady

Państwa, a jednocześnie zięciem Eugeniusza Szyra – wicepremiera, członka Biura Politycznego w latach 1964–1968. Odosobniony przypadek awansu uzdolnionego robotnika stanowi karierą elektryka Leszka Millera. Lokalny działacz ZMS z Żyrardowa został dostrzeżony przez partyjnych zwierzchników i jako „jednostka wybitnie uzdolniona” skierowany do Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR. Po jej ukończeniu miał już otwartą drogę do awansu w aparacie partyjnym.

Oprócz wymienionych powyżej organizacji istotnym rezerwuarem kadr dla PZPR było również Zrzeszenie Studentów Polskich (ZSP), w latach 1973–1982 działające jako Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Z kierownictwa tej organizacji trafił do elity PZPR m.in. Stanisław Ciosek – jeden z najbliższych współpracowników i doradców Jaruzelskiego.

Młodzieżowe przybudówki partii komunistycznej stanowiły niewątpliwie wydajną kuźnię kadr dla „władzy ludowej” w Polsce. Szczególną rolę odegrali członkowie przedwojennego KZMP,

dzierżący do końca lat sześćdziesiątych wiele czołowych stanowisk w aparacie władzy. Później przejęli pałeczkę zetem powcy, którzy rozpoczynali działalność w okresie ofensywy ideologicznej stalinizmu. Ostatnie, najmłodsze, pokolenie wychowanków partyjnych organizacji młodzieżowych rozwinęło kariery u schyłku PRL, by kontynuować je w III Rzeczypospolitej. Reprezentowali je m. in. wspomniani już Marcin Świąćicki (prezydent Warszawy w latach 1994–1999) i Leszek Miller (premier od 2001 do 2004 roku) oraz prezydent RP z lat 1995–2005, Aleksander Kwaśniewski. Stanowiska ministerialne osiągnęli w III RP działacze pełniący w latach osiemdziesiątych funkcję przewodniczącego Zarządu Głównego ZSMP: Jerzy Jaskiernia (minister sprawiedliwości w latach 1995–1996) i Jerzy Szmajdzński (minister obrony narodowej w latach 2001–2005). ■

dr hab. Mirosław Szumiło – pracownik Instytutu Historii UMCS w Lublinie, redaktor naczelny czasopisma „Komunizm: system-ludzie-dokumentacja”, autor monografii *Roman Zambrowski 1909–1977* (2014)



Przestępcy w mundurach MO

Waldemar Brenda

Kiedy niedawno miałem możliwość ponownego obejrzenia „polskiego westernu” z 1964 roku *Prawo i pięść*, którego akcja dzieje się na Ziemiach Odzyskanych, część scen przywodziła na myśl fragmenty tużpowojennych dokumentów, dotyczących przestępczości na Warmii i Mazurach.

Oczywiście film nie traktował o Warmii i Mazurach, nie opowiadał też wszystkiego. W końcu o bohaterskiej Armii Czerwonej nie wolno było mówić źle. A przecież pojawienie się Sowietów w Prusach Wschodnich jesienią 1944 roku dało początek fali zdziczenia, po której ta kraina spłynęła krwią i zasnęła się dymem pożarów. Ofensywa styczniowa i zachowanie wojska wobec cywilów to temat zasługujący na osobne omówienie, ale tylko część tych przestępczych działań można zrzucić na karb skutków wojennej brutalizacji i emocji wywołanych frontowym stresem. Szczególnie wiele zła działo się w Prusach Wschodnich w pasie natarcia III Frontu Białoruskiego, którym dowodził gen. Iwan Czer-

niachowski. Dziś w Polakach musi budzić zdumienie to, że z takim zapamiętaniem Rosjanie bronią jego pomnika w Pieniężnie, w którego pobliżu sowiecki dowódca zginął w lutym 1945 roku.

Przejście frontu nie zakończyło fali rabunków, gwałtów i zniszczeń, dokonywanych przez żołnierzy w mundurach Armii Czerwonej. Sowietci długo pozostawali na Warmii i Mazurach. Ich obecności towarzyszyło łamanie prawa przez niezdyscyplinowanych żołnierzy. Mówią o tym niezliczone dokumenty z pierwszych lat powojennych. Na przykład w kwietniu 1946 roku w powiecie Szczytno zjawiono się ciężarowe auto, na które żołnierze porwali kilkadziesiąt osób, w tym – co podkreślono w sposób szczególny – młode kobiety.

Obecność wojsk wywoływała powszechny strach. Gdy w pobliżu Pisma miała się przemieszczać sowiecka jednostka, okoliczni osadnicy zaczęli porzucać swoje gospodarstwa i wyprowadzać się do Polski centralnej. Ten strach był uzasadniony. Jeszcze w 1947 roku mieszkańcy Ornety doświadczali licznych kradzieży, gdy do miasta przybyła sowiecka jednostka z Malborka. Ofiarami przemocy stawali się zarówno Niemcy, Warmiacy i Mazurzy, jak i polscy osadnicy. Może to sugerować, że traktujemy Warmiaków i Mazurów jako odrębne narodowości. Jednak dotychczasowi mieszkańcy byli narażeni na te zjawiska w sposób bezprecedensowy. W powiecie piskim na skutek gwałtów dokonywanych przez czerwonarmistów ok. 80 proc. miejscowych kobiet cierpiało na choroby weneryczne.

Szaber i malwersacje

Ale nie tylko Sowietci przyczyniali się do eskalacji przestępczości. Nie można lekceważyć sporej części kadry administracyjnej i politycznej, nieprzygotowanej merytorycznie, rekrutowanej z ludzi przypadkowych, często wedle kryteriów politycznych, łatwo ulegającej pokusom, jakie stwarzała uprzywilejowana pozycja. Szczególnie wiele informacji uzyskujemy na temat przestępczości członków Polskiej Partii Robotniczej. W 1945 roku w wojewódzkim domu partyjnym w Olsztynie powycinano skóry z poniemieckich mebli i zagrabiono wiele rzeczy. Liderów partyjnych posądzano o wywiezienie z miasta aparatów kinowych, maszyn do szycia i mebli. Jeden z instruktorów Komitetu Wojewódzkiego PPR, Karol Bodzenta, dopuścił się malwersacji finansowych, a po skierowaniu go do PPR w Bartoszycach zajął się szabrowaniem. Oskarżenia nie ominęły także najważniejszej osoby w regionie, pełnomocnika Rządu Tymczasowego na Okręg Mazurski Jakuba Prawina, jeszcze przedwojennego działacza Komunistycznej Partii Polski: „Mówią, iż tolerował szaber, szabrowników [...]”. W Olsztynie twierdzą, że Prawin wywiozł dwa osobowe samochody i 7 ciężarówek mebli” – czytamy w jednym z meldunków. W samej partii zdawano sobie spra-

► Ruiny Pisma zniszczonego przez Armię Czerwoną w 1945 roku

D O

Komitetu Wojewódzkiego P.P.R.
w Olsztynie
Wydział Organizacyjny

M E L D U N E K.

Dnia 30.V.1948r. po Konferencji Powiatowej P.P.R. w Biskupcu
działa była zabawa, która miała trwać do godziny 3-siej rano, została
przerwana i zakończona o godzinie 1-szej w nocy z powodu wynik-
awantury wywołanej przez Szefa Pow.U.B.P. tow. Fuksa Celestyna.

Na Konferencję Powiatową został zaproszony Z-ca D-ty Pułku z
owa, jak również orkiestra tego pułku, celem grania na Konferencji,
również na zabawie.

formacji, ponieważ w chwili zajścia nie byłem obecny na tej sali, na-
omość, że awantura miała przebieg następujący:

Szef Pow.U.B.P. z Komendantem Pow.M.C. przeszli przez pokój
e śledził Z-ca Pułku z Mrągowa w towarzystwie uczestników zabawy,
pat się do Komendanta Powiatowego M.C. po imieniu /gdyż jest
podobnie Jego dobry znajomy/ na co Szef Pow.U.B.P. zwrócił się
Niego iż Komendant nie jest dla niego lysiakiem a panem Komendan-
na go Z-ca Pułku odpowiedział iż nie zna Go i do Niego się nie
na. /do Szefa/

W czasie wymiany ostrych słów, nie zostało jeszcze stwierdzone
dierzany wyjął broń, w każdym bądź razie, obaj mieli broń w rękach
do strzału.

ujący się obok w/w uczestnicy zabawy przeszkadzili w dalszej awan-
i temu tylko należało zastrzeżać, że oberżło się bez strzału.

Ja w tej chwili podbiegłem do Szefa i kazałem Go zabrać

-2-

mariuszow Pow.U.B.P. Natomiast Z-ca Pułku usiadł z powrotem
tele do swych znajomych.

Szef w dalszym ciągu w drugim pokoju awanturował się, następ-
ydał polecenie, aresztowania Z-o Pułku, aresztowania nie mogłam

szkodni, gdyż Szef nie dał mi przejść do głosu.

ara minutach poszedł do Urzędu Bezpieczeństwa i na moją inter-
cję zwołano Go, oddając mu broń, a następnie odjechał do Mrągowa

orkiestrą samochodem Komitetu Powiatowego P.P.R.

W czasie zajścia Szef Pow.U.B.P. i Z-ca Pułku byli pijani, a
szef jest bardzo awanturaczem gdy wypije wódki i dlatego fakt powy-

szef miał miejsce.

W tym czasie, że Szef Pow.U.B.P. po tak krótkim okresie pobytu w
Zamieszkały należał, że Szef Pow.U.B.P. był kompletnie pijany w Święto Ludowe w

Powiecie Biskupiec, już był kompletnie pijany, że również był pijany.

Był szynany do Komitetu Powiatowego P.P.R. celem wytłumaczenia się z
tego, na co odpowiedział, że części swego jest prawdą że był pijany,

tłumaczył się tym, że nie spał trzy noce, gdyż był na akcji i wypit
bardzo mało, jednak się upił.

Przyznał jednak poprawę, której nie dotrzymał.

meldunku nie chciałem podawać telefonicznie, gdyż miałem jechać
do Olsztyna, jednak z przyczyn odejścia nie zaletnych przyjechać nie
mogłam i dlatego meldunek aktądam z trzydniowym opóźnieniem.

P.O. Sekr. Kom. Pow. PPR.

w Biskupcu

1-4 Leokadia Wodniak.

► Meldunek dotyczący awantury wywołanej przez szefa PUBP w Biskupcu

wę z podatności własnych szeregów na wykroczenia. „Dotychczas za mało zwracaliśmy uwagę na jakość członków partii. Szabrownictwo i pijaństwo jest nagminną plagą w naszym województwie, niestety wpływowi temu ulegają poszczególni członkowie [...], a nawet aktywiści. Daje się zauważyć brak dyscypliny partyjnej”. Problemem była też broń członków PPR, którzy popisywali się nią w miejscach publicznych, dokonywali bezprawnych aresztowań, rekwirowali środki transportu.

Szabrem trudnili się ludzie z wszystkich grup społecznych, a władze przez długi czas nie potrafiły przeciwdziałać temu zjawisku. Poza tym instytucje, które z założenia powinny być odpowiedzialne za porządek i bezpieczeństwo – Milicja Obywatelska, Urząd Bezpieczeństwa, wojsko, nawet administracja terenowa – swymi nieprzygotowanymi działaniami potęgowały chaos. Świadczą o tym dobitnie dokumenty. 25 czerwca 1945 roku Prawin (jak już wiemy, też oskar-

żany o przywłaszczenie mebli) pisał: „Od dłuższego czasu dochodzą do mnie skargi na działalność tzw. »szabrowników« napływających masami z Białostoczczyzny do wschodnich powiatów Okręgu Mazurskiego. Starostowie powiatowi z Olecka, Elku, Gołdapi, Jańsborka, a nawet Węgoborka donoszą mi, że pojawiają się [...] całe kolumny, niejednokrotnie eskortowane przez oddziały MO i prowadzone przez osoby urzędowe, z zamiarem wywiezienia mienia porzuconego przez Niemców i obrabowania kraju”.

W publicystyce PRL nagminnie utożsamiano bandy szabrownicze z oddziałami podziemia, które działały na dawnym pograniczu z Warmią i Mazurami, po czym wycofywały się na polską stronę przedwojennej granicy. Taki sposób funkcjonowania miał prawdopodobnie dwie przyczyny. Większość oddziałów, o których mowa w materiałach władz (zwłaszcza z roku 1945), składała się z członków siatki terenowej Armii Kra-

jowej/Armii Krajowej Obywateli i Narodowych Sił Zbrojnych/Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, wysyłanych „do Prus” na rozpoznanie terenu i akcje zaopatrzeniowe, po opuszczone miasteczka niemieckie. Po takim wypadzie żołnierze oddziałów podziemia wracali do swoich codziennych czynności w rodzinnych miejscowościach. W tym czasie dłuższe przebywanie na terenie wyludnionym przez wojnę i kilkumiesięczną działalność radzieckich komendantur wojskowych, ale wciąż zajętych przez oddziały Armii Czerwonej – które wywoziły mienie na Wschód – było zbyt niebezpieczne. Z drugiej strony, na pograniczu licznie pojawiali się szabrownicy, których władze utożsamiały z oddziałami partyzanckimi, używając wspólnego określenia „bandy”. W pewnym stopniu było to działanie celowe, obliczone na postawienie znaku równości między konspiracją niepodległościową a zwykłymi bandami i wzbudzenie

w społeczeństwie niechęci do leśnych.

Dlatego nieczęsto spotykamy się z takim rozróżnieniem, jak to z listopada 1945 roku, gdy wspomniany Jakub Prawin pisał: „Wydalem zarządzenie bezwzględnej walki z szabrownictwem, szybkiego wymierzania kary za tego rodzaju przestępstwa [...] oraz przekazywania poważniejszych wypadków przestępstw w ręce prokuratora. Niedostateczny stan ilościowy MO, brak mechanicznych środków pościgowych bardzo utrudnia walkę z przestępczym elementem, zwłaszcza że korzysta on nieraz z ochrony i współdziałania uzbrojonych żołnierzy radzieckich w rabowaniu i wywożeniu mienia. [...] Działalność **organizacji tajnych** [podkr. W.B.] ujawniła się w pow. jańsborskim”.

Przestępczość w szeregach konspiracji także się zdarzała. Dziś czasem trudno odróżnić, które z działań podejmowanych przez osoby związane z podziemiem miały na celu ukaranie winnych współpracy z bezpieką lub zdobycie niezbędnego zaopatrzenia, a które były samowolnym załatwianiem osobistych porachunków. Znamy jednak wiele przykładów przeciwdziałania przestępczości we własnych szeregach Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” czy NZW.

Personel: niewyrobiony element

Warunkiem ograniczenia bezprawia były utworzenie stabilnej administracji terenowej i rozwój osadnictwa. Nadzieje wiązano także z rozbudową instytucji ścigających przestępców (przede wszystkim milicji), ale ich skład personalny oraz rola w zwalczaniu opozycji sprawiały, że właśnie funkcjonariusze resortu bezpieczeństwa, przekonani o bezkarności, wzorujący się na swych kolegach z PPR, stawali się sprawcami najgorszych przestępstw. Ten problem często przewijał się w sprawozdaniach starostów na Warmii i Mazurach.

Starosta reszelski w sierpniu 1945 roku tak oceniał powiatową bezpiekę: „Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego zupełnie nie spełnia swej roli organu bezpieczeństwa w powiecie. Personel złożony z osób młodych, niedoświadczonych, myśli więcej o rozrywce i korzyściach

osobistych niż o służbie. Sprawozdań o działalności urzędu i stanie bezpieczeństwa nie otrzymuję, gdyż miejscowy kierownik zasłania się tajemnicą służbową tak dalece, że nawet nie znam stanu ilościowego personelu UB, a o wypadkach w powiecie i akcjach organów bezpieczeństwa dowiaduję się od osób trzecich”. Podobnie obie instytucje oceniał starosta piski, Edmund Rutkowski: „Niewyszkolony i niewyrobiony element dopuszcza się nadużyć, które w skutkach mogą fatalnie odbić się na stosunku ludności [autochtonicznej] do władz polskich. Karygodne nadużywanie alkoholu jest wśród funkcjonariuszy MO zjawiskiem nagminnym, temu też należy przypisać większość wybryków. [...] Jeśli chodzi o współpracę z Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego, to do wszystkich kwestii, przy MO wymienionych mankamentów, należy dodać [...] kompletne zapoznanie swoich kompetencji”.

Pod koniec roku Rutkowski nie zmienił swej opinii w tej sprawie: „Stan bezpieczeństwa pozostawia dużo do życzenia. Milicja Obywatelska, w tym punkcie ponoszą pełną odpowiedzialność za słowa, których używam – dopuszcza się takich nadużyć władzy, takich zwyczajnych grabieży i rabunków, dokonuje czynów skrajnej samowoli, że moim zdaniem należałoby 80% stanu funkcjonariuszy MO postawić w stan oskarżenia. Czynień w tym względzie wszystko, co jest w mej mocy, informuję prokuratora sądu Okręgowego w Elku, zwracam się do Wojewódzkiej Komendy MO, zwracam się do Urzędu Pełnomocnika Rządu; moje interwencje pozostają bez skutku lub odnoszą skutek minimalny” – pisał 1 grudnia 1945 roku do prezydium Krajowej Rady Narodowej.

Niezgodne z prawem traktowanie ludności autochtonicznej wynikało z niewłaściwego doboru urzędników i wyniesionych z wojny nastrojów antyniemieckich. W październiku 1945 roku Jakub Prawin donosił: „W związku z akcją wysiedlania Niemców poszczególni sołtysi i wójtowie, a także inne władze, dopuszczają się nadużyć [...], zabierają i niszczą tymczasowe zaświadczenia o pochodzeniu polskim i wysiedlają

Mazurów i Warmiaków – bardzo często z chęci osobistego zysku. Dlatego polecam [...] starostom przypilnować, aby dokonywano przeglądu wywożonych Niemców na stacji kolejowej i wszystkich, co do których zachodzi przypuszczenie, że są Polakami [...] zatrzymywać”.

Podobne zjawiska występowały także w następnych latach. Starosta powiatu Szczytno, Walter Późny, pisał 5 czerwca 1946 roku do Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie: „W ostatnich tygodniach powiadomiono tutejsze Starostwo, że ludność miejscowa, zarówno zdeklarowana, jak i niezdeklarowana, zwłaszcza z gmin południowych, masowo opuszcza swe gospodarstwa [...]. Zaistniały stosunek [sic!] wprost niemożliwe. Systematyczne akty gwałtu, kradzieży, rabunku, gróźb, bicia, nawet morderstwa są na porządku dziennym. Przestępstwa te popełniają ludzie, którzy przychodzą zza tzw. miedzy (b. granicy), a którzy chcą zysku, cudzym kosztem plamią powagę i dobre imię Państwa Polskiego. Zarówno bandyci w cywilu bądź też w mundurach są postrachem całej spokojnej ludności mazurskiej, pozbawionej już doszczętnie mienia ruchomego, jak odzieży, bielizny, obuwia, pościeli, mebli, sprzętu rolniczego, bydła i żywności. Na całym terenie jest popłoch. [...] Nic też dziwnego, że ci Mazurzy – Polacy, nie mają dobrego wyobrażenia o Polsce i wstrzymują się od składania deklaracji, gdyż stwierdziłem, że nawet deklaracje ich nie chronią przed gwałtami i samowolą mętów. [...] Aparat administracyjny stanął na jakim takim poziomie (wójtowie i sołtysi), lecz funkcjonariusze MO [...] starali się, mimo nakłaniania ich – świadomie nie przyjmować zleceń tych do świadomości. Powodem powyższego ustosunkowania się funkcjonariuszy MO mogły być tylko bardzo niskie pobudki [...]. Funkcjonariusze MO w Rozogach, wraz z ich Komendantem Wrońskim, są wiecznie podchmieleni. [...] Wymienieni funkcjonariusze są tak przemęczeni służbą, że na miejscu przestępstwa, gdzie została zastrzelona kobieta, nie są w stanie przybyć przez okres 18 godzin, by przeprowadzić oględziny zwłok”.

AKT OSKARZENIA

p-ko Adamowiczowi Włodzimierzowi s. Stefana
oskarżonemu z art. 140 § 1 K.K.W.P. i art.
24 § 1 K.K.W.P. w zbiegu z art. 225 § 1 K.K.

(oskarżony zaarrestowany)

Osk. Adamowicz Włodzimierz, będąc funkco. P.U.B.P. w Ostródzie, od dnia 18 listopada 1945r. do miesiąca grudnia 1946r. pełnił funkcję Naczelnika Aresztu tamt. Urzędu.

W areszcie tym w dniu 7 czerwca 1946r. został osadzony Wojciechowski Teodor, pod zarzutem współpracy z Niemcami w czasie okupacji. Razem z zatrzymanym Wojciechowskim w celi był osadzony Bielecki Józef (K.Nr. 5, 6, 29)

W miesiącu czerwcu 1946r. dnia dokładnie nie ustalonego do celi, w której byli osadzeni Wojciechowski i Bielecki wszedł osk. Adamowicz Włodzimierz w stanie nie trzeźwym wraz z dwoma wartownikami, o nie ustalonych bliżej nazwiskach (K.Nr. 2, 5, 11, 29)

Oskarżony po wejściu do celi rozkazał towarzyszącym mu funkcjonariuszom, by byli osadzeni w celi więźniów. Funkcjonariusze ci, których nazwiska nie ustalono w toku śledztwa, bili obu więźniów kolbami automatów w taki sposób, że Wojciechowski i Bielecki przez okres tygodnia nie mogli się położyć. (K.Nr. 2, 5, 11, 29)

Następnie osk. Adamowicz kazał Wojciechowskiemu wyjść na korytarz, stanąć pod ścianą, twarzą ku niemu, poczem przyłożył pistolet lufą do piersi Wojciechowskiego i oddał strzał raniąc go w okolicy prawego obojczyka. Kula z pistoletu oskarżonego przeszła na wylot przez piersi Wojciechowskiego, zadając mu ciężkie uszkodzenie ciała.

► Fragment aktu oskarżenia funkcjonariusza PUBP w Ostródzie, sądanego przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie

„Stalin jest moim bogiem”

Interesujące uwagi na temat organów bezpieczeństwa można znaleźć w *Memoriale* luterańskiego księdza Feliksa Glocha z września 1945 roku, który objechał Mazury, by ocenić stan Kościoła ewangelickiego. Chciał przekonać władze, że w stosunku do ludności rodzimej nie należy stosować kryterium wyznaniowego: „Milicja nie tylko nie interweniuje, ale jeszcze pomaga w terroryzowaniu ludności mazurskiej. W pojęciu milicji i resortu bezpieczeństwa każdy Mazur to Niemiec, a Mazur to tylko ewangelik. Odwiedziłem kierownika resortu bezpieczeństwa p. Tobiasza. W małym mieście Działdowie szybko rozniosła się wiadomość, co ja za jeden [...]. Pan Tobiasz [...] przyjął mnie w swoim gabinecie udekorowanym portretem kierownika obcego mocarstwa. Portretów polskiego prezydenta i przedstawicieli najwyższych polskich władz nie było. Rozmowa na temat Mazurów, w której podkreślałem, że wyznania z narodowością miesza

nie należy i wskazywałem, że wielu polskich patriotów z przeszłości należało i należy do Kościoła ewangelickiego [...]. Miałem wrażenie, że odniosłem pewien skutek. Pan Tobiasz przyznał mi to sam, a na potwierdzenie dodał, że choć sam w nic nie wierzy, to nie przeszkadza, aby żona i dzieci wyznawały swoją wiarę katolicką i chodziły do kościoła. W trakcie rozmowy wszedł bez pytania do gabinetu rosyjski porucznik. »To mój sowietnik« – dorzucił głośno p. Tobiasz i dodał jeszcze głośnie: »Ja nie wierzę w nikogo oprócz Stalina. Stalin jest moim bogiem«. Takie wyznanie złożył polski urzędnik na polskim pozostającym urzędzie. [...] Wniosku, jaki się nasuwa na ten temat, nie formułuję”.

W piśmie jednego ze starostów z grudnia 1945 roku padają słowa, które najlepiej chyba oddają dramat ludności rodzimej i bezsilność tych spośród przedstawicieli władz, którzy zdolni byli do właściwej oceny sytuacji: „Świadom tego, że Polska ma tyle prawa do tej ziemi, ile na niej żyje słowiański lud, przy-

glądać się muszę bezsilnie, że ci sami Mazurzy, o których myśmy w roku 1920 stacali boje na arenie międzynarodowej, kiedy przyszła do nich w końcu Polska, opieki państwa polskiego absolutnie nad sobą nie czują, wprost przeciwnie, umundurowany przedstawiciel tej władzy – funkcjonariusz MO dopuszczający się nadużyć i szabrownik spoza byłej granicy, są w tej chwili prawie jedynymi przedstawicielami polskości, jacy do ludności tej docierają”.

Interwencje kończyły się niczym. Co prawda, władze zdawały sobie sprawę z tragedii, ale nie były w stanie skutecznie zareagować. Wydaje się, że dopiero po referendum w czerwcu 1946 roku, gdy wyniki (realne, a nie te podane oficjalnie) na Warmii i Mazurach okazały się dla komunistów niemal równie niekorzystne, jak w innych częściach kraju, bezprawie przestało być problemem wyłącznie regionu. 6 lipca 1946 roku Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Warszawie zwróciło się do Komendy Wojewódzkiej MO, aby przeciwdziałała wyprawom szabrowników z Mazowsza. Zwrócono się również do komendantów MO w powiatach przy dawnej granicy z Prusami, aby nawiązali kontakt z sąsiednimi powiatami mazurskimi i wspólnie przeciwdziałali szabrowi. Jednak problem długo jeszcze pozostawał nierozwiązany. Nie powinno to dziwić, skoro wizytacje posterunków gminnych i powiatowych MO na przełomie lat czterdziestych potwierdzały masowe nadużywanie alkoholu przez milicjantów.

W latach 1946–1955 przez sądy Warmii i Mazur przewinęły się tysiące osób oskarżanych o przestępstwa pospolite. Ludzie ci reprezentowali różne zawody i grupy społeczne. Jednak spośród skazanych za podobne przestępstwa tylko przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie ok. 44 proc. stanowili funkcjonariusze MO i UB. To, że wiele ich czynów nigdy nie zostało zgłoszonych przez ofiary, najlepiej pokazuje, jak wielki udział w powojennej przestępczości na Warmii i Mazurach mieli przedstawiciele „władzy ludowej”.

dr Waldemar Brenda – historyk, naczelnik Delegatury Instytutu Pamięci Narodowej w Olsztynie

Patrzył na mnie długo, przenikliwie

— relacja Teresy Partyki-Gaj

Pierwszy w konspiracji znalazł się mój ojciec, Stanisław Partyka, który posługiwał się pseudonimem „Florek”. Później zaprzysiężona została moja mama pod pseudonimem „Kukulka” — tak jak przeżywała ją cała rodzina. W naszym domu w Ratoszynie częstym gościem był komendant placówki AK „Siemion”. Mój ojciec prowadził spółdzielnię spożywców, która była przykrywką dla działalności konspiracyjnej. Później, w 1942 roku, zostałam zaprzysiężona także ja. W Ratoszynie poznałam Michała Kotowicza, który zorganizował placówkę AK. Dopiero później się dowiedziałam, że naprawdę nazywał się Stanisław Zwoliński. Przed wojną był komendantem Policji Państwowej w Urzędowie. Mój pseudonim w konspiracji był „Kotwica”. Pamiętam przejmujący moment składania przysięgi, którą przyjął ode mnie pan Kotowicz. Później w Ratoszynie zaczęły formować się oddziały Batalionów Chłopskich. Z inicjatywy Kotowicza i pod dowództwem mojej mamy powstała Wojskowa Służba Kobiet. W naszym oddziale WSK było około dwudziestu osób, a zadaniem była pomoc na wypadek walk lub powstania. Na szkoleniach uczono nas pielęgniarstwa i obchodzenia się z bronią. Dziewczęta były też szkolone w szpitalu w Bełżycach. Ja z koleżanką Jadwigą opiekowałam się tam rannym partyzantem. Uczyłyśmy się także alfabetu Morse’a.

Na początku 1944 roku na nasze tereny przybył Hieronim Dekutowski „Zapora” razem ze swoim oddziałem. Docierały do nas wieści, że przebywają w sąsiedniej wsi, na kwaterach u zaprzyjaźnionych gospodarzy. Wtedy, na Wielkanoc, powstał pomysł, żeby upieść dla nich babę świąteczną i inne smakołyki. Dostałam z koleżanką zadanie dostarczenia tych darów do oddziału „Zapory”. Furmanką przyjechałyśmy pod dom w Borowie, w którym przebywali. Komendant „Zapora” wyszedł do nas osobiście. Zameldowałyśmy, że przywoziliśmy dary świąteczne. Wówczas po raz pierwszy go zobaczyłam. „Zapora” był bardzo grzeczny i krótko z nami rozmawiał, następnie od-



Fot. ze zbiorów Teresy Partyki-Gaj

Teresa Partyka-Gaj — ur. 28 czerwca 1926 roku w Czortkowie (województwo tarnopolskie, dziś Ukraina), w 1942 roku wraz z rodziną przeniosła się do Ratoszyna na Lubelszczyznę i wkrótce została zaprzysiężona w Wojskowej Służbie Kobiet AK; ukończyła studia medyczne we Wrocławiu, jest emerytowanym neurologiem; była narzeczoną Hieronima Dekutowskiego „Zapory”

szedł i przysłał do nas swoich żołnierzy. Zapytałam gospodynię, dlaczego komendant nie przebywa w domu. Odpowiedziała, że cały czas chce być ze swoimi żołnierzami, że nie chce korzystać z zaproponowanych wygód i woli spać na słomie w stodole jak szeregowy partyzant. „Zapora” wydał mi się wtedy bardzo powściągliwy i poważny.

Kiedy w 1944 roku na Lubelszczyznę weszli Sowietzi, zdecydowałam dołączyć do oddziału „Zapory”. Sanitariuszka z oddziału była w złym stanie i szukano kogoś, kto będzie mógł przejąć jej zadania. Ta sanitariuszka to była Bogna Bolak „Myszka”, która załamała się po śmierci narzeczonego, poległego pod Koźuchówką. Zapro-

wadzano mnie wieczorem na polanę pod lasem. Tam zgłosiłam się do „Zapory”. Był bardzo oficjalny. Powiedział: „Jeżeli pani chce, proszę przyjść jutro o tej samej porze. Proszę spakować najpotrzebniejsze rzeczy, jeżeli pani się trochę spóźni, to już nas tutaj nie będzie. Przyjmujemy panią do oddziału”. Bardzo się ucieszyłam. Spakowałam się, a przed wyjściem z domu mama bardzo mnie prosiła, żebym tego nie robiła. Rodzice chcieli wpłynąć na zmianę mojej decyzji, ale ja jej nie zmieniłam. Przyszłam na miejsce zbiórki i poprosił mnie do siebie „Zapora”. Powiedział, że pójdę pod komendę „Opala”. Zdradził mi, że oddział się rozwiązuje i że w tej chwili nie będę potrzebna, ale zostanę pod jego komendą. Jeżeli tylko będzie potrzeba dalszej walki, to mnie zabiorą ze sobą. To był koniec lipca 1944 roku.

Ja jednak nie dostałam się do oddziału partyzanckiego przez mojego ojca. Czeakałam na wiadomość, aż dadzą mi przydział do oddziału „Zapory”. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że w oddziale jest inna sanitariuszka. Po latach okazało się, że to mój ojciec prosił mojego bezpośredniego dowódcę, „Opala”, żeby absolutnie nie przyjmowali mnie do oddziału leśnego. Ojciec powiedział mi, że ma jedno dziecko i nie chce mnie stracić. Mój dowódca na pewno to uwzględnił. Miałam wielki żal do ojca i nigdy właściwie nie umiałam mu tego wybaczyć. Ojciec mówił, że uratował mi życie, a ja odpowiadałam, że to było moje życie i moja decyzja. Sanitariuszką w oddziale „Zapory” została Barbara Nagajewicz „Krystyna”.

W sierpniu 1944 roku wyjechałam do Lublina, aby się dostać do gimnazjum sióstr urszulanek. W Lublinie przypadkiem spotkałam „Zaporę”, który dopytywał, co się ze mną dzieje, był bardzo miły i serdeczny, ucieszył się z tego spotkania. Byłam bardzo szczęśliwa, że sam komendant interesuje się tym, co ja robię. „Zapora” ukrywał się wtedy w Lublinie. Byłam zdziwiona, że nie boi się chodzić w dzień po ulicach.

Udało mi się dostać do gimnazjum w Lublinie i nie mieszkalam już w Rato-

szynie z rodzicami. Na każde święta przyjeżdżałam jednak do nich. Moja mama była nadal wtedy bardzo zaangażowana w prace konspiracyjne, wiedziała, co się dzieje na placówce i dużo mi opowiadała. Wiem, że „Zapora” ukrywał się wówczas, pod koniec 1944 roku, w Tarnobrzegu i dopiero w 1945 roku zaczął odtwarzać oddziały w Lubelskiem. Tym razem, aby walczyć z komunistami.

W okresie okupacji niemieckiej stosunek ludności do partyzantów był bardzo dobry. Akceptowali obecność oddziałów, pomagali, ukrywali żołnierzy. Nie było żadnych donosów, a nawet bardzo często partyzanci chodzili w wioskach w dzień i się nie bali. Byli uważani za bohaterów. Wszyscy, także ludność cywilna, podporządkowywali się decyzjom „Zapory” i cenili to, że jego oddział stacjonuje w ich sąsiedztwie.

Wiosną 1945 roku „Zapora” odwiedził moją mamę w Ratoszynie. Było to dla mnie wielkie przeżycie. Kiedy przyjechałam na wakacje w lecie 1945 roku, mama powiedziała mi, że „Zapora” zapowiedział wizytę w naszym domu. Pojawił się późnym wieczorem z grupą żołnierzy. Ugościliśmy ich, byliśmy uprzedzeni, więc była kolacja, poczęstunek, śpiewy. Później chłopcy się rozeszli i „Zapora” został z nami sam i długo rozmawialiśmy. Powiedział wówczas mojej mamie, że chce nawiązać współpracę i liczy na naszą pomoc. Mówił nam już wtedy, że tworzony jest WiN, i że chciałby, żeby mama się włączyła do tej nowej pracy w konspiracji. Wtedy zdradził nam też swoje prawdziwe nazwisko. Opowiedział, że jest z Tarnobrzega, że był skoczkiem z Anglii. Pytał o nasze losy, co się działo na wschodzie, jak wyglądała okupacja sowiecka. My się zgodziłyśmy włączyć się do konspiracji. W czasie rozmowy zapytał

Mordercy kobiet, starców i dzieci skazani na śmierć

W ostatnich dniach toczyła się przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Warszawie rozprawa przeciwko członkowi WiN, organizatorowi i dowódcy terrorystyczno-dywersyjnych band działających na terenie woj. lubelskiego.

Na ławie oskarżonych zasiadli: Władysław Nowicki, ps. „Słotko” — inżynier, Lubelskiego Inspektoratu WiN, Hieronim Dekutowski, ps. „Zapora” — dowódca całego ruchu bandowego w obwodzie Lublin, Stanisław Dymek, ps. „Rys” — d-ca bandy, Roman Groński, ps. „Zbik” — d-ca bandy specjalnego likwidacyjnego oddziału WiN, Tadeusz Edmund, ps. „Młot”, ps. „Zawada” — adiutant „Zapory”, d-ca bandy, Arkadiusz Wasilowski, ps. „Biał” i Tadeusz Pełakowski, ps. „Junak” — czł. bandy dywersyjnej i pełniący funkcje skrzynki kontaktowej.

Wszyscy byli członkami AK z okresu okupacji. Po wyzwoleniu wstąpili do WiN. Bandę przez nich dowodzona była postrachem całego województwa, mordowały działaczy demokratycznych, przedstawicieli wojska,

milicji i władz bezpieczeństwa, zalewały krwią, grabiły i paliły spokojne wsie i miasteczka Lubelszczyzny.

Instrukctorem i inspiratorem band dywersyjnych WiN w woj. lubelskim był Nowicki.

Nawiązał on kontakt z WiN bezpośrednio po wyzwoleniu. Początkowo pełnił funkcję kierownika działu propagandy obwodu lubelskiego organizacji antypaństwowej akcji wydawniczej i propagandowej.

W lutym 1946 r. Nowicki został mianowany komendantem lubelskiego obwodu WiN i kierował akcją spiełkową na tym terenie, a od lipca 1946 r. awansując na inspektora lubelskiego WiN instruiował wszystkie działające w Lubelszczyźnie bandy dywersyjne. Na podstawie jego nastawienia i pod jego kierownictwem Dekutowski mjr. „Zapora”, któremu podporządkowane były wszystkie bandy — bandy WiN-owcy, grały w Lubelskiem zamordowali setki ludzi, spalili i złupili dziesiątki gospodarstw wiejskich, zrównali z zi-

em kufowiskie spalisz i zoladrowala wies Menialko, torturując jej mieszkancow za ich demokratyczne przekonania i przynależność do PPR.

Inna podległa „Zaporce” banda wy-mordowała 21 mieszkańcow wsi Pu-haczew. Banda Grońskiego „Zbika” wykonała tego samego rodzaju „ak-cję” na wsi Huta Turcystka.

Rejestr ofiar szkodliwej działalności band WiN na terenie woj. lubelskiego obejmuje długą listę żołnierzy radzieckich, żołnierzy WP i KBW, funkcjonariuszy UB i MO, ORMO-wców, PPR-owców, PPS-owców, działaczy demokratycznych i społecznych. Rejestr ten notuje też liczne fakty wymordowania całych rodzin, bestialskiego zakałowania kobiet, star-ców i dzieci.

Banda Romana Grońskiego zamor-dowała we wsi Kłuszkowice 2 żołnie-ry radzieckich, ta sama banda wy-wiozła z podlegu i zamordowała 28.6 1946 r. 6 żołnierzy radzieckich i poru-cznika WP.

Banda „Uskoka”, działająca pod do-

Fot. AIPN

► Wycinek prasowy z 1948 roku z opisem procesu członków WiN, szkalujący działalność „Zapory” i jego żołnierzy

mnie, czy mam chłopaka. Kiedy odpowiedziałam, że nie, wtedy on odpowiedział, że też jest sam. „Zapora” siedział z nami wówczas bardzo długo. Pożegnał się koło północy i prosił, żebym go odprowadziła. Odprowadziłam go tam, gdzie czekali na niego żołnierze i pożegnaliśmy się. Czuję się bardzo wyjątkowa, był taki serdeczny i bezpośredni. Był wtedy pełen optymizmu, że znowu będzie walka, że będziemy walczyć o Polskę. Był radosny, rzadko kiedy widywałam go takiego. Pocałował mnie na pożegnanie.

Zaporczycy mieli swoje kwatery w bardzo wielu domach w Ratoszynie. Kiedy jednak przyszedł Sowiet i zaczęło się robić coraz gorzej, okazało się, że nie wszyscy mieszkańcy są wobec partyzantów przy-



Fot. ze zbiorów Teresy Partyki-Gaj

► Teresa Partyka wiosną 1949 roku

jażni. Działała już propaganda komunistyczna przeciwko oddziałom, zaczęły się donosy do władz. Wobec tego żołnierze mieli wybrane, pewne miejsca. Takim miejscem był dom mojej ciotki Balbiny Zielińskiej, blisko naszego domu. Dlatego często wiedziałam, czy „Zapora” znajduje się w okolicy.

Mimo trudnej sytuacji i młodość wiejska i AK organizowała zabawy. Te zabawy urządzano także w czasie okupacji niemieckiej. Moja mama prowadziła w gimnazjum, w którym uczyła, amatorskie przedstawienia. Pamiętam, że wystawiano m.in. *Damy i huzary*. To było już w czerwcu 1946 roku. Grałam w jednej sztuce, przebrana za wiejską dziewczynę. Byłam już wówczas po maturze i przyjechałam do Ratoszyna, kiedy to „Zapora”



poprosił mamę, żebym koniecznie przyszła tam, gdzie oni będą stacjonować, ponieważ dowiedział się, że ja gram to amatorskie przedstawienie w remizie i koniecznie chciał na nie przyjść. Ale to już były czasy, kiedy rzeczywiście było źle i niepewnie. I moja mama prosiła go, żeby nie przychodził na to przedstawienie. On nie przyszedł, ale za to my po spektaklu poszliśmy na jego kwaterę. Poprosił mnie, żebym przeszła się z nim na spacer. Kiedy już wracaliśmy, popatrzył na mnie uważnie, wyjął z kieszeni moje zdjęcie i powiedział, że stale o mnie myśli i o mnie pamięta, i że nosi przy sobie to moje zdjęcie. Zapytałam, skąd je ma, a on przyznał, że ukradł, kiedy był z pierwszą wizytą. Wtedy znowu się przekonałam, że jestem mu bardzo bliska.

W 1946 roku po wakacjach próbowałam dostać się na studiach w Krakowie. Dotarłam zbyt późno, by przystąpić do egzaminów, ale pomyślałam, że skoro jestem, to kupię „Zaporę” na imieniny coś ode mnie. Kupiłam mały nóż, elegancki, do rozcinań kartek, z Matką Boską i orzełkiem. Jak tylko wróciłam, chciałam dać mu prezent. Poszłam do Ludwinowa, gdzie stacjonował oddział. Pamiętam, że gdy tam szłam, była rozświetlona droga, księżyc w pełni i bardzo łatwo trafiłam. To był ostatni dom pod lasem. Żołnierze z oddziału byli wtedy strudzeni, jakby przyszli do wsi wprost po akcji. „Zapora” był w kręgu swoich żołnierzy. Widać było, że omawiają coś ważnego. Wtedy dałam mu mój prezent, jednak nie było możliwości, żeby dłużej rozmawiać.

Dwór w Ratoszynie, w którym po zakończeniu wojny mieszkała moja mama, był miejscem, które często odwiedzali zaporczy. Najpierw mieszkaliśmy w małym domu w Ratoszynie, daleko od szosy, dlatego tam przychodzili partyzanci i dlatego tam były wszystkie zebrania WSK. W gimnazjum uczyła moja mama i tam dostała mieszkanie służbowe – pokój i kuchnię. Dwór był oddalony od głównej drogi, dookoła był duży park.

Przyjechałam do mojej mamy na ferie Bożego Narodzenia. W nocy nagle wpadło UB, walili do drzwi, mama otworzyła, kazali się nam odwrócić do ściany i robili rewizję. Szukali, gdzie są partyzanci. Powiedziałeliśmy, że nie ma żadnych partyzantów.

Kolejne moje spotkanie z „Zaporą” miało miejsce w lutym 1947 roku. Nie dostałam się na medycynę w Lublinie, ale dowiedziałam się, że otwierają stomatologię we Wrocławiu. [...] Do naszego spotkania doszło w ten sposób, że „Zapora” poprosił mamę, żeby przyszła ze mną, bo chce się ze mną zobaczyć. Bardzo interesował się, co będę robiła we Wrocławiu, moimi

studiami. Powiedziałam mu, że koniecznie chcę się dostać na medycynę. On uważał, że powinnam zostać na stomatologii, bo medycyna jest za ciężka dla kobiety. Mówił, że w tej chwili najważniejsza jest walka i zapytał mnie, czy zechciałabym na niego czekać. Powiedziałam, że oczywiście. Nasza rozmowa była bardzo bliska, mówił mi o miłości. Zapytał mnie wreszcie, czy jeżeli trzeba będzie, żeby on wybierał między mną, osobistym szczęściem a dalszą walką, to co ja o tym sądzę. Powiedziałam, że absolutnie powinien wybrać walkę i że tak będzie dobrze, jak on zadecyduje. On ucieszył się, że tak to powiedziałam, że tak myślę.

„Zapora” chciał mnie na koniec odprowadzić. Jego adiutant, [Jerzy Miatkowski] „Zawada”, powiedział, że to niebezpieczne, ale „Zapora” stwierdził, że absolutnie idzie. Wtedy „Zawada” podszedł do mnie i powiedział, że ma do mnie żal, że ja tak postępuję; że nie powinnam pozwolić, żeby dowódca był w ten sposób narażony. Na pożegnanie „Zapora” patrzył na mnie długo, przenikliwie, z poważną miną. Zapytałam, dlaczego tak patrzy. Powiedział, że musi dobrze zapamiętać moją twarz.

Wiosną 1947 roku żołnierze „Zapory” stanęli przed wyborem, czy się ujawnić, ponieważ nie mieli środków do życia. Ci, którzy się ujawnili wcześniej, byli represjonowani. Żołnierze byli więc bardzo nieufni. Kiedy [...] przyjechał [Roman Groński] „Żbik” ze swoim oddziałem, wszyscy byli bardzo przynębieni. Wtedy na ich kwaterę przyjechał Władysław Siła-Nowicki i przekonywał, że koniecznie powinni się ujawnić, że wkrótce nie będą mieli nigdzie żadnej pomocy i żadnego wsparcia. Żołnierze nie przyjęli tego dobrze, najbardziej zły był „Żbik”. Powiedział, że nie ma mowy o ujawnianiu się.

Moja mama była bardzo zaangażowana i miała bardzo szerokie kontakty. „Zapora” często przyjeżdżał do niej i opowiadał o bieżących sprawach, a mama przekazywała mnie. Opowiadał więc o swoim skoku na spadochronie, kiedy był skoczkiem z Anglii. Opowiadał również, jak próbowali przedostać się na Zachód przez Czechosłowację. „Zapora” powiedział wtedy mamie, że się boi, że będę go prosiła, żeby się ujawnił, a on absolutnie nie chciał tego zrobić. Ja nie miałam takiego zamiaru i rozumiałam, że to nie ma zupełnie sensu. „Zapora” martwił się o swoich żołnierzy i powiedział mamie, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby on i jego żołnierze mogli się ujawnić, na progu domu zostawić broń i nigdy więcej nie wziąć jej do ręki. Powiedział, że jeśli się ujawni, to zginie. Zwierzył się jej także, że chciałby wziąć ze mną ślub. Dopiero po kilku latach mama

przyznała mi się do tego, że „Zapora” powiedział jej, iż marzy o tym, żeby wziąć ze mną potajemnie ślub w kościele. On powiedział, że nie może mnie narażać.

Przeniosłam się na medycynę we Wrocławiu. Jak tylko zaczęły się ferie – to było lato 1947 roku – „Zapora” dał znać, że przyjedzie z całym oddziałem. Po przyjęciu poprosił mnie, żebyśmy poszli na spacer. Poszliśmy przez wieś. Dziwiłam się nawet, że nie boi się iść ze mną w biały dzień. Był serdeczny i pogodny. Poszliśmy przez pole, wreszcie zatrzymał się i powiedział, że musimy się rozstać. Wtedy mówił bardzo poważnie i tak tragicznie, że on czuje, że wszystko przepadło, że walka nie ma sensu, że nie ma wyjścia, że jest osaczony i na pewno zginie. Na moje pytanie, dlaczego chce się rozstać, powiedział, że nie chce, żeby zginęła. [...] Po tym pożegnaniu oddalił się i poszedł do lasu. Nie powiedział nam, że zamierza przedostać się na Zachód.

Ostatni raz spotkałam „Zaporę” przypadkowo na drodze we wrześniu 1947 roku. Zapytałam go, kiedy się zobaczymy. Odpowiedział, że nie wie i że nie może mi nic powiedzieć. Co się stało, dowiedziałam się później. We Wrocławiu ktoś przyniósł mi gazetę, w której przeczytałam informację, że ujęto grupę Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Chciałam wtedy przyjechać do niego, żeby się z nim zobaczyć w więzieniu, ale zatrzymano mnie prawie siłą. Nie zdawałam sobie sprawy, że mogą mnie również zamknąć. Do Wrocławia przyjechała mama i powiedziała, że robią, co mogą. Powiedziała też, że nie dopuszczają nikogo do widzeń. Nawet rodzonej siostry nie chcieli na początku dopuścić do „Zapory”. Wiem z jej relacji, że kiedy przyszedł na widzenie, miał tak zmienioną twarz, że w pierwszej chwili nie mogła go poznać, tak był torturowany.

„Zapora” na całej Lubelszczyźnie był bardzo szanowany mimo młodego wieku. Martwił się o los swoich żołnierzy. Chciał, by pamięć o partyzantach, o Żołnierzach Niezłomnych, została, żeby ludzie podjęli w przyszłości walkę z władzą komunistyczną. Myślę, że gdyby udało mu się dostać na Zachód, nadal by działał dla Polski. ■

oprac. Jakub Gołębiowski

Teresa Partyka-Gaj

Sygnatura: N-0893

Czas nagrania: ok. 150 minut

Data nagrania: 21 kwietnia 2015 roku

Archiwum Historii Mówionej BEP IPN,
Konrad Starczewski, Tomasz Sudol,
Piotr Wiejak, Maciej Żuczkowski



► Zły samochód, zła droga i ludzie, których nie da się określić jednym słowem: „Dziwiątko” (Leon Niemczyk), „Warszawiak” (Emil Karewicz) i Stefan Zabawa (Zygmunt Kęstowicz)

Baza ludzi umarłych

Jerzy Eisler

Upływ niemal sześciu dekad nie zaszkodził obrazowi Czesława Petelskiego. Niezwykła opowieść o morderczej pracy w tużpowojennych Bieszczadach wciąż fascynuje – nawet bardziej niż przed laty.

Film rozpoczyna plansza z następującym tekstem: „Działo się to w latach 1945–46 w Bieszczadach, w górzystym zakątku Polski, gdzie wojna zniszczyła wszystko – miasta, wsie, mosty i drogi. Do odbudowy zgłiszcz i ruin kraj potrzebował drzewa – drzewa, którego nie było czym wozić i ludzi, których nie było skąd wziąć. Jest to opowieść o złym czasie, złych drogach, złych samochodach i o ludziach, których nie da się określić jednym słowem”.

Powyższe zdania budzą pewne wątpliwości. Nie chodzi przy tym o to, co zostało napisane, lecz raczej o to, czego w tym krótkim tekście wyraźnie zabrakło. Jeżeli bowiem akcja filmu istotnie rozgrywa się w Bieszczadach na przełomie 1945 i 1946 roku, to zdumiewa brak jakiegokolwiek informacji o toczonych tam wtedy krwawych walkach z partyzantami Ukraińskiej Powstańczej Armii czy raczej – zgodnie z poetyką ówczesnej propagandy – z „bandami UPA”. Zresztą w całym filmie ten wątek jest ledwie zasygnalizowany – na samym początku je-

den z bohaterów mówi, że „znowu banderowcy spalili jakąś wieś”. To wszystko. Trudno przy tym uwierzyć, że tej kwestii nie doceniał Czesław Petelski, który dwa lata później (wspólnie z żoną Ewą) zrealizował, oparty na wątkach powieści Jana Gerharda Łuny w *Bieszczadach*, głośny film *Ogniomistrz Kaleń*, opowiadający właśnie o walkach z UPA.

Krajobraz nierzeczywisty

Być może zatem Bieszczady należy w tym wypadku traktować nieco umownie, skoro zresztą film był realizowany – jak to opisał w swoich wspomnieniach debiutujący w *Bazie...* w roli operatora Kurt Weber – „niedaleko Łądku Zdroju, w zdziczałych przez czas wojny Górach Złotych na Ziemiach Zachodnich”. Co ciekawe, młody operator miał własną koncepcję wizualną. „Zamierzałem stworzyć wrażenie – pisał po latach – jakby dopowiedzieć, że akcja rozgrywa się w niezwyklej rzeczywistości, między niebem a ziemią. Z jednej strony mordercze warunki pracy na realnej ziemi, na bezdrożach nieżywczych gór, z drugiej ludzie odizolowani od społeczeństwa, już jakby jedną nogą w niebie. [...] Aby uzyskać ten wizualny efekt, proponowałem kręcenie zdjęć plenerowych w mgłach, bez konkretyzującego zarysu dalekiego horyzontu. Akcja na pierwszym planie miała być ostra, zarysy dalszych planów miały się stawać coraz bardziej miękkie, a horyzont płynnie przechodzić w płaszczyznę nieba”.



Z tą mgłą łączyły się niemałe trudności, gdyż najczęściej trzeba ją było wytwarzać. „Każde ujęcie musiało być sztucznie zadymiane. Jak nie wiało, dawaliśmy jeszcze radę zadymić, zamglić plan ogólny. Ale w wietrzne dni stawało się to syzyfową pracą. Pracownicy latali po planie jak opętani. Kiedy jeden kąt polany był zadymiony i oni już biegli w drugą stronę, to wiatr zdążył zdmuchnąć całą »mgłę« z pierwszego odcinka i biegi nie miały końca. A gdy już udało się zadymić całość, to z rozpoczęciem ujęcia trzeba było wyczekać tej sekundy, kiedy gęstość zadymienia podobna będzie do »mgły« w poprzednim, nakręconym już ujęciu. I tak parę dubli z rzędu, przy każdym ujęciu. Dla dyżurnych (odpowiedzialnych za to pracowników ekipy) stały się te mgły katorgą, dla nas męczącym ćwiczeniem na cierpliwość i precyzję pracy. Ale wysiłek się opłacił, wydaje się, że do dziś nie musimy się tych zdjęć wstydzić”. Kurt Weber był chyba przesadnie skromny; jego wspaniałe czarno-białe zdjęcia – zwłaszcza po poddaniu filmu rekonstrukcji cyfrowej – nadal fascynują i wywołują zachwyt.

Bez Hłaski, bez Wajdy

Co ciekawe, pierwotnie – jak przypominał wybitny historyk filmu Tadeusz Lubelski – to nie Czesław Petelski, ale Andrzej Wajda zamierzał zrealizować film według prozy młodego, ale już dość popularnego Marka Hłaski. Historia filmu, który miał premierę w sierpniu 1959 roku, sięga bowiem listopada roku 1956, kiedy to Wajda i Hłasko zaczęli wspólnie pisać „scenariusz pod tytułem *Wielki bluff*, zmienionym następnie na *Głupcy wierzą w poranek*, pod którym pisarz opubli-

kował powieść w odcinkach w katowickim tygodniku »Panorama«. Była to mroczna historia mężczyzn z hakami w życiorysie, którzy tuż po wojnie kryli się przed życiem w bazie transportowej w Bieszczadach. Do ich świata przybywał bohater pozytywny, Zabawa, wysłany przez partię, by utrzymać kierowców w bazie zanim dostarczone zostaną nowe samochody w miejsce dotychczasowych gratów. Ów bohater ewoluował jednak pod wpływem przeżywanych zdarzeń, w toku których większość kierowców ginęła, i w finale stawał się zgorzkniałym *loserem*, jak oni. Sens tekstu zasadzał się na tej przemianie pozornego produkcyjniaka w mroczny dramat w stylu *Ceny strachu*”. Nawiązanie do znanego francuskiego filmu, który wyreżyserował Henri-Georges Clouzot, opowiadającego o kierowcach przewożących równie zdezelowanymi ciężarówkami nitroglicerynę, niezbędną do wysadzenia płonącego szybu w kopalni ropy naftowej w Ameryce Południowej, jest tutaj jak najbardziej na miejscu i pojawia się dość często w tekstach dotyczących *Bazy ludzi umarłych*.

Tadeusz Lubelski wspominał też, że Andrzej Wajda przygotowywał już nawet obsadę: Zabawę miał zagrać Emil Karewicz, „Orsaczka” Roman Polański, „Partyzanta” Adam Pawlikowski, a „Apostoła” Aleksander Bardini. „Hłasko jednak bez wiedzy reżysera sprzedał scenariusz Zespołowi »Studio« kierowanemu przez Aleksandra Forda.

Wajda zaś – po *Pokoleniu* – nie chciał pracować pod kierunkiem Forda i wycofał się z projektu”. Tymczasem w Zespole „Studio” film według scenariusza Hłaski pod nowym tytułem *Następny do raju* (pod któ-

► Operator Kurt Weber (na fotografii) uzyskał efekt niezwyklej krajobrazu, wprowadzając do zdjęć mgłę; w roli Bieszczad „wystąpiły” Złote Góry



rym pisarz bezskutecznie składał powieść w krajowych wydawnictwach) zaczął realizować Czesław Petelski. Na początku 1958 roku Marek Hłasko obejrzał we Wrocławiu część zrealizowanych już zdjęć. W *Pięknych dwudziestoletnich* wspominał później: „Zapoznawszy się ze zmianami, które Petelski porobił, zażądałem zmiany tytułu i usunięcia mojego nazwiska z napisów tytułowych filmu. Zmiany te zostały poczynione na żądanie [...] Aleksandra Forda”. Zresztą po tym jak pisarz opublikował powieść w Paryżu i w październiku poprosił o azyl we Francji, i tak zmiana tytułu filmu byłaby koniecznością. Ostatecznie tytuł *Baza ludzi umarłych* wymyślił kierownik literacki Zespołu „Studio”, Roman Bratny.

Czarny film rozjaśniony

Można powiedzieć, że w istocie cały spór między Hłaską a Petelskim sprowadzał się do tego, czy i ewentualnie w jakim zakresie mogą pojawić się w filmie akcenty optymistyczne. Pisarz był w tej sprawie nieprzejednany i chciał, żeby to był „czarny film”. Nie godził się na ustępstwa, które prowadziłyby do częściowego choćby „rozjaśnienia” narracji. Tymczasem Czesław Petelski uczynił niemało, aby złagodzić wymowę filmu. W rezultacie opinie krytyki były podzielone i wywołały jedną z gwałtowniejszych polemik. Maciej Maciejewski napisał nawet, że „zamiast »czarnej ballady« ocierającej się o produkcyjniak, oglądamy produkcyjniak bezskutecznie udający »czarny film«”. Z kolei Zygmunt Kałużyński na łamach „Polityki” w tekście zatytułowanym *W krainie socrealizmu „czarnego”* wyciągał dość oryginalne wnioski: „Mówi się mianowicie o »polskim doświadczeniu«, na którego wyniki z ciekawością oczekują obydwie bloki ideologiczne; film *Baza ludzi umarłych* jest tu niejaki przyczynkiem w dziedzinie kultury. Wskazuje on bowiem na powiązania między sztuką socjalistyczną oraz niektórymi elementami kultury zachodniej”.

Zdeklarowanym przeciwnikiem filmu okazał się Krzysztof Teodor Toeplitz, który w tygodniku „Świat” zarzucał twórcom „nieprawdopodobieństwo nakreślonych sytuacji”. Filmu bronili

natomiast Jerzy Płażewski, stwierdzając na łamach „Przeglądu Kulturalnego”, że „bardzo dobry film Czesława Petelskiego – znowu na wokandzie młodej polskiej szkoły filmowej postawił sprawę optymizmu i pesymizmu w sztuce”. Trzeba zresztą przyznać, że reżyser zrobił wiele, aby zapewnić swojemu filmowi sukces. Przede wszystkim zaangażował znakomitych aktorów. W roli Stefana Zabawy obsadził Zygmunta Kęstowicza, „Warszawiaka” – Emila Karewicza, „Dziewiątki” – Leona Niemczyka, „Apostoła” – Aleksandra Fogla, „Partyzanta” – Tadeusza Łomnickiego, „Oraczka” – Romana Kłosowskiego. O malowniczych zdjęciach była już mowa. Wysoko oceniano także scenografię Wojciecha Krzysztofiaka i muzykę Adama Walacińskiego, który udanie wpłótł w nią wariacje na temat *Balu na Gnojnej*. Ta andruszowska ballada, śpiewana zresztą w filmie kilkakrotnie (w sposób najbardziej przejmujący w kościele w czasie pogrzebu „Apostoła”) spełnia rolę łagodzącej (czyżby obyczaj?) klamry.

Niewątpliwie słusznie krytyk Stanisław Ozimek zwracał przed laty uwagę na to, że „charakterystyka postaci w *Bazie ludzi umarłych* wywodzi się bardziej z poetyki ballady niż realistycznej obserwacji. Petelski – pisał dalej publicysta – korzysta hojnie z prawa do przerysowania charakterów. Trudno jednak nie dostrzec, że każdy spośród tych brutalnych, obdarczonych desperacką krzepą, cwaniactwem i cynizmem bohaterów otrzymuje od reżysera swoją minutę prawdy na ekranie, krótki »black-out«, aby odkryć swe prawdziwie ludzkie, czasem nawet sentymentalne oblicze. [...] Tak się dzieje kiedy ateista – Zabawa – odczytuje wersety z Pisma Świętego nad umierającym »Apostolem« [...]. Tak jest, kiedy ostentacyjnie cyniczny »Dziewiątko« stacza się ze swą maszyną w przepaść, nie chcąc wpaść na kolumnę idących drogą wśród zawieruchy żołnierzy”.

Bazę ludzi umarłych oglądałem po raz pierwszy jako nastolatek w latach sześćdziesiątych. Podobała mi się. Jeszcze większe wrażenie zrobiła na mnie, gdy po kilku latach obejrzałem ją ponownie. Ale najbardziej film spodobał mi się niedawno, gdy powróciłem do niego po ponad czterdziestu latach. Chyba dopiero teraz w pełni doceniłem jego klasę. Niewykluczone zresztą, że przez ten czas dojrzałem do niego. A może to *Baza ludzi umarłych*, niczym dobre wino, z upływem lat dojrzewa i zyskuje na wartości. 🍷

prof. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzysy w PRL* (2008), *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)



Orły z firmy Lorioli w Mediolanie

Tomasz Zawistowski

21 kwietnia 1945 roku żołnierze 5. Kresowej Dywizji Piechoty zatknęli polską flagę w centrum Bolonii. Wyzwolenie tego miasta było ostatnim zadaniem bojowym 2. Korpusu Polskiego. Tydzień później niemieckie dowództwo we Włoszech podpisało akt bezwarunkowej kapitulacji. Wojna w Europie miała się zakończyć po kolejnych dziesięciu dniach.

2. Korpus Polski był największym związkiem taktycznym Polskich Sił Zbrojnych. W dniu kapitulacji Niemiec jego liczebność wynosiła 56 tys. żołnierzy, czyli o 4 tys. więcej niż w chwili lądowania Polaków we Włoszech półtora roku wcześniej, mimo że straty w kampanii włoskiej wyniosły blisko 18 tys. zabitych, rannych, chorych i zaginionych. Zaskakujący wzrost liczebności wojska, które nie mogło liczyć na uzupełnienia z kraju, był możliwy dzięki niekonwencjonalnej metodzie rekrutacji. Dowódca korpusu, gen. Władysław Anders, zapytany przez brytyjskiego dowódcę śródziemnomorskiego teatru działań, gen. Henry'ego Maitlanda Wilsona, o możliwości pozyskania uzupełnień podczas wojny, odpowiedział: „Uzupełnienia nadejdą do nas z linii frontu”. Miał świadomość tego, że duża liczba Polaków pełni służbę w niemieckich mundurach. Wszakże trzecia część terytorium Polski została włączona do Rzeszy i tam przeprowadzono regularny pobór wojskowy. Tak więc po negocjacjach z dowództwem brytyjskim, za zgodą gen. Harolda Alexandra, rozpoczęto selekcję i przyjmowanie

ochotników z obozów jenieckich. Co istotne, jeńcy byli już wyszkolonymi żołnierzami, wobec czego czas ich przyuczenia można było skrócić do minimum. Gdyby nie to źródło, 2. Korpus Polski nie miałby szans dotrzeć na linię frontu do końca kampanii włoskiej.

Gdy w kwietniu Polacy zdobywali Bolonię, a wojna w Europie miała się ku końcowi, wszyscy żołnierze korpusu znali już powzięte w lutym ustalenia

konferencji jałtańskiej. Polska została potraktowana jak podbity, wrogi kraj, a nie jak wierny sojusznik. Większość żołnierzy gen. Andersa przeżyła sowiecką agresję w 1939 roku i następujące po niej wywózki do łagrów. Teraz okazało się, że w wyniku podjętej w Jaltie decyzji Wielkiej Trójki ich domy miały się znaleźć w ZSRR. Perspektywa powrotu pod dobrze im znaną władzę sowiecką nie była dla nich zbyt atrakcyjna.

► Orzeł wz. 39 produkcji firmy Lorioli



Fot. ze zbiorów autora

Generał Anders, za zgodą prezydenta RP, dążył do możliwie szybkiego powiększenia liczebności wojska. Ochotników nie brakowało. Według danych odnotowanych przez generała liczba pozytywnie zweryfikowanych jeńców z Wehrmachu przekraczała pod koniec września 40 tys., z czego 14 tys. zostało odesłanych do oddziałów Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii. Oprócz tego licznie napływali ochotnicy z Francji, z internowanej w 1940 roku w Szwajcarii 2. Dywizji Strzelców Pieszych, a także jeńcy z kampanii wrześniowej i z Powstania Warszawskiego oraz robotnicy przymusowi i więźniowie obozów. Z samej Francji Brytyjczycy zgodzili się przetransportować do 2. Korpusu Polskiego 20 tys. ochotników. W rezultacie, w ciągu niecałych trzech miesięcy od zakończenia wojny, gen. Anders rozbudował korpus do 111 tys. żołnierzy w końcu lipca 1945 roku. Rozkazy brytyjskie, które wyraźnie mówiły o ograniczeniu jego liczebności do 85 tys., zostały zlekceważone. Zrobiono to w taki sam sposób, w jaki ominięto zakazy sowieckie w 1942 roku: zmniejszono żołd i racje żywnościowe tak, aby przydziały brytyjskie starczyły dla tych wszystkich żołnierzy, których formalnie nie było. W listopadzie liczba żołnierzy sięgnęła 120 tys. Dwubrygadowe dotychczas dywizje piechoty zostały uzupełnione o trzecie brygady, 2. Warszawska Brygada Pancerna stała się 2. Warszawską Dywizją Pancerną, powstała dodatkowo 14. Brygada Pancerna. Nacisk był położony w dalszym ciągu na przeszkolenie maksymalnej liczby fachowców i utworzenie możliwie dużej liczby oddziałów specjalistycznych, mających w założeniu charakter kadrowy i przeznaczonych do dalszej rozbudowy.

Furażerki i berety

Żołnierze 2. Korpusu Polskiego wyruszający do Włoch byli zaopatrzeni w takie orły do czapek, jakie były dostępne na Środkowym Wschodzie. Dotyczyło to zarówno godel już użytkowanych, jak i zapasów intendenckich. Uruchamianie lokalnej produkcji orłów we Włoszech postępowało powoli i do czasu zakończenia działań wojennych miało głównie

charakter chałupniczy. Służba Materiałowa 2. Korpusu Polskiego nie zerwała więc z producentami z Palestyny i Egiptu, zamawiając liczne wyroby u dotychczasowych dostawców.

Wiosną 1944 roku został zmieniony podstawowy rodzaj nakrycia głowy żołnierzy korpusu. Ci wszyscy, którzy wcześniej nosili furażerki khaki, mieli od maja założyć berety w tym samym kolorze.

Wdrożenie do użytku nowych nakryć głowy przypadło na okres bitwy pod Monte Cassino. Celną relację o kwatermistrzowskich paradoksach wojennych odnotował Melchior Wańkowicz: „W kwatermistrzostwie – między sprawy dotacji amunicji, przebiegów na drodze północnej dla Kresowej dywizji i dla artylerii ciężkiej, służby sanitarnej i innych spraw dla żywienia bitwy – wpadła dziś sprawa beretów. Dotąd nosiliśmy furażerki. Obecnie – przyszły berety na cały stan Korpusu i trzeba np. rozważyć, czy dziurki wentylacyjne mają być przepisowo noszone z boku, czy na tyle beretu. Trudno – wojna stoi nie tylko dużymi, ale i najmniejszymi rzeczami. Ale też nie można się dziwić, że ludzie się czasami zżymają na te małe, jak ppłk Rolland, kwatermistrz Karpackiej, kiedy w czasie największej gorączki [...], obkładany ogniem między ▶



Fot. ze zbiorów autora

▶ Unterfeldwebel Walter Buchcik, powołany do służby w Wehrmachcie z szeregow RAD, odznaczony Krzyżem Żelaznym I klasy, w 1945 roku – już w szeregach 6. Batalionu Strzelców Karpackich – otrzymał Krzyż Walecznych

Fot. ze zbiorów autora



1. i 2. natarciem, otrzymał pilny telefonogram z kwatermistrzostwa Korpusu: »Do godz. X wypowiedzieć się, czy nosić oznaki na rękawach i czy na haftki, czy na trwale«”.

Formalnie rzecz biorąc, do beretów były przeznaczone orły haftowane, niemniej praktyka odbiegała od niezbyt precyzyjnych rozkazów. Duża część żołnierzy ozdobiła berety orłami metalowymi, a zwyczaj ten utrzymał się również po wojnie, do końca pobytu Polaków we Włoszech. Wprawdzie obowiązującym godłem metalowym był orzeł wz. 39, ale jednolitości wyglądu godeł nawet w ramach poszczególnych oddziałów nie było. Obok orłów haftowanych produkcji włoskiej spotykało się egzemplarze metalowe sprowadzone przez Służbę Materiałową ze Środkowego Wschodu bądź z Wielkiej Brytanii, brytyjskiej produkcji orły z tworzywa sztucznego, jak również oznaki wycinane ręcznie z blachy aluminiowej lub z arkuszy celuloideu. Dowództwo nie zwracało uwagi na fakt zróżnicowania godeł zdobiących nakrycia głowy, choć nie pozostawały bez reakcji inne odstępstwa od regulaminu. W marcu 1944 roku dowódca Korpusu wydał specjalny rozkaz dotyczący dyscypliny umundurowania: „Zauważyłem poważne obniżenie się dyscypliny pod względem umundurowania szeregowych. Na ulicach spotyka się szeregowych z rozpiętymi płaszczami, rękoma w kieszeniach, orzełkami na furażerkach z lewej strony, bez pasów i wałęsających się kupami”. Reprimenda ta, wydana w początkach obecności korpusu we Włoszech, najwyraźniej odniosła zamierzony skutek, nie była bowiem ponawiana w rozkazach późniejszych. Tak więc sposób umieszczania orła był ściśle określony, natomiast w odniesieniu do rodzaju orła panowała aż do końca istnienia jednostki duża swoboda.

Służba Materiałowa

Dzięki włoskiej tradycji ręcznego haftowania oznak wojskowych zaopatrzenie w orły na tekstylnych podkładkach nie było trudne. Na ulicznych straganach i w lokalnych sklepach żołnierze kupowali solidnie wykonane, estetyczne god-



► Orzeł wz. 39 produkcji firmy Lorioli widoczny na berecie kaprała podczas ćwiczeń oddziału pomiarowego 12. Kompanii Geograficznej w lipcu 1946 roku w okolicach Terrano

ła, nierzadko haftowane wraz z oznakami stopnia. Prawo popytu i podaży działało bezbłędnie, zwłaszcza że polscy nabywcy dysponowali walutami bezcennymi dla mieszkańców spustoszonej Italii: konserwami, papierosami czy czekoladą. W tej sytuacji nawet dwukrotne zwiększenie się liczby żołnierzy 2. Korpusu Polskiego chwilę po zakończeniu działań wojennych nie mogło być dla dostawców problemem. Ten kanał zaopatrzenia miał jednak charakter wyłącznie indywidualny. Służba Materiałowa (tak bowiem zwała się intendentura korpusu) była zobowiązana do wydawania każdemu nowo przyjmowanemu żołnierzowi kompletnego munduru, oczywiście wraz z orłem. O ile zestawy mundurowe pochodziły ze składnic brytyjskich, o tyle godła należało zamówić inną drogą. Zapasy orłów

przywiezione ze Środkowego Wschodu nie mogły wystarczyć dla ponad 50 tys. nowo przybyłych żołnierzy. Najprostszym rozwiązaniem było znalezienie wykonawcy lokalnego. Wybór padł na mediolańską firmę Lorioli Fratelli.

F. M. Lorioli Fratelli

Firma Lorioli Fratelli została założona w roku 1919 przez braci Filipa i Michała Loriolich, a jej pierwsza siedziba znajdowała się przy Via Anzani 3 w Mediolanie. W roku 1923 firma zmieniła adres, przenosząc się do specjalnie dla niej zaprojektowanego budynku przy Via Bronzetti 25. W Rzymie natomiast, przy Corso Umberto 380, mieściła się filia firmy. Wszystko wskazuje na to, że było to jedynie biuro handlowe, które przyjmowało zamówienia w stolicy.



Fot. IPMS

Początkowo firma wytwarzała głównie medale artystyczne, ale już po kilku latach pozyskała korzystne zamówienia rządowe i produkowała medale nadawane uczestnikom Wielkiej Wojny, ochotnikom, sierotom, żołnierzom alianckim. W katalogu wyrobów można znaleźć obok medali religijnych liczne wyroby projektowane i zamawiane przez założoną w 1919 roku Włoską Partię Faszystowską – P.N.F., począwszy od medalu upamiętniającego słynny marsz na Rzym z 1922 roku, będący w istocie faszystowskim zamachem stanu. Od tej pory rosnący asortyment firmy odzwierciedla drogę polityczną faszystowskich Włoch. Produkowane były medale dla żołnierzy walczących w wojnie włosko-abisyńskiej, w wojnie domowej w Hiszpanii, a także biorących udział w zajęciu Albanii. Przystąpienie Włoch do wojny w czerwcu 1940 roku sprawiło, że za-

potrzebowanie na odznaczenia wojskowe wzrosło współmiernie do liczby kampanii, w których włoskie oddziały brały udział. Znamiennym świadectwem włoskiej tragedii wojennej są wśród wyrobów firmy odznaczenia dla armii włoskiej walczącej na froncie wschodnim, która straciła 115 tys. z łącznej liczby 235 tys. wysłanych do Rosji żołnierzy.

W latach II wojny firma Liorioli była prowadzona już przez drugie pokolenie rodziny założycieli. Alianckie bombardowanie Mediolanu w sierpniu 1943 roku uszkodziło fabrykę, wskutek czego część produkcji przeniesiona została do odległego o 50 km Bergamo.

Od września 1945 roku firma Liorioli wytwarzała polskie odznaki, oznaki, odznaczenia oraz guziki na zamówienie Służby Materiałowej 2. Korpusu Polskiego. W archiwum firmowym zachowały się dokładne dane dotyczące produkcji orłów wz. 39. Kontrakt na ich wykonanie został zawarty w październiku 1945 roku. Orły produkowano z blachy mosiężnej w dwóch wariantach wykończenia powierzchni: mosiężnej polerowanej bądź srebrzonej i oksydowanej na stare srebro. Wszystkie orły były opatrzone słupkami gwintowanymi z firmowymi nakrętkami. Wszystkie też były lekko wypukłe. W październiku 1945 roku wyprodukowano 6 tys., a w marcu 1946 – kolejne 5 tys., co oznacza, że łączny

► Torebka firmowa
F. M. Liorioli Fratelli



Fot. ze zbiorów Krzysztofa Barbarskiego

nakład orłów wz. 39 z firmy Liorioli wyniósł 11 tys. sztuk. Odpowiada to mniej więcej 10 proc. stanu osobowego 2. Korpusu Polskiego w chwili realizacji zamówienia. Reszta zapotrzebowania została pokryta dzięki zamówieniu u innego wytwórcy dostawy tanich orłów tekstylnych, haftowanych maszynowo na sukiennych podkładkach.

Bratni legion gdy z Anglii powróci...

17 lutego 1946 roku Tymczasowa Rada Jedności Narodowej poinformowała rząd brytyjski, że nie uznaje Polskich Sił Zbrojnych za część Wojska Polskiego. W konsekwencji tego oświadczenia zażądała rozwiązania PSZ i wprowadzenia zakazu używania polskich oznak wojskowych. Władze brytyjskie zarządziły wycofanie polskich żołnierzy z Włoch do Wielkiej Brytanii, gdzie mieli zostać zdemobilizowani. To był faktyczny koniec złudzeń o powrocie do kraju z bronią i w mundurze, chociaż takie złudzenia w okresie pojałtańskim nie były już zbyt częste.

Pesymiści przewidywali dużo gorszy rozwój sytuacji: wszakże Brytyjczycy na żądanie Stalina wydali mu przebywających na ich terenie obywateli ZSRR, a żołnierze 2. Korpusu Polskiego pamiętali, że z sowieckiego punktu widzenia wszyscy Polacy zamieszkali na wschód od linii Ribbentrop–Mołotow (którą Stalin zrzecznie utożsamiał z linią Curzona) są... obywatelami ZSRR właśnie. Najczarniejszy scenariusz na szczęście się nie sprawdził, lecz demobilizacja w Wielkiej Brytanii była i tak doświadczeniem bardzo gorzkim dla żołnierzy, którzy jeszcze niedawno czuli się pełnoprawnymi aliantami. Jedną z pamiętek po planach i nadziejach na dalsze istnienie polskiego wojska pozostały zapasy metalowych orłów w firmowych torebkach z nadrukiem „F.M. LORIOLI FRATELLI”. Duża ich część nigdy nie została żołnierzom wydana. ■

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Materiały z archiwum firmy Liorioli udostępnił p. Enzo Casadio, któremu autor składa serdeczne podziękowania.



► DP z talerzowym magazynkiem („dyskiem”) na 47 nabojęw; standardowy erkaem używany w ludowym Wojsku Polskim i komunistycznych siłach bezpieczeństwa, w miarę możliwości zastępowany doskonałym niemieckim MG 42

Zbrojne ramię partii

Michał Mackiewicz

Nie wdając się w akademicki spór dotyczący definicji konfliktu w powojennej Polsce i sprowadzający się do pytania, czy mieliśmy wówczas do czynienia z wojną domową, czy z powstaniem przeciwko nowej okupacji, spróbujmy scharakteryzować uzbrojenie walczących stron. Zwłaszcza w odniesieniu do formacji podległych Polsce „lubelskiej”, których przewaga w bojowym wyposażeniu nie wydaje się wcale taka oczywista.

Partyzancki, nieregularny charakter toczonych walk pozbawiał komunistów oraz wspierających ich Sowieców podstawowej przewagi, jaką dawała zaawansowana technika bojowa. Broń pancerna, lotnictwo czy artyleria nie nadawały się do zwalczania niewielkich, lotnych i działających z zasadzki oddziałów podziemia niepodległościowego, dlatego – poza akcją „Wisła” – używano ich sporadycznie. Zasadnicze znaczenie miały: automatyczna broń strzelecka, granaty ręczne, niekiedy także lekka broń stromotorowa, czyli granatniki i moździerze. W porównaniu z partyzantką okresu okupacji niemieckiej mniej liczne, kadrowe oddziały tzw. drugiej konspiracji były uzbrojone o niebo lepiej. Doskonałym źródłem zaopatrzenia stał się niemiecki Wehrmacht, który w wyniku kolejnych radzieckich ofensyw uległ znacznemu rozkładowi,

pozostawiając po sobie olbrzymie ilości sprzętu. Dość szybko doszło kolejne obfite źródło: funkcjonariusze nowej władzy, którzy przynajmniej w początkowej fazie instalowania komunistycznego systemu okazali się zupełnie nieprzygotowani do zbrojnej konfrontacji i maso-

wo tracili broń na rzecz grup podziemia. Ciężar walki spoczywał wówczas na oddziałach sowieckich. Najgorzej sytuacja wyglądała w ludowym Wojsku Polskim i Milicji Obywatelskiej, które nie dość że były niewystarczająco wyszkolone, to jeszcze dysponowały często zupełnie nieodpowiednim uzbrojeniem.

Mosiny, diegtiariowy i pepesze

W obu formacjach głównym orężem były karabiny powtarzalne. W wojsku – radzieckie mosiny różnych wzorów, a więc klasyczne długie karabiny wz. 1891/30 oraz karabinki wz. 38 i 44 (ten ostatni wyposażony w integralny składany bagnet); w milicji i ORMO zdecydowanie przeważały poniemieckie mause-ry K98k, ale zdarzały się też przedwojenne polskie kabeki, a także broń włoska, węgierska, a nawet angielska! Wszystkie karabiny powtarzalne miały jedną podstawową wadę – niewielką szybkostrzelność, która zupełnie nie predestynowała ich do dynamicznej walki prowadzonej zazwyczaj na małym dystansie. Pojedyncze erkaemy – znajdujące się w wyposażeniu drużyn



► Pistolet samopowtarzalny TT kal. 7,62 mm – podstawowa broń krótka ludowego Wojska Polskiego produkowana w naszym kraju od lat pięćdziesiątych

Fot. MW/P



► Pistolet maszynowy PPS 43, nazywany przez niektórych entuzjastów broni stenem Stalina – bardzo udana konstrukcja, której produkcję uruchomiono w powojennej Polsce (wytwarzano u nas także pepesze), m.in. u Cegielskiego w Poznaniu; w latach pięćdziesiątych opracowano wersję ze stałą kolbą drewnianą (wz. 1943/52), która długo pozostawała w uzbrojeniu ludowego Wojska Polskiego, trafiła także do MO

piechoty czy posterunków milicyjnych – nie mogły zmienić tej niekorzystnej dla nowej władzy sytuacji, zwłaszcza że partyzanci przed akcją grupowali broń maszynową i dzięki temu zazwyczaj osiągalni znaczną przewagę ogniową. Z czasem zaczęło się zaznaczać wyraźne dążenie do jak największego nasycenia formacji rządowych erkaemami i peemami. Otrzymywali je głównie żołnierze i funkcjonariusze rozmaitych grup operacyjnych i pościgowych wojska, milicji, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Urzędu Bezpieczeństwa. Była to przede wszystkim broń radzieckiej produkcji – ręczne karabiny maszynowe DP oraz pistolety maszynowe PPSz 41. Te pierwsze (DP – *Diegtiarowa piechotnyj*) zostały wprowadzone do

uzbrojenia Armii Czerwonej w 1927 roku. Ich konstruktorem był Wasilij Diegtiarow, uczeń słynnego Władimira Fiodorowa (twórcy automatycznego karabinu wz. 1916) i kontynuator idei uniwersalnej broni maszynowej, dostosowanej do potrzeb wszystkich rodzajów wojsk. Erkaem DP był oryginalną radziecką konstrukcją, choć niewątpliwie inspirowaną obcymi doświadczeniami (m.in. sposób ryglowania). W sumie udany, prosty i solidny, miał jednak kilka istotnych wad. Osadzenie sprężyny powrotnej z przodu, na trzonie tłoka gazowego, powodowało jej szybkie osłabienie na skutek nadmiaru ciepła pochodzącego z rozgrzanej lufy. Problem ten rozwiązano dopiero w zmodernizowanej wersji DP z 1944 roku (DPM), w której

sprężynę osadzono z tyłu, nad tylną częścią komory spustowej. Inny mankament stanowiła konstrukcja magazynka tańczowego (pojemność: 47 naboje), zbudowanego z dwóch zasadniczych części; dolna pozostawała nieruchoma, podczas gdy górna, napędzana zegarową sprężyną, obracała się w jej wnętrzu, podając naboje. Szczelina między nimi była narażona na zanieczyszczenie (pył, piach), co powodowało unieruchomienie mechanizmu. Ponadto kształt i sposób osadzenia magazynka źle wpływały na ergonomię broni. DP działał na zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie i strzelał – tylko ogniem ciągłym – z zamka otwartego ryglowanego przy strzale.

Z kolei PPSz 41 to słynna pepesza, skonstruowana przez Gieorgija Szpagina i zasilana z dwóch rodzajów magazynków: bębnowego o pojemności 71 naboje i łukowego trzydziestopięciopojemkowego. Spełniła wszelkie oczekiwane założenia, była niemal niezniszczalna, działała niezawodnie nawet bez troskliwej konserwacji, a z magazynkiem bębnowym zapewniała dużą moc rażenia na dystansie do 200 m. W grudniu 1942 roku pojawił się następca pepeszy – pistolet maszynowy PPS. Konstrukcja ta prawie ►

► Milicjanci z Janowa Lubelskiego; poza powszechnie spotykanymi pepeszami, w tym wypadku z łukowymi trzydziestopięciopojemkowymi magazynkami, uwagę zwracają ekstremalnie rzadkie na terenie Polski, najprawdopodobniej pochodzące z alianckich zrzutów, angielskie karabiny Lee Enfield No. 4 Mk I kal. 7,7 mm

Fot. ze zbiorów autora



pod każdym względem okazała się lepsza od peemu Szpagina. Broń pomysłu tandemu rusznikarzy Sudajew–Bezruczko, opracowana naprędce w obleżonym Leningradzie, była równie niezawodna i prosta w budowie co pepesza, ale dodatkowo znacznie wygodniejsza w użyciu, dużo lżejsza i jeszcze tańsza w produkcji. Pepees zaliczany jest do najlepszych peemów II wojny światowej. Dostosowano go do tego samego co u poprzednika naboju pistoletowego 7,62 × 25 i zasilano z podobnego (choć nie zamiennego) trzydziestopięcionabojowego magazynka łukowego. PPS 43 był niemal w całości wykonany ze stali, zaopatrzone go w składaną kolbę; w przeciwieństwie do pepeszy, która miała przełącznik rodzaju ognia, pepees strzelał tylko serią. Broń tę można zobaczyć na zdjęciach z 1947 roku (i późniejszych) przedstawiających pododdziały KBW i UB, chociaż w zasadzie nigdy pepeszy do końca nie wyparła.

Bronią osobistą oficerów były pistolety TT (*Tulskij Tokariew*), przyjęte do uzbrojenia w 1931 roku pod oznaczeniem wz. 1930. Niewielkie modyfikacje związane z uproszczeniem procesu technologicznego (zmiany w obrębie mechanizmu spustowo-uderzeniowego, lufy i szkieletu) poskutkowały powstaniem ostatecznej wersji – wz. 1933. Konstruktorem broni był Fiodor Tokariew, produkcję zaś uruchomiono w zakładach w Tule. Pistolet, podobnie zresztą jak wiele innych udanych konstrukcji (np. polski Vis wz. 35), był oparty na rozwiązaniach Browninga i działał na zasadzie krótkiego odrzutu lufy. Odryglowanie następowało przez przekoszenie lufy w płaszczyźnie pionowej. Choć niektórzy narzekali na źle profilowany,

► Karabinek systemu Mosina wz. 38 kal. 7,62 mm

umieszczony pod zbyt małym kątem chwyt, pistolet okazał się doskonałą i niezawodną bronią frontową. Duża w tym zasługa doskonałego naboju 7,62 × 25 mm, będącego kopią amunicji Mausera.

Kabewiaczy z MG

Radziecką broń automatyczną i pistolety bardzo chętnie wykorzystywali oczywiście także żołnierze podziemia, choć wydaje się, że w wielu wypadkach decydowała raczej dostępność amunicji, niż parametry bojowe. Tym bardziej że zdobyczna broń niemiecka nie ustępowała im pod względem walorów użytkowych, a niekiedy nawet przewyższała konstrukcje radzieckie. Co ciekawe, po niemiecką broń chętnie sięgali także funkcjonariusze nowego systemu, którzy niejednokrotnie dobierali sobie broń wedle własnego uznania i potrzeb. Ceniono przede wszystkim niemieckie uniwersalne karabiny maszynowe MG 42, które przy odpowiednim zaopatrzeniu w amunicję zapewniały olbrzymią siłę ognia (zasilanie taśmowe, szybkostrzelność praktyczna sięgająca 1100–1200 m/s). Nie gardzono także Stg 44, czyli karabinami Sturmge- wehr, dostosowanymi do naboju pośredniego 7,92 × 33. W niektórych relacjach określa się je mianem czeskich pistoletów maszynowych. Znaczną liczbę tych karabinów miały oddziały podziemia niepodległościowego, a przejętą broń, o ile dysponowano odpowiednią ilością amunicji, włączano potem do swojego uzbrojenia: „Łącznik nie dotarł jeszcze do mnie, gdy usłyszałem dosyć długie serie z broni maszynowej. Zaraz zorientowałem się, że ogień

prowadzony jest z czeskich pistoletów maszynowych, w które była uzbrojona banda, i co sił z będącymi ze mną ludźmi ruszyłem w kierunku, skąd dochodziły odgłosy walki. Żołnierze KBW nie chcieli być dłużni bandytom, toteż i oni otworzyli ogień. Słychać było pracę pepeszek, którym wtórował erkaem” – pisał w wydanej w 1977 roku książce *Na wysuniętych posterunkach* Stefan Skwarek, tuż po wojnie funkcjonariusz UB, a potem historyk.

W pierwszych dwóch latach konfliktu rzucała się w oczy wyraźna przewaga oddziałów podziemia, które wygrywały większość starć i to niezależnie od tego, czy same je inicjowały, atakując z zaskoczenia milicyjne posterunki, kolumny sił rządowych albo sowieckich, czy też zmuszone były przyjąć walkę w niekorzystnych warunkach, zmagać się z oblawa i przebijając się z okrażenia. O sukcesie decydowały wieloletnie doświadczenie partyzanckie (oswojenie z bronią), determinacja i przewaga uzbrojenia, ale również to, że *gros* funkcjonariuszy szeroko pojętego aparatu bezpieczeństwa nie miało wojskowego ani nawet partyzanckiego doświadczenia (byli żołnierze Gwardii Ludowej/Armii Ludowej stanowili w skali całego kraju zaledwie margines), stąd też ich przygotowanie strzeleckie, o ile w ogóle można o czymś takim mówić, było bardzo słabe. Niewiele lepiej sytuacja wyglądała w wojsku, które borykało się z licznymi problemami natury kwatermistrzowskiej. „Częste i długotrwałe akcje spowodowały znaczne zużycie umundurowania i obuwia. W dywizji [9. Dywizji Piechoty] brak było około 1815 płaszczy, 1181 par butów, 1300 mundurów i około 2000 kompletów bielizny, występowały też pewne braki w żołnierskim ekwipunku i sprzęcie” – czytamy w wydanym w 1972 roku tomie *W walce ze zbrojnym podziemem 1945–1947* pod redakcją Marii Turlejskiej. Cóż, bez butów i bielizny to nawet strzelać się odechciewa... ■

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kirchholm–Kłuszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



Labirynt dla detektywów historii

IPN planuje stworzyć w Łodzi pierwsze w Polsce muzeum w formie gry przygodowej. – Marzy nam się powtórzenie sukcesu Muzeum Powstania Warszawskiego – mówi **Karol Madaj**, koordynator tego projektu, w rozmowie z Filipem Gańczakiem

Muzeum w formie gry – skąd pomysł na takie przedsięwzięcie?

Władze Instytutu Pamięci Narodowej już od pewnego czasu zastanawiały się nad stworzeniem nowoczesnego centrum edukacji historycznej. Początkowo myślano o zaprojektowaniu narracyjnej wystawy przybliżającej historię walki o wolność w latach 1944–1989. Profesor Antoni Dudek, przewodniczący Rady IPN, zaproponował jednak, żeby oprócz tradycyjnej ekspozycji stworzyć modne ostatnio *escape roomy*. Po wspólnej rozgrywce w *escape roomie* dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, dr Andrzej Zawistowski, wpadł z kolei na pomysł, żeby nie projektować oddzielnie wystawy i gry, lecz połączyć jedno i drugie we wspólnej przestrzeni.

Wyjaśnijmy krótko, czym jest *escape room*.

Jest to rodzaj gry przygodowej, przeniesionej z komputera do rzeczywistości. Gracze zamykają się w jakiejś przestrzeni – pokoju – i mają się z niej wydostać. Aby to zrobić, muszą pod presją czasu rozwiązać serię zagadek i łamigłówek. Jeżeli uda im się to w ciągu godziny, wygrywają. W razie problemów zwykle otrzymują podpowiedzi od prowadzącego grę, ale nawet wówczas zadanie nie jest łatwe, a emocji przy tym mnóstwo. Takie gry zaczęły powstawać kilkanaście lat temu, głównie w Azji. Z czasem formuła rozprzestrzeniła się po całym świecie i dotarła do Europy. Dziś również w Polsce cieszy się sporą popularnością. W wielu miastach można wybierać spośród kilkudziesięciu pokoi o bardzo zróżnicowanej tematyce, od *Alicji w krainie czarów* po horrory.

Powstały też pokoje o tematyce historycznej, na przykład Projekt Enigma w Warszawie, nawiązujący do sukcesu przedwojennych polskich kryptologów...

... lub pokój w klimacie Powstania Warszawskiego. Byłem w pokoju *Wehikuł czasu*, w którym gracze przenosili się w czasie między starożytnym Egiptem a teraźniejszością i przyszłością. Z kolei w pokoju rycerskim trafiłem do epoki średniowiecza i musiałem uciekać z zamku templariuszy. Gry tego typu mają jednak zazwyczaj charakter wyłącznie rozrywkowy i z historią są związane dość luźno. Nasze pokoje mają być mocno osadzone w realiach epoki. Chodzi o to, żeby nie była to tylko rozrywka, lecz żeby gracze otrzymali także solidną dawkę wiedzy. Emocje mają zaś dodatkowo pomóc w jej przyswojeniu. Spodziewamy się, że będą to większe emocje niż te wywoływane przez gry planszowe. Grając na planszy, wiele rzeczy trzeba sobie wyobrażać. Tutaj będzie-



Fot. Piotr Życieński

Karol Madaj (ur. 1980) – teolog, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN; w 2013 roku „za zasługi w budowaniu świadomości historycznej i patriotycznej” odznaczony przez prezydenta RP Złotym Krzyżem Zasługi; projektant wielu gier edukacyjnych, takich jak *Awans* (2009), *303. Bitwa o Wielką Brytanię* (2010), *Znajdź* (2012), *Strajk. Skok do wolności* (2013), *111. Alarm dla Warszawy* (2013) czy *7. W obronie Lwowa* (2015). Najśłynniejsza z nich, planszówka *Kolejka* (2011), otrzymała tytuł Gry Roku 2012 i doczekała się kilku wersji językowych

my je mieć przed sobą. Jeżeli np. motywem pokoju będzie strajk w Stoczni Gdańskiej, to fizycznie znajdziemy się w zrekonstruowanej sali BHP z całym wyposażeniem. Tych przedmiotów będzie można dotknąć i użyć.

W planach – jak wynika z pierwszych zapowiedzi – są trzy piętra poświęcone historii Polski po 1944 roku, odpowiadające trzem głównym tematom: Żołnierze Wyklęci, życie codzienne w PRL i opozycja demokratyczna.

Taki jest wstępny zarys, ale szczegółowe scenariusze dopiero powstają. Pierwsze z tych trzech pięter, na którym jest najwięcej przestrzeni, na pewno będzie poświęcone Żołnierzom Wyklętym. W jednym z pokoi znajdziemy się np. w areszcie UB. W innym zapoznamy się z życiem codziennym na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Jednocześnie każdy pokój będzie poświęcony innej postaci. Jeden np. Witoldowi Pileckiemu, inny Danucie Siedzikównie „Ince”, jeszcze inny Hieronimowi Dekutowskiemu „Zaporze”. Na każdym piętrze pokoi będzie siedem lub osiem. Po wyjściu z danego pokoju zwiedzający przejdą do innego pomieszczenia, w którym wspólnie z edukatorem podsumują zabawę. Będą też mogli wymienić się spostrzeżeniami z osobami, które trafiły do innych pokoi.

Czy jedna wizyta w centrum pozwoli poznać wszystko?

Plan jest taki, że trzeba tam będzie przyjść co najmniej trzy razy, bo w czasie jednej sesji będziemy zapoznawać się z jednym z trzech tematów. Każda wizyta ma się składać z trzech elementów: z obejrzenia dynamicznego, piętnastominutowego filmu wprowadzającego w historię, z rozgrywki, która będzie trwała ok. 90 min, oraz podsumowania, które może potrwać ok. 30 min. Doliczając czas potrzebny na przejścia między pomieszczeniami, spędzimy w centrum około trzech godzin.



Czy podczas jednej sesji zwiedzi się wszystkie piętra?

Teoretycznie będzie to możliwe, ale niezalecane. Trwałoby to bowiem około dziewięciu godzin. Emocje są tak silne, że po jednej wizycie w *escape roomie* jest się już zmęczonym – w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Lepiej będzie odwiedzić nasze centrum trzy razy i za każdym razem wchodzić na inne piętro, oglądać inny film, przeżywać zupełnie inne emocje i poznawać inną historię.

Czy cudzoziemcy nieznający języka polskiego też znajdą coś dla siebie?

Są plany, żeby jeden z pokoi przystosować do potrzeb cudzoziemców, tak żeby goście z zagranicy też mogli w niekonwencjonalny sposób zapoznać się z polską historią. W takim pokoju nie mogłoby być zagadek dotyczących tekstu, chyba że wszystkie zadania zostałyby przetłumaczone. Naszą główną grupą docelową jest jednak polska młodzież szkolna. Chcemy, żeby cała klasa zmieściła się na jednym piętrze, co byłoby unikatowe, bo zazwyczaj *escape roomy* mogą pomieścić do pięciu osób. Po godzinach przeznaczonych dla szkół centrum byłoby otwarte dla rodzin i innych zwiedzających.

Nie każdy wygrał olimpiadę z historii. Niektórzy mogą się bać, że nie poradzą sobie z zagadkami.

Uspokajam, że do rozpoczęcia zabawy nie będzie wymagana żadna wiedza historyczna. Będzie ją można zdobyć w trakcie rozgrywki. Wystarczy logiczne myślenie i zmysł detektywa historycznego. Każdy pokój będzie miał prowadzącego, który w razie potrzeby podsunie graczom podpowiedzi, jeśli ci zgubią się w swoim śledztwie, jednak te wskazówki będą takie, żeby nie zepsuły zabawy – tzn. nie będą powiedzeniem wprost: zrób to i to, tylko skierują gracza na odpowiedni trop.

Dlaczego wybór padł na Łódź?

Z kilku powodów. Po pierwsze, chcemy stworzyć centrum ogólnopolskie – nie tylko lokalne – a Łódź leży w centrum Polski i każdy może tam dojechać stosunkowo łatwo nawet z najdalszych części kraju. Po drugie, w Łodzi wciąż brakuje nowoczesnych muzeów historycznych, podczas gdy na przykład w Warszawie działają już Muzeum Powstania Warszawskiego czy Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Nie ma też w Łodzi ipleenowskiego „Przystanku Historia”. Po trzecie, udało się znaleźć znakomity lokal przy ul. Piotrkowskiej. Jest to centrum miasta, bardzo prestiżowe miejsce i, co niezwykle ważne, budynek z historią – dawna siedziba NSZZ „Solidarność”. 13 grudnia 1981 roku gmach zajęło ZOMO. Zdjęcie z tej akcji stało się jedną z ikon stanu wojennego. Nasze centrum upamiętni Solidarność i z pewnością będziemy opowiadać także o 13 grudnia.

Budynek wymaga jednak doinwestowania.

Rzeczywiście, dziś są użytkowane tylko parter i pierwsze piętro. Mieszczą się tam sale konferencyjne Instytutu Europejskiego – i prawdopodobnie tak pozostanie. IPN zajmie pozostałe trzy

piętra. Te jednak są w tej chwili w stanie surowym. Od pozyskania odpowiednich środków – czy to z budżetu państwa, czy to z innych źródeł – zależy tempo realizacji tego projektu.

Mówi się o otwarciu centrum w drugiej połowie przyszłego roku.

Jeżeli od strony finansowej wszystko byłoby w porządku, to koniec 2017 roku jest realnym terminem.

Obecna nazwa centrum – „Losy Polski i Polaków 1944–1989” – jest tymczasowa. Ostateczną ma wyłonić konkurs.

Jego zasady zostaną ogłoszone w marcu lub kwietniu. Z tego, co wiem, jest przewidziana atrakcyjna nagroda. Potrzebujemy chwytliwej nazwy centrum, które będzie opowiadać o walce o wolność w różnych epokach.

Zapowiadana jest też zbiórka przedmiotów, które mają się znaleźć w poszczególnych pokojach.

Scenografię naszych pokoi chcemy zaprojektować z wielką dbałością o detale historyczne. Kiedy już będziemy mieć szczegółowe scenariusze, to się okaże, jakich przedmiotów potrzebujemy. Jeżeli np. gracze znajdą się w mieszkaniu z lat siedemdziesiątych albo osiemdziesiątych, to jednym z zadań może być znalezienie odpowiedniego numeru w książce telefonicznej i zatelefonowanie do kogoś ze stojącego na biurku telefonu. To będzie musiał być stacjonarny telefon tarczowy starego typu. Powstanie zatem lista przedmiotów, których będziemy potrzebować, i będziemy prosić ludzi, którzy mają takie sprzęty, o ich udostępnienie czy wymianę z nami. Na strychach i w piwnicach zapewne są jeszcze gdzieś przedmioty, które będą nam potrzebne. Będziemy chcieli dać im drugie życie.

Padła zapowiedź, że centrum przyjmie 100 tys. osób rocznie.

Tak, bo jeśli na jednym piętrze możemy zmieścić w ciągu dwóch godzin całą klasę – do czterdziestu osób – a w całym centrum około stu, to daje to kilkuset zwiedzających w ciągu dnia. Po przemnożeniu tego przez liczbę dni w roku uzyskujemy nawet dużo więcej niż 100 tys. – oczywiście przy założeniu, że przez cały czas centrum będzie miało rezerwacje. Jeżeli to będzie dobrze zrobione, jeżeli informacja o tym rozejdzie się po Polsce, jeżeli ludzie będą się zapisywać z wyprzedzeniem – a taką mamy nadzieję – to myślę, że nie będzie problemu z wypełnieniem tego miejsca. Marzy nam się powtórzenie sukcesu Muzeum Powstania Warszawskiego. Tam przed budynkiem cały czas stoją autokary.

Jeden z internautów napisał, że już teraz warto pomyśleć o miejscach parkingowych, bo często to właśnie jest zmorą polskich inwestycji.

Pod tym względem jesteśmy w dobrej sytuacji. Instytut Europejski już dziś ma duży parking. 🚗

Zapora, czyli powrót bohatera

Tomasz Sudol

Komunistyczna prasa pisała o nim jako o „kontynuatorze ideologii i metod hitlerowskich”, dowódcy „bandy WiN”. Mimo to legenda o bohaterskim majorze zdołała przetrwać okres PRL, a po upadku komunizmu stało się możliwe przywrócenie pamięci o nim w całym społeczeństwie. Film dokumentalny *Zapora* to jeden z kroków na drodze przywracania tej pamięci.

Film w reżyserii Konrada Starczewskiego, pierwsza tego typu produkcja IPN – przedstawia historię mjr. Hieronima Dekutowskiego na podstawie wspomnień jego podkomendnych, przyjaciół i członków rodziny. Ze wspomnień tych wyłania się obraz człowieka o wielkim harcie ducha, upartego i wymagającego, ale jednocześnie wrażliwego i marzącego o normalnym życiu.

Prace nad filmem trwały od października 2013 do lutego 2016 roku. Najwięcej czasu pochłonęło poszukiwanie świadków historii i docieranie do nich. Dzięki Mirosławowi Widlickiemu udało się odnaleźć Zygmunta Godlesia „Dębskiego” z Obwodu Radzymin AK, który brał udział w odbiorze zrzutu z „Zaporą” na placówce zrzutowej „Garnek” pod Wyżkowem. W filmie pojawiają się też byli żołnierze „Zapory”: Marian Pawełczak „Morwa”, Zbigniew Matysiak „Kowboj”, Zdzisław Harasim „Kwiatek” oraz Konrad Strycharczyk „Słowik”. Opisuja, jak zapamiętali „Starego” (tak nazywali „Zaporę” jego podkomendni), jakim był dowódcą w boju i jaką

Rówieśnik niepodległej Polski (1918), Hieronim Dekutowski we wrześniu 1939 roku opuścił swoje rodzinne miasto Tarnobrzeg i udał się do Lwowa, prawdopodobnie z zamiarem ochotniczego wstąpienia w szeregi Wojska Polskiego. Zachowane źródła nie wskazują jednak, by udało mu się wziąć udział w walkach z Niemcami. We Lwowie przeżył pierwsze tygodnie okupacji sowieckiej, po czym na początku października wyruszył w drogę z grupą wojskowych, wraz z którą, podążając przez Skole i dalej przez Bieszczady Wschodnie, przekroczył granicę węgierską. Dalszy szlak Dekutowskiego wiódł przez Budapeszt, Balkany, Włochy i Francję, gdzie wstąpił do polskiego wojska. W czerwcu 1940 roku został ewakuowany do Wielkiej Brytanii, gdzie kontynuował służbę wojskową. W kwietniu 1942 roku zgłosił się ochotniczo na kurs cichociemnych. Przeszedł intensywne szkolenie dywersyjne i w marcu 1943 roku został zaprzysiężony. To właśnie wówczas obrał sobie pseudonim „Zapora”. Do kraju został zrzucony w ramach operacji „Neon I” w nocy z 16 na 17 września 1943 roku. Skierowany do pracy konspiracyjnej w Kedywie w Okręgu Lublin AK, początkowo na Zamojszczyźnie, a od początku 1944 roku na Lubelszczyźnie. Był jednym z najlepszych dowódców partyzanckich, jego oddział przeprowadził kilkadziesiąt akcji przeciwko niemieckiemu okupantowi. W latach 1945–1947 stał na czele zgrupowania walczącego z narzuconą Polce władzą

komunistyczną. Aresztowany we wrześniu 1947 roku w trakcie próby ewakuacji z kraju na Zachód, trafił do więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. W procesie z listopada 1948 roku został skazany na siedmiokrotną karę śmierci. Wyrok wykonano 7 marca 1949 roku o 19.00.



estymą darzyli go jego żołnierze oraz społeczność Lubelszczyzny. Ich partyzanckie wspomnienia uzupełnia relacja gen. bryg. Janusza Brochwicz-Lewińskiego, który walczył w szeregach partyzantki AK na Lubelszczyźnie i przez krótki czas współpracował z samym „Zaporą”.

Relacja Teresy Partyki-Gaj to opowieść o „Zaporze” jako człowieku wrażliwym, o uczuciach i miłości, które przerwała powojenna zawierucha. Z kolei dwóch żołnierzy powojennego podziemia niepodległościowego: Wacław Sikorski „Bocian” (WiN) oraz Ignacy Sarnecki „Przybysz”, „Lopek”, „Kruk” (ROAK), którzy przebywali w więzieniu na warszawskim Mokotowie, opowiadają o pobycie w nim „Zapory” i jego ostatnich chwilach życia. W filmie pojawia się również Krystyna Frąszczak, córka siostrzenicy „Zapory”, która we wrześniu ubiegłego roku wraz z mężem Stanisławem założyła Fundację im. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, której celem mają być różnego rodzaju inicjatywy edukacyjne związane z upamiętnianiem Żołnierzy Wyklętych, w tym Dekutowskiego. Wypowiedzi świadków historii przeplatają się z wypowiedziami ekspertów: dr. Henryka Piskunowicza, dr. Sławomira Poleszaka oraz dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka.

Ogromnym walorem filmu jest wykorzystana ikonografia. To ponad 150 zdjęć, w tym wiele nieznanych, pochodzących ze zbiorów prywatnych oraz m.in. archiwum IPN, Archiwum Państwowego w Lublinie, Studium Polski Podziemnej w Londynie czy Hoover Institution Archives (USA). Prezentowane są też liczne dokumenty wytworzone przez podziemie AK/DSZ/WiN oraz komunistyczny aparat bezpieczeństwa.

W filmie pojawiają się również mało znane fragmenty archiwalnych kronik filmowych ze zbiorów FilMOTEKI Narodowej, m.in. ilustrujące wejście Sowietów do Lublina w lipcu 1944 roku, komunistyczne amnestie z 1945 i 1946 roku czy ogłoszenie wyborów styczeniowych 1947 roku.

Świadkowie historii opisują cztery boje, w tym dwa z Niemcami w 1944 roku: pod Krężnicą Okrągłą (15 maja) i pod Kożuchówką (18 lipca) oraz dwa starcia z komunistami w 1946 roku: pod Świtakami koło Grębowa (2 sierpnia 1946 roku) oraz pod Ostrowami Tuszkowskimi (8 sierpnia). Ich zilustrowaniu służą animacje komputerowe, przy których opracowaniu wykorzystano dokumenty archiwalne i relacje kombatantów. 🇵🇵

Tomasz Sudoł – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, współscenarzysta (z Konradem Starczewskim i Maciejem Żuczkowskim) filmu *Zapora*

ZNAJ Znak™

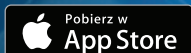
GRA EDUKACYJNA

**Historia Polski 1918–1989
w 133 symbolach**

Nowe wydanie gry *ZnajZnak* już w sprzedaży!
Gra jest dostępna także w wersji elektronicznej:
Zagraj w *ZnajZnak* – Na *prąd* na Facebooku
lub pobierz na swój smartfon



Więcej szczegółów na
ZNAJZNAK.PL



Apple and the Apple logo are trademarks of Apple Inc., registered in the U.S. and other countries.
App Store is a service mark of Apple Inc. Android, Google Play and the Google Play logo are trademarks of Google Inc.



**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**

Tajemnice Rakowieckiej

Katarzyna Dzierzbicka

„W Mokotowie wzniesiony zostanie, według planów inżyniera cywilnego p. Gay’a, nowy gmach więzienny. Główne kierownictwo techniczne budowlı objął budowniczy gubernialny p. Junosza Piotrowski” – głosiła lakoniczna wzmianka zamieszczona w „Przeglądzie Technicznym” w 1902 roku. Dwa lata później otwarto więzienie, które w sposób szczególny wpisało się w mroczną historię powojennej Polski. „Oświecım to była igraszka” – mówił o tej ubeckiej katowni rtm. Witold Pilecki.

W 1882 roku władze Głównego Zarządu Więziń wybrały w podwarszawskiej miejscowości Mokotów sześć hektarów teren, na którym miał powstać budynek nowego zakładu karnego. Kamień węgielny pod jego budowę został wmurowany 9 października 1902 roku. Schemat budowlı powstał w Petersburgu, a szczegółowe plany architektoniczne sporządzili: główny kierownik budowniczy Mikołaj Możdżeński, Henryk Julian Gay i Józef Antoni Mazurkiewicz. Zakład karny zaprojektowany został na planie krzyża. Pomieszczenia administracyjne znajdowały się na parterze, na piętrach zaś cele. Kompleks więzienny dysponował własnym zapleczem infrastrukturalnym:

elektrownią, piekarnią oraz stajnią. Do użytku oddano również szpital, kaplicę katolicką i prawosławną oraz salę modlitewną dla wyznawców judaizmu. Budynki miały bieżącą wodę i centralne ogrzewanie.

Zamiast Syberii

Wieżenie przy ul. Rakowieckiej 37 otwarto 24 listopada 1904 roku. Kara odbywana w jego murach miała zastąpić zsyłkę na Syberię. „Smutnego przeznaczenia budowla ta mieści się w Mokotowie przy ulicy Rakowieckiej. [...] Wogóle gmach nie robi wrażenia więziennego – żadnych cech specjalnych koszarom i miejscom detencji właściwych [pisownia oryginalna]” – donosiła redakcja „Tygodnika Mów i Powieści”. Mimo opisywanych w ga-

zetach wygód, mokotowskie więzienie było najcięższym zakładem karnym w zaborze rosyjskim. Nowo przybyli skazani przez pół roku przebywali pod ścisłą obserwacją. Następnie przenoszono ich do „oddziału odosobnień nocnych”, gdzie w dzień pracowali w więziennych warsztatach: krawieckim, szewskim, stolarskim i ślusarskim, a na noc powracali do cel – część do zbiorowych, część do izolat. Skazani otrzymywali jedną trzecią zarobionych przez siebie pieniędzy, pozostała suma trafiała do skarbu państwa i na utrzymanie więzienia.

W pierwszych czterech latach liczba odbywających karę powiększyła się dwukrotnie. Na Rakowiecką trafiali głównie więźniowie polityczni – uczestnicy rewolucji, która wybuchła na terenie Królestwa Polskiego. Jak donosiła ówczesna prasa, tylko w 1906 roku było ich 580. Skazani byli bici, schorowani i niedożywieni.

Jednostka I klasy

W czasie I wojny światowej zakład penitencjarny przeszedł pod zarząd niemiecki i został przemianowany na Więzienie Karne na Mokotowie. Rosjanie zniszczyli lub zabrali całą jego dokumentację. Po włączeniu Mokotowa do Warsza- ➤

...CZY ZŁYM, CZY DOBRYM NAWET SERGE MOJE SIEDZIE
COKOLWIEK O MNIE RZEKNA, WSZYSTKO PRAWDA BĘDZIE

LEOPOLD STAFF

wy w 1916 roku placówka po raz kolejny zmieniła nazwę na Więzienie Warszawa-Mokotów.

1 września 1918 roku, na ponad dwa miesiące przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, więzienie przy Rakowieckiej zostało przejęte przez władze polskie. Rok później ponownie zmieniło nazwę, tym razem na Więzienie Karne w Mokotowie. Na mocy amnestii w 1920 roku zwolniono wielu osadzonych.

7 marca 1928 roku mokotowska jednostka penitencjarna została zaliczona do I klasy, obejmującej zakłady przeznaczone do odbywania kar ciężkiego więzienia. Placówka była przeludniona, co prowadziło do licznych buntów osadzonych.

Więźniowie mieli obowiązek pracy w zakładach znajdujących się na terenie aresztu, w tym filii Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych oraz w założonym w murach więzienia gospodarstwie ogrodniczym. Mogli się też uczyć w więziennych szkołach: zawodowej i ogólnokształcącej. „Pracę więźniów w Polsce skierowuje się przede wszystkim ku zaspokajaniu potrzeb własnych więziennictwa. W miarę możliwości rozwija się produkcję wyrobów, które są przedmiotem wwozu, wreszcie nawiązuje się kontakt z rynkami zagranicznymi. W ten sposób odpadają zarzuty, skierowane przeciwko pracy w więzieniach, pozostają zaś w całej pełni jej społeczne, kulturalne i humanitarne wartości. Wprowadzenie pracy do więzień przekształciło je w instytucję poprawy zbłąkanych i nieszczęśliwych, pozwalając im powrócić do normalnego życia ludzkiego [pisownia oryginalna]” – informował w 1932 roku tygodnik „Świat”.

Pod okupacją

We wrześniu 1939 roku zakład karny na Mokotowie ponownie trafił w ręce niemieckie. Zanim to się jednak stało, na podstawie dekretu prezydenta RP Ignacego Mościckiego o amnestii uchylono większości więźniów tymczasowe aresztowanie lub

udzielano im przerw w odbywaniu kar. Z końcem września areszt przy Rakowieckiej stał się więzieniem kryminalnym, podlegającym Ministerstwu Sprawiedliwości III Rzeszy. Placówka zaczęła ponownie działać na początku 1940 roku, po przeprowadzonym remoncie. Liczbę więźniów szacuje się na 2,5 tys. kobiet i mężczyzn, zarówno Polaków, jak i Niemców. Część aresztowanych przenoszono do innych zakładów karnych lub obozów koncentracyjnych. W więzieniu przy Rakowieckiej byli tymczasowo przetrzymywani m.in. prezydent Warszawy Stefan Starzyński oraz mistrz olimpijski z Los Angeles, żołnierz Września '39 Janusz Kusociński.

23 lipca 1944 roku, osiem dni przed wybuchem Powstania Warszawskiego, władze więzienia zaczęły zwalniać wszystkich osadzonych na Rakowieckiej Niemców i volksdeutsche. 2 sierpnia na rozkaz dowódcy garnizonu warszawskiego Generalleutnanta Reiner Sahela, a zarazem dowódcy SS i Policji w dystrykcie warszawskim SS-Oberführera Paula Ottona Geibela, oddziały 3. zapasowego batalionu grenadierów pancernych SS rozpoczęły pacyfikację więzienia, w którym przebywało 808 osób. Niemcy zabili sześciuset osadzonych i pogrzebali ich w trzech wcześniej wykopanych przez więźniów rowach. Pozostali aresztowani, zobaczywszy z okien cel egzekucji, wszczęli bunt i odebrali Niemcom broń. W nocy, dzięki pomocy powstańców i mieszkańców Mokotowa, uciekli i przyłączyli się do powstania. W następnych dniach Niemcy dokonali egzekucji na Polakach udzielających więźniom pomocy.

„Pałac cudów”

Zawierucha wojenna oszczędziła mury więzienia przy Rakowieckiej. Po przeprowadzeniu remontu i modernizacji areszt stał się centralnym więzieniem dla więź-

Fot. Katarzyna Dzierzbicka



Fot. Katarzyna Dzierzbicka

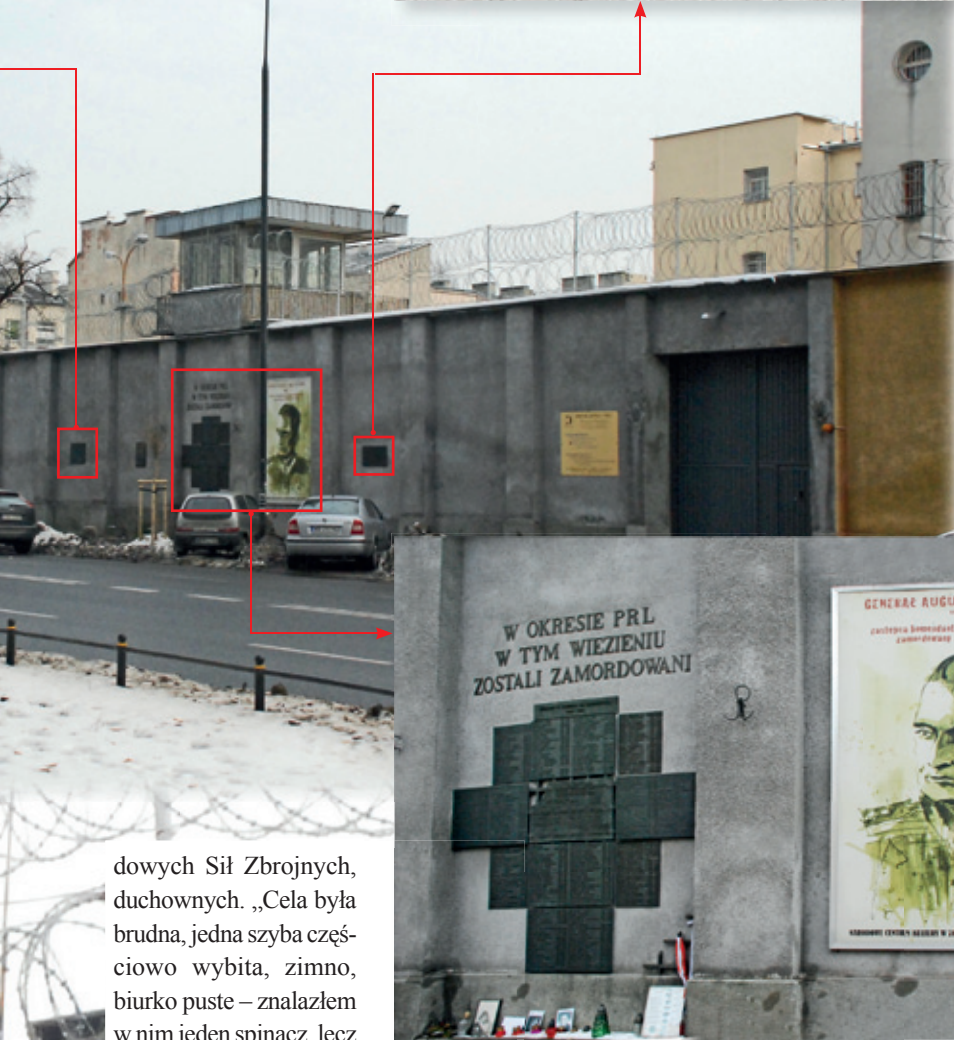


► Liczne tablice na murach Aresztu Śledczego przy ul. Rakowieckiej upamiętniają przetrzymywanych tam więźniów politycznych

niów politycznych, podlegającym Departamentowi Śledczemu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Dyrektorem departamentu był płk Józef Różański – człowiek bezwzględny i brutalny. Jego zadaniem było eliminowanie przeciwników władzy komunistycznej w Polsce.

Więzienie Mokotowskie było przeludnione. W trzydziestoosobowych celach pawilonów X, XI, XII i XIII przetrzymywano nawet po stu „wrogów ludu” – bohaterów Polski Podziemnej (wśród nich był Kazimierz Pużak, jeden z przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa w 1947 roku), żołnierzy Armii Krajowej, Naro-

Fot. Katarzyna Dzierżbicka



dowych Sił Zbrojnych, duchownych. „Cela była brudna, jedna szyba częściowo wybita, zimno, biurko puste – znalazłem w nim jeden spinacz, lecz ani śladu papieru, sedes splukiwany bez nakrycia. Na ścianach widziałem różne napisy. [...] Koc był cienki, z dziurami, trochę utartej słomy w tzw. zagłówek i prześcieradło” – opisywał swoją celę w Pawilonie X dr Franciszek Chmielewski w książce „*Kwadrań na Rakowieckiej 1948–1956*”. Chmielewski został podstępnie aresztowany przez UB w listopadzie 1948 roku.

W 1949 roku dla Urzędu Bezpieczeństwa wybudowano nowy pawilon, oznaczony literą S (od słowa „specjalny”), gdzie dokonywano przesłuchań i wykonywano

których nie popełnili. Odwołanie zeznań przed sądem, na rozprawie nie miało już żadnego znaczenia. Sędziowie nie brali tego pod uwagę” – wspominał Stanisław Krupa „Nita” – żołnierz batalionu AK „Zośka”, student IV roku prawa. W 1949 roku Krupa na podstawie fałszywych zeznań został skazany na pięć lat więzienia pod zarzutem „usiłowania obalenia ustroju Polski Ludowej z bronią w rękę”.

„Pałac cudów” był połączony podziemnym przejściem z oddziałami X i XI. „X Pawilon był budynkiem czterokondygnacyjnym, z tym że czwarta kondygnacja była jakby wydzielona i nosiła urzędową nazwę XI-tki. [...] Na każdej kondygnacji było po 26 lub 27 cel standardowych, o wymiarach ok. 2,2 na 4,5 m. [...] Za moich czasów w jednej celi na ogół siedziało po 8 ludzi. Każda cela miała, w rogu przy drzwiach, niczym nie osłonięty sedes z bieżącą wodą, pospolicie zwany kibelem. Okna małe, pod sufitem, opatrzone grubymi kratami oraz tzw. blindą. Była to specjalna blaszana osłona, zamocowana po zewnętrznej stronie okna. [...] Spaliśmy na siennikach rozkładanych bezpośrednio na betonowej podłodze. [...] Dzień zaczynał się o 5-ej rano. Myliśmy się w kiblu. [...] W parę minut po pobudce odbywał się poranny apel.



Fot. Katarzyna Dzierżbicka

wyroki śmierci. Przez więźniów był on przewrotnie nazywany „pałacem cudów”, w którym niewinni ludzie w sposób „cudowny” przyznawali się do zarzucanych im zbrodni. „Ówczesny wojskowy wymiar sprawiedliwości – a przed takim stawiali więźniowie X Pawilonu – karą śmierci szafował nader hojnie. Wystarczyły poszlaki lub przyznanie się do winy. Wyjątkowo perfidne i okrutne metody śledztwa potrafiły załamać i najszlachetniejszego człowieka. Na porządku dziennym były sytuacje, że ludzie przyznawali się do czynów,

Oficer dyżurny wraz z oddziałowym otwierali cele i sprawdzali stan osobowy. My w tym czasie staliśmy »na baczność« w szeregu pod ścianą, w bieliźnie i boso. Po tym pozwalano nam zabrać z korytarza nasze buty i ubrania, które po wieczornym apelu musieliśmy po złożeniu w zgrąbną kostkę wyłożyć za drzwi celi. Śniadanie było około 6-ej rano. Dzień w dzień to samo: kubek czarnej zbożowej kawy i pół bochenka, ok. 500 gramów czarnego, półsurowego chleba. W ogóle wyżywienie było bardzo nędzne. Na obiad dostawali-

śmy litr lury, kraszonej olejem, bądź rozgotowanymi dorszami (ze łbami i wnętrznościami), stąd nie zawsze owe »danko« było »zjadliwe«. Kolację stanowiło pół litra wodnistej zupy i kawałek chleba, jeśli swojej porcji nie zjadłś w całości rano» – pisał Krupa w książce *X Pawilon. Wspomnienia AK-owca ze śledztwa na Rakowieckiej*.

Skazani wzajemnie sobie pomagali, szczególnie gdy współwięzień przechodził brutalne przesłuchania, które mogły trwać nawet dobę. „Mnie w drugiej fazie śledztwa, a szczególnie w końcówce, kiedy znajdowałem się u kresu sił, pomocą służył mjr Zygmunt Szendzielarz. Nie wiedziałem wtedy, że to przesławny »Łupaszka«, dla jednych brawurowy partyzant, dla innych – krwawy bandyta. Dla mnie był on przede wszystkim towarzyszem niedoli, który samorzutnie, bez obawy, że narazi się strażnikom, pomagał temu, który znajdował się akurat w trudnej sytuacji. [...] Był to niewątpliwie nietuzinkowy człowiek. [...] Zdawał sobie doskonale sprawę, że zostanie karę śmierci i że ta

kara zostanie wykonana. Co istotniejsze, uważał to za zupełnie naturalne, zgodne z prawem walki» – wspominał Krupa.

Stanisław Krupa po pięciu latach aresztu opuścił mury Rakowieckiej. Został zrehabilitowany w październiku 1957 roku. Egzekucja mjr. Zygmunta Edwar-da Szendzielarza, skazanego na osiemnastokrotną karę śmierci, odbyła się w więzieniu mokotowskim 8 lutego 1951 roku. »Łupaszka« został zabity metodą katyńską, czyli przez strzał w tył głowy z małej odległości. Jego szczątki zostały odnalezione w 2013 roku podczas prac ekshumacyjnych na „Łączce” (kwaterze „Ł” Cmentarza Wojskowego na Powązkach). Pogrzeb mjr. Szendzielarza jest zaplanowany na 24 kwietnia z pełnym ceremoniałem wojskowym. Trumna ze szczątkami „Łupaszki” zostanie przewieziona ulicami Warszawy na lawecie. Udział w kondukcji pogrzebowym zapowiedział prezydent RP Andrzej Duda. Major Szendzielarz spocznie na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w swoim dotychczasowym symbolicznym grobie – mogile, w której jest pochowana jego córka Barbara. Osobna tablica, jemu poświęcona, znajduje się w Panteonie – Mauzoleum Niezłomnych-Wyklętych na „Łączce”.

W latach 1945–1956 w więzieniu przy Rakowieckiej zginęło 350 osób. Wśród nich m. in.: rtm. Witold Pilecki (zamordowany 25 maja 1948 roku), mjr Hieronim Dekutowski „Zapora” (stracony 7 marca 1949, odnaleziony w kwaterze „Ł” w 2012 roku), ppłk Łukasz Ciepliński „Pług”, ostatni prezes WiN (stracony 1 marca 1951) oraz zastępca komendanta głównego AK, gen. August Emil Fieldorf „Nil” (egzekucję przez powieszenie wykonano 24 lutego 1953 roku). Zamordowanych w więzieniu mokotowskim potajemnie chowano w masowych grobach we wspomnianej kwaterze „Ł” na Powązkach Wojskowych, na cmentarzu Bródnowskim oraz na Służewie. Ciało wielu z nich, w tym Pileckiego, Fieldorfa i Cieplińskiego wciąż nie odnaleziono. Ten ostatni 20 stycznia 1951 roku, w jed-

Hymn Mokotowa

Czy widzisz te mury czerwone,
To grozy i kaźni jest dom
Dziś cierpieć nam jest w nim sądzone,
Lecz jutro weń zemsty uderzy grom.

Tu siedzi dziś polska idea
I armii podziemnej kwiat
Co pracą swą na polskiej ziemi
Piękniejszym uczynić pragną świat.

Czerwone mury krwawego Mokotowa
Kryją tajemnice krat.
Wymuszone tu zeznań słowa
I męczeństwo przebytych lat.

Przejdą lata i przeminą słowa
Tej piosenki więziennych lat
I tylko na murach czerwonego Mokotowa
Pozostanie skrzepię krwi ślad.

Słowa Hymnu Mokotowa do melodii Czerwonych maków na Monte Cassino napisał w celi śmierci więzienia przy Rakowieckiej członek WiN – Karol Chmiel „Grom”, „Zygmunt”, „Katowicz”, „Leon”. Został zamordowany 1 marca 1951 roku.

Mokotowska kolęda

Hej kolęda, kolęda, Betlejem kolęda
Jasna luna z nieba
Hej kolęda, kolęda, Mokotów kolęda
Kęs czarnego chleba.

Między nas Pan Jezus wszedł
Na więziennym stołku siadł
Między nas Pan Jezus wszedł
I chleb czarny z nami jadł.

Hej kolęda, kolęda, Betlejem kolęda
Aniołowie, pasterze
Hej kolęda, kolęda, Mokotów kolęda
Ciemna noc w karcerze.

Między nas Pan Jezus wszedł
Na koszuli numer szyl
Między nas Pan Jezus wszedł
I w karcerze z nami był.

Hej kolęda, kolęda, Betlejem kolęda
Królów hołdowanie
Hej kolęda, kolęda, Mokotów kolęda
O wolność wołanie.

Między nas Pan Jezus wszedł
Skinie rączką swą Bożą
Między nas Pan Jezus wszedł
Wszystkie drzwi się otworzą...

Kolęda napisana przez poetę i architekta Jana Gólkę w więzieniu przy Rakowieckiej w 1948 roku, śpiewana do melodii góralskiej kolędy *Hej, Małućki*.

nym z ostatnich grypsów z więzienia przy Rakowieckiej pisał do syna: „Odbiorą mi tylko życie. A to nie najważniejsze. Cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Polskę niepodległą i szczęśliwą. Jako człowiek za prawdę i sprawiedliwość. Wierzę dziś bardziej niż kiedykolwiek, że idea Chrystusowa zwycięży i Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przywrócona. To moja wiara i moje wielkie szczęście. Gdybyś odnalazł moją mogiłę, to na niej możesz te słowa napisać. Żegnaj, mój ukochany. Całuję i do serca tulę. Błogosławie i Królowej Polski oddaję. Ojciec”. 1 marca – dzień egzekucji ppłk. Cieplińskiego i jego współpracowników z WiN, został na mocy decyzji sejmu ustanowiony Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Święto jest obchodzone od roku 2011.

Rozmowy z katem

18 stycznia 1946 roku na dziesięć lat pozbawienia wolności został skazany kpt. Kazimierz Moczarski – były szef Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej / Armii Krajowej. Rok później na mocy amnestii jego karę zmniejszono do pięciu lat. Mimo brutalnych przesłuchań, które trwały dwa lata, nie zdołano go złamać. Po wznowieniu jego procesu w 1948 roku skazano

go na karę śmierci. 2 marca 1949 roku Moczarskiego umieszczono na 225 dni w jednej celi Pawilonu XI z dowódcą SS, katem warszawskiego getta – Jürgenem Stroopem. „Cela miała jedno łóżko, które można było podnosić i przytwierdzać na dzień do ściany (w żargonie więziennym zwane legimata). Dotychczas spał na nim Stroop, a Schielke rozkładał siennik na podłodze. Przy końcu dnia musieliśmy ustalić nowy system spania. Stroop zwrócił się wtedy do mnie: – Idę na podłogę. Panu przysługuje łóżko, ponieważ pan jest członkiem narodu tu rządzącego i zwycięskiego, a więc narodu panów. (Powiedział: „Herrenvolk”). Oślupiałem. To nie była ze strony Stroopa komedia, poza lub grzeczność. On po prostu ujawnił swój pogląd na stosunki między ludźmi. Wylazły z niego wpajane od dzieciństwa: kult siły i służalstwo – nieuchronny produkt ślepego posłuszeństwa. Schielke poparł Stroopa. Uzasadniłem odmowę truizmem, że wszyscy więźniowie są równi w zakresie bytu więziennego. I do ostatnich dni ze Stroopem i Schielkem spaliliśmy wszyscy na podłodze, na trzech siennikach. Nie wykluczam, że Stroop uważał mnie – jeśli idzie o tę sprawę – za wariata” – pisał Moczarski w książce *Rozmowy z katem*.

23 lipca 1951 roku Jürgen Stroop został skazany na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano 6 marca 1952 roku. Rok później Kazimierzowi Moczarskiemu wyrok śmierci został zmieniony na dożywotnią karę pozbawienia wolności. W 1956 roku na mocy dekretu amnestyjnego, uwolniono część więźniów politycznych, wśród nich Moczarskiego. Służba Więzienna przejęła budynki zajmowane dotąd przez UB.

Tylko nad głową skrawek nieba

W 1965 roku do aresztu przy Rakowieckiej trafili Jacek Kuroń i Karol Modzelewski za ogłoszenie *Listu otwartego do Partii*, krytykującego politykę prowadzoną przez PZPR. W więzieniu znalazł się również literat Janusz Szpotański, aresztowany za swój utwór *Cisi i gęgacze*, określony przez I Sekretarza PZPR Władysława Gomułkę jako „reakcyjny paszkwil zięjący sadyistycznym jadem nienawiści do [...] partii i do organów władzy państwowej”.

W 1968 roku w mokotowskim więzieniu osadzono grupę studentów biorących udział w protestach przeciwko władzy komunistycznej. Wśród nich byli m.in.: Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, a także Czesław Bielecki i Jan Lityński.

W latach osiemdziesiątych, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego, w areszcie na Mokotowie więziono działaczy Solidarności. Niektórzy trafili tam po raz kolejny, m.in.: Leszek Moczulski, Adam Michnik, Kornel Morawiecki, Józef Szaniawski oraz Zofia i Zbigniew Romaszewscy. W lutym 1983 roku Zofia Romaszewska podjęła protest głodowy, a trzy miesiące później napisała do sejmu list otwarty o sytuacji aresztowanych przy Rakowieckiej: „Cele w pawilonie III Centralnego Aresztu Śledczego na Mokotowie są czteroosobowe, mają 10 m² powierzchni. Mieszczą się w nich dwa jednopiętrowe łóżka, stolik, 5 stołków, umywalka z zimną wodą i muszla klozetowa, z zakrywaną klapą sedesu. Muszla klozetowa jest nieosłonięta, a tym samym ma się bardzo nieprzyjemne wrażenie mieszkania ubikacji z jadalnią i braku poczucia podsta-

wowej i niezbędnej każdemu człowiekowi intymności. [...] Areszt, niezależnie od dręczenia psychicznego, odbiera więźniom zdrowie fizyczne. Najcięższą torturą jest brak powietrza. [...] Nie do zniesienia są gorące słoneczne dni, kiedy cela nagrzewa się i okno jest zamknięte. Spacerów w śledztwie i podczas trwania rozprawy są półgodzinne, a śledztwa ciągną się miesiącami. Spacerniki Aresztu Śledczego dla pawilonu III są bardzo małe (od 16 do 24 kroków obwodu) i otoczone 5,5-metrowym murem betonowym, zasłaniającym dokładnie wszelki widok. Tylko nad głową można zobaczyć kawałek nieba i wierzchołek jednego drzewa”. Zofia Romaszewska opuściła więzienie w lipcu tego samego roku na mocy amnestii.

Niemy świadek historii

W 1989 roku więzienie zostało przekazane Ministerstwu Sprawiedliwości. Oddziały Pawilonu XII, wcześniej zajmowane przez SB, częściowo wyremontowano i przebudowano. Obecnie przy ul. Rakowieckiej mieści się Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów dla tymczasowo aresztowanych mężczyzn. Planowane jest otwarcie na terenie zakładu karnego Muzeum Ofiar Komunizmu.

O tym, że miejsce to skrywa jeszcze wiele tajemnic, świadczy najnowsze odkrycie Jacka Pawłowicza. Ten historyk z warszawskiego oddziału IPN w czasie kręcenia filmu w reżyserii Arkadiusza Gołębińskiego odnalazł w dawnym Pawilonie X karcer – jeden z kilku, w którym przetrzymywano Żołnierzy Wyklętych, m.in. gen. Emila Augusta Fieldorfa „Nila” i mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszke”. Pomieszczenie ma wymiary 50 × 50 cm i zaledwie 150 cm wysokości. Skazani przebywali w nim od kilku do kilkunastu dni. Stali bez możliwości ruchu z ugiętymi kolanami. Dodatkowo ich stopy raniła metalowa krata znajdująca się w podłodze. Według pracowników aresztu, karcery miały zostać rozebrane w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Najwidoczniej ten się zachował jako kolejny niemy świadek mrocznej powojennej historii naszego kraju. 🍀

Katarzyna Dzierzbicka – dziennikarka, licencjonowana przewodniczka po Warszawie

AKT III

W więzieniu na Mokotowie

*Lament więzionych ubecków
(na melodię Choralu)*

Za cóż nas, Gnomie, karzesz więzieniem?
Czyż gęgaliśmy beczelnie, czyż
przywłaszczaliśmy społeczne mienie,
że dźwigać musimy ubecki krzyż?

Przecież to myśmy w znoju i pocie,
kalecząc nogi o wrażliwą kość,
nowej ojczyzny wznosili progi,
a dziś okrutny spotkał nas los!

Za cóż tak, panie, karzesz Fejgina –
wszak w wiernej służbie z bólu aż mdlał!
Spróbuj przez cały dzień kopać nogą
lub jaja wroga miażdżyć na mia!

[...]

Jakże niesłuszna jest twoja kara,
jak straszny wyrok, co na nas spadł!
Wolno cyniczna chodzi ofiara,
a w celi jęczy niewinny kat.

Górnośląskie mity, symbole i bohaterowie

Na ten obszerny, prawie pięćsetstronicowy tom składa się 110 haseł, a właściwie rozbudowanych artykułów, podzielonych na pięć grup problemowych: ludzie i ich znaki; święci i bohaterowie; mity i tradycje; święta i rytuały; miejsca. Poszczególne hasła zawierają nawiązujące do nich ilustracje oraz podstawową literaturę przedmiotu, pozwalającą pogłębić wiedzę na dany temat.

Redaktorzy i autorzy tomu nie ograniczyli się do definicji omawianego hasła. Umieszczając poszczególne mity, symbole czy bohaterów w czasie i przestrzeni kulturowej, przedstawili zmiany, którym podlegały, ewolucje ich funkcji oraz stosunek do nich różnych grup etnicznych czy społecznych. Przez dobór haseł w udany sposób pokazali, jak w ciągu dwóch ostatnich stuleci kształtował się Górny Śląsk i zamieszkujące go społeczności. Refleksja z perspektywy badacza procesów społecznych dominuje nad faktografią i historią polityczną, choć i ta oczywiście jest obecna na kartach tej ważnej i pożytecznej książki.

Leksykon jest rezultatem międzynarodowego projektu zrealizowanego przez badaczy z Polski, Niemiec i Czech. Wśród siedemnastu autorów wywodzących się z różnych ośrodków naukowych (w tym trzech z Oddziału IPN w Katowicach) zdecydowanie dominują historycy, swoją obecność zaznaczyli też językoznawcy, germanista oraz socjolog. To starannie wydane dzieło jest zaopatrzone w indeksy osób i nazw geograficznych oraz obcojęzyczne streszczenia.

Nawet wśród zdeklarowanych zwolenników regionalizmu na Górnym Śląsku nie ma jednomyślności co do nazwy mieszkańców regionu. Jedni posługują się określeniem „Ślązacy”, inni mówią o Górnoślązakach. W Polsce obecnie obu terminów używa się najczęściej wymiennie. W Niemczech mieszkańców tego regionu nazywa się Górnoślązakami. Pojęcia „Śląsk” i „Ślązacy” są zarezerwowane na określenie terytorium i byłych mieszkańców dzisiejszego Dolnego Śląska.

Jak wynika ze spisów powszechnych przeprowadzanych od drugiej połowy XIX wieku, na terenie Górnego Śląska przeważała ludność polskojęzyczna. Pojawiający się w niektórych hasłach *Leksykonu* termin „ludność słowiańskojęzyczna” nie ma historycznego czy merytorycznego uzasadnienia, nawet jeśli zdecydowana większość z nich posługiwała się gwara, a ich język odbiegał od wzorca literackiego. Górnoślązacy byli grupą narodowościowo labilną, a także w swej trudno policzalnej części indyferentną narodowościowo, wahając się między polskością, niemieckością a śląskością, a proces ich unarodowienia był rozciągnięty w czasie i trwał niekiedy aż do pierwszej połowy XX wieku. Dziś liczbę rodzimych Górnoślązaków szacuje się na 1,2–1,5 mln osób (800 tys. z nich w ostatnim spisie powszechnym podało narodowość śląską, w tym ponad 400 tys. w połączeniu z inną narodowością, najczęściej polską; poza tym 100 tys. autochtonów, głównie w opolskiej części regionu, zadeklarowało się jako Niemcy).

Wiele z zamieszczonych w tomie haseł, by wymienić przykładowo: „Trójkąt Trzech Cesarzy”, „*Volksdeutsch*/folksdojcz, czyli »dziadek z Wehrmachtu«, „Wypędzenie”, „Tragedia Górnośląska”, „Ziemie Odzyskane a Polska Piastowska”, „Kresowianie i ich Kresy Wschodnie” czy „Dziewięciu z »Wujka«” jest świadectwem złożonej, skomplikowanej czy wręcz dramatycznej przeszłości Górnego Śląska.

W górnośląskim leksykonie nie mogło również zabraknąć haseł: „Górnicy i ich etos pracy”, „Górnośląski orzeł”, „Język, dialekt, gwara, godka”, „Górnośląska pobożność”, „Nędza górnośląska”, „Autonomia śląska”, „Rodło”, „Krajobraz industrialny”, „Zagłębie Dąbrowskie” („Czerwone Zagłębie”) czy „Symbole kulinarne”. Jeśli chodzi o te ostatnie, to typowy śląski obiad: rosół z nudlami oraz kluski, rolada i modra kapusta wśród mieszkańców regionu stał się powszechny stosunkowo późno, bo dopiero na początku XX wieku.

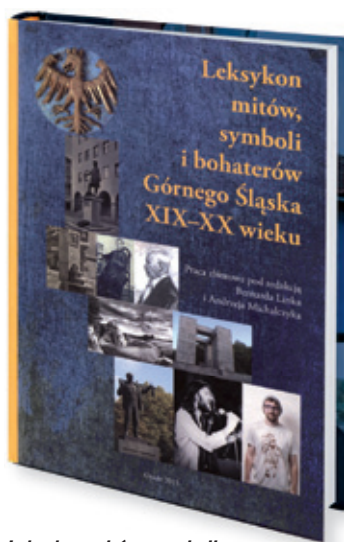
Elementem górnośląskiego świata kulturowego były lub są rozmaite święta i rytuały: chrzest, pierwsza komunია, bierzmowanie, Boże Ciało, pielgrzymki na Górę św. Anny oraz do Piekarni Śląskich i Częstochowy, wycieczki zielonoświątkowe do Krakowa, 1 Maja, świniobicie, byzuchy i pakyty z „Rajchu” czyli odwiedzin i paczki z RFN.

Na kartach tej ciekawie skomponowanej i dobrze napisanej pracy pojawia się także zróżnicowana galeria górnośląskich bohaterów: legendarne strzygi i utopiec; zbójnicy: Ondraszek, Elias i Pistulka; święci: Barbara, Jacek, Jadwiga Śląska, Jan Nepomucen; panujące dynastie: Piastowie Górnośląscy i Hohenzollernowie. Swoje biogramy mają m.in. poeta Joseph von Eichendorff, pionier przemysłu Friedrich Wilhelm von Reden, górnośląski król cynku i ołowiu Karol Godula, „śląski Homer” ks. Norbert Bonczyk, ikona polskiego odrodzenia narodowego Karol Miarka, bohaterowie nazistowscy: Heydebreck i Schlageter,

politycy II RP i PRL: Wojciech Korfanty oraz Edward Gierk i „nasz Jorg” czyli wojewoda Jerzy Ziętek, przodownik pracy Wincenty Pstrowski, górnośląscy „odwetowcy” z RFN: Czaja i Hupka, bohaterowie górnośląskich wiców (dowcipów) Antek i Francek, muzyk Ryszard Riedel czy sportowiec Adam Małysz.

Funkcję rozpoznawalnych znaków i symboli pełnią również miejsca upamiętniające przeszłość oraz stanowiące scenografię współczesnych celebrazji, jak wspomniana już Góra św. Anny, pomniki poległych w I i II wojnie światowej, wieża spadochronowa, KL Auschwitz, powojenne obozy w Łambinowicach i Świętochłowicach, pomnik Powstańców w Katowicach, pomnik Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego czy – w innym charakterze – Wieża Piastowska w Opolu bądź katowicki Spodek.

Dzięki tej wartościowej książce możemy poznać Górny Śląsk i się go uczyć. Publikacja powinna się znaleźć – jak chcieliby jej redaktorzy – w bibliotece podręcznej każdego humanisty zajmującego się tym regionem. 📖



Leksykon mitów, symboli i bohaterów Górnego Śląska XIX-XX wieku, red. B. Linek, A. Michalczyk, Państwowy Instytut Naukowy – Instytut Śląski w Opolu, Opole 2015, 488 s.



■ *Akcja pod Arsenałem 26 marca 1943*, scenariusz Sł. Zajączkowski, rysunki K. Wyrzykowski, wkładka i konsultacja historyczna K. Krajewski, T. Łabuszewski, IPN, Warszawa 2015, 52 s.



■ Przemysław Bartosik, *Życie polityczne Walczą i okolic w latach 1945-1990*, IPN, Szczecin 2015, 348 s.



■ *Deportacje do Związku Sowieckiego z ziem polskich 1944/1945 r. Perspektywa porównawcza*, red. S. Rosenbaum, D. Węgrzyn, IPN, Śląskie Centrum Wolności i Solidarności, Katowice 2015, 172 s.



■ Rafał Dmoszyński, Grzegorz Joniec, Daniel Piekarski, Jacek Romanek, *Funkcjonariusze Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie w latach 1944-1956. Słownik biograficzny*, IPN, Lublin 2015, 368 s.



■ Wacław Dubiański, *Obóz Pracy w Mysłowicach w latach 1945-1946*, IPN, Muzeum Miasta Mysłowice, Górnośląska Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Kardynała Augusta Hłonda, Mysłowice 2015, 120 s.



■ *Elity komunistyczne w Polsce*, red. M. Szumilo, M. Żukowski, IPN, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Warszawa – Lublin 2015, 696 s.



■ Sławomir Kalbarczyk, *Kazimierz Bartel (1882-1941). Uczony w świecie polityki*, IPN, Warszawa 2015, 1000 s.



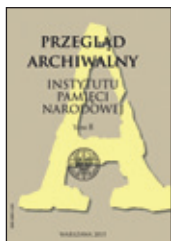
■ Marian Kaleta, *Emigrancka spółka „Szmugiel”. Wspomnienia dostawcy sprzętu poligraficznego przemycanego do Polski dla opozycji antykomunistycznej w latach 1978-1989*, oprac., red. Wł. Tylański, IPN, Warszawa 2015, 333 s. + 32 s. wkł. ilustr.



■ Paweł Niziołek, *Płacąc za wolność. Wojenne losy rodziny Marcinkiewiczów*, IPN, Białystok 2015, 230 s.



■ *Polski wkład w przyrodniczo-techniczne. Słownik polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki*, red. naukowa B. Orłowski, t. 1-4, IPN, Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa 2015; t. 1 – 522 s, t. 2 – 438 s, t. 3 – 512 s, t. 4 – 544 s.



■ „Przegląd Archiwalny Instytutu Pamięci Narodowej”, t. 8, IPN, Warszawa 2015, 335 s.



■ Maciej Sobieraj, *Między oporem a lojalnością. Działania SB wobec KUL na przykładzie rozpracowania prof. Jerzego Kłaczewskiego*, IPN, Lublin 2015, 848 s.



■ Paweł Szulc, *Propaganda stalinowska na Pomorzu Zachodnim*, IPN, Szczecin 2015, 324 s.



■ Daniel Wicenty, *Weryfikacja gdańskich dziennikarzy w stanie wojennym*, IPN, Gdańsk 2015, 236 s.



■ *Wina i kara. Społeczeństwa wobec rozliczeń zbrodni popełnionych przez reżimy totalitarne w latach 1939-1956*, red. naukowa P. Pleskot, IPN, Warszawa 2015, 592 s.



■ Jacek Witold Wołoszyn, *Szkoła jako instrument politycznej legitymizacji władzy partii komunistycznej w Polsce (1944-1989)*, IPN, Lublin 2015, 248 s.



■ *Wyznania religijne w Rybniku i powiecie rybnickim w XIX i XX w.*, red. A. Dziurok, D. Keller, B. Kłoch, IPN, Muzeum w Rybniku, Rybnik 2015, 392 s.



■ Robert Żurek, *Kościół rzymskokatolicki w Polsce wobec Ziemi Zachodnich i Północnych 1945-1948*, IPN, Szczecin – Warszawa – Wrocław 2015, 614 s.

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25,
00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05
i w księgarni IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa,
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79.

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane obok.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

Zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;
22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres IPN
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztyaj.pl

PRZYSTANEK HISTORIA



Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki

ul. Marszałkowska 21/25, 0-628 Warszawa
faks (22) 576 30 02

www.ipn.gov.pl
przystanek.historia@ipn.gov.pl
facebook.com/przystanek.historia
przystanekhistoria.ipn.gov.pl

1–14 marca

Wystawa „**Rdzawe druty od Ojczyzny dzielą nas... Internowani w latach 1944–1947**” przygotowana przez białostocki Oddział IPN. Przedstawia m.in. akcję „Burza” na ziemiach północno-wschodnich, aresztowanie żołnierzy AK, Obławę Augustowską i losy Polaków więzionych w obozach NKWD w ZSRR.

8 marca (wtorek), godz. 18:00

Prezentacja książki Cezarego Łazarewicza *Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka*. W rozmowie o książce wezmą udział: prof. Jerzy Eisler, prok. Marcin Gołębiowicz, Maciej Łuczak oraz autor.

10 marca (czwartek), godz. 17:00

Promocja książki Sławomira Kalbarczyka *Kazimierz Bartel (1882–1941). Uczony w świecie polityki*. W rozmowie o książce wezmą udział: prof. Wojciech Morawski, dr Andrzej Zawistowski oraz autor. Spotkanie poprowadzi Jan Ruman.

11 marca (piątek), godz. 17:30

Dyskusja z cyklu „*Historia z Piotrem Skwiecińskim*”. Temat spotkania: Co wywołało eksplozję Solidarności? Będą o tym rozmawiać: dr hab. Marcin Zaremba i dr Andrzej Zawistowski.

12 marca (sobota), godz. 11:00

Zajęcia z cyklu „Rodzinna sobota” dla dzieci w wieku 6–9 i 10–13 lat oraz rodziców. Dla młodszej grupy przygotowaliśmy nowy cykl zajęć, którego głównymi bohaterami będą zwierzęta. **W marcu o zimnej wojnie opowie Królik Berliński**. Starsza grupa będzie uczestniczyć w zajęciach przygotowanych z wykorzystaniem gry edukacyjnej IPN *Reglamentacja*. Informacje i zapisy: magdalena.bogdan@ipn.gov.pl.

14 marca (poniedziałek), godz. 18:00

Seminarium popularyzatorskie „**Konflikty zimnowojenne**”. Wykład o roli Ameryki Środkowej i Południowej w zimnej wojnie wygłosi dr hab. Marcin Gawrycki.

15–31 marca

Wystawa „**Archiwum Tarnopolskie Rodziny Blicharskich**”. Wystawa przedstawia unikatowe w skali światowej zbiory fotografii, dokumentów i pamiątek o Tarnopolu z archiwum zmarłego w 2015 r. Czesława Blicharskiego – tarnopolanina, więźnia łagrów sowieckich, lotnika dywizjonu 300. Wernisaż odbędzie się 15 marca o godz. 17:30.

16 marca (środa), godz. 17:30

Spotkanie z cyklu „**Polacy to naród emigrantów**” będzie poświęcone **emigracyjnemu dziennikarstwu**. O bla-

skach i cieniach emigracyjnego dziennikarstwa będą rozmawiać prof. Rafał Habielski, prof. Tadeusz Wolsza oraz dr hab. Sławomir Łukasiewicz.

17 marca (czwartek), godz. 13:00

Spotkanie Klubu Historycznego im. Gen. Stefana Roweckiego „Grota”. Wykład „**Kazimierza Bartla życie dla Polski i tragiczna śmierć**” wygłosi dr Sławomir Kalbarczyk, autor książki *Kazimierz Bartel (1882–1941). Uczony w świecie polityki*.

17 marca (czwartek), godz. 17:00

Wykład z cyklu „**Spacerkiem po Warszawie. Rozwój architektury i budownictwa XIX/XX w.**” wygłosi Jarosław Zieliński.

19 marca (sobota), godz. 9:00

Szkolenie dla nauczycieli historii i WOS szkół ponadgimnazjalnych, którzy realizują założenia podstawy programowej przedmiotu historia i społeczeństwo dotyczące historii XX wieku. Informacje i zgłoszenia: barbara.pamrow@ipn.gov.pl.

21 marca (poniedziałek), godz. 17:00

Z cyklu „**Polskie kino powojenne – twórcy i filmy**” wykład prof. Piotra Zwierchowskiego poświęcony **twórczości Juliusza Machulskiego**, reżysera cieszących się ogromną popularnością komedii m.in. *W bank*, *Seksmisja* i *Kingsajz*.

22 marca (wtorek), godz. 17:00

W ramach spotkania filmowego Klubu Historycznego im. Gen. Stefana Roweckiego „Grota” **projekcja filmu Włodzimierza Dusiewicza *Szesnaśtu*** o przywódcach Polski Podziemnej podstępnie uprowadzonych przez NKWD i sądzonych w pokazowym procesie w Moskwie. Prowadzenie: Przemysław Gasztold-Señ.

30 marca (środa), godz. 16:00

Spektakl *Historia pewnego eksponatu. Opowieść z tej ziemi* w wykonaniu uczniów IV Liceum Ogólnokształcącego w Lublinie. Inspiracją stały się losy lublinianki Joanny Szydłowskiej – nauczycielki i artystki, więźniarki obozu w Ravensbrück.

30 marca (środa), godz. 17:30

Dyskusja z cyklu „**Krakowska Łoża Historii Współczesnej w Warszawie**”. O książce Magdaleny Maliszewskiej i Bereniki Rewickiej *Kobiety małopolskiej Solidarności* będą rozmawiać Magdalena Maliszewska i Danuta Skóra – działaczki krakowskiej opozycji. Prowadzenie: Roman Graczyk.

